

A close-up portrait of a woman's face, partially obscured by a purple headscarf. She has her eyes closed and is wearing silver eye makeup and a small diamond earring. The background is a solid dark purple color.

E W A K O P S I K

Układ
z Panem
Bogiem

Replika

To uparcie nieidealne życie

Krystyna od zawsze uwielbiała otaczać się rzeczami delikatnymi i kobiecymi, a studiując malarstwo stworzyła swój własny kanon piękna.

Niestety, jej córka jest zupełnym przeciwieństwem obrazu, który sobie wyśniła. Mimo licznych prób, kobieta nie potrafi pokochać dziewczynki, która jest tak bardzo nieidealna, tak bardzo... niepasująca na córkę artystki. Wytchnienie od codzienności – córki, męża, teściowej – znajduje w malarstwie i ramionach innego mężczyzny. Dopiero pewien wypadek zmusi Krystynę do przemyśleń i zawarcia dziwnego paktu... z samym Bogiem.

Czy jednak cena, jaką przyjdzie jej zapłacić, nie okaże się zbyt wysoka?

PATRONI MEDIALNI:

dlaStudenta.pl

webbook.pl

Kulturatka.pl



wydawnictwo
Replika

cena: 29,90 zł

ISBN 978-83-7674-133-8



9 788376 741338

E W A K O P S I K

Układ
z Panem
Bogiem

Replika

Powietrze w ogrodzie rozdarł przeraźliwy krzyk, śmiertelne wołanie o pomoc, prymitywne, wręcz zwierzęce. Ścierka wpadła do miski z wodą, rozchlapując ją na boki; krople zniknęły w miękkim włóczkowym dywanie akurat w tym miejscu, gdzie wzór tworzył żółtą pupę misia Puchatka. Krystyna pędziła na oślep przez wąski korytarz, ciemny, bo wysiadła żarówka. Biegła dławiona przerażeniem tak samo archaicznym jak krzyk, który je spowodował. Runęła rozdygotana na stojący w drzwiach rower Kamilki i wraz z nim jak jedno ciało potoczyła się po schodkach na wyłożone betonowymi płytami małe podwórko. Wciąż obejmowała rękoma koło, a jej nogi utknęły pomiędzy ramą i łańcuchem. Co oznacza ten krzyk? Słysząc w nim przerażenie, grozę, ostateczność, nieodwołalną katastrofę. Rozbiegany wzrok ślizgał się po sadzie; nieznaczny ruch liści i motyli w rozżarzonego powietrza. Niby wszystko w porządku, światło i cień, cisza popołudnia. Promienie słońca ukośnie padały na ziemię, mącąc krople niewidzialnej mżawki, i przebijały się przez szpaler przyciętych grzybiasto krzewów. Kończyły swój bieg w starej studni, której nikt tak naprawdę nie dostrzegął i obok której wszyscy przechodzili obojętnie, nawet z lekceważeniem, źle oceniając jej śmiertcionośny potencjał. Krystyna rzuciła się w stronę ocembrowanego otworu. Nieposłuszne ciało sztywniało. Walczyła z powietrzem stawiającym wbrew zasadom fi-

zyki zbyt duży opór, jakby tkwiła przed nią niewidzialna ściana z przeźroczystego budyniu. Długowłose kundel, bezmyślnie szczekając, z trudem precyzyjnie się przez sztachety i podrygiwał tylną częścią tułowia jak ryba ogonem.

Trzeba zajrzeć! W cholerną otchłań, skąd już po sekundzie nadejdzie odpowiedź. Jeszcze dwie sekundy, potem jedna, ostatnia, po której będzie musiała się pochylić nad niskim murkiem i przebić pełnym łęku spojrzaniem mrok długiego lochu, sięgając dna. Sekunda wydłużała się. Kobieta zatrzymywała ją, a czas był jej posłuszny, dał się uprosić. Pies kwilił u nogi, deszcz kropił natrętniej. Zdażyła jeszcze zaczerpnąć tchu jak przed śmiertelną walką i spojrzała... Skrawek czerwonej bawełnianej sukienki Kamilki dziurawił czarną przestrzeń studni, krwawił jasnym rubinem, dalekim od poezji, bardziej szyderczym niż pięknym. Krystyna krzyknęła w głąb wydrążonej ziemi. Głos uwiązł w mrocznych czełusciach, zatonał w powietrzu porażonym drgającą falą. W nozdrza buchnęła wilgoć i stęchlizna, odrażające jak oddech głębinowego potwora. Odwrócić głowę i udawać, że zobaczyła jedynie pustkę? Zresztą mogła niczego nie zauważyć albo zauważyć dopiero za pół godziny, kiedy szanse dziecka skurczą się do minimum, a jej rozrosną, spotężnieją. Pędzące sekundy decydowały za nią, już ich nie zatrzymywała, niech biegają, zaraz będzie po wszystkim.

Nad głową Krystyny brzęczała cisza, borowała oszalały mózg, żeby wydrążyć go z myśli. Na dnie studni leżał piasek, brudny, szary, ale miękki; może córka ma jeszcze niewielką szansę? Zaraz, zaraz, a co z tej szansą?

Szansa Kamilki niweczy jej szansę... bo nie da się ich pogodzić. Sprzeczność interesów. Jednak przecież jest matką! Matka musi zareagować właśnie tak jak należy! Dopadła aparatu telefonicznego. Nowa lekcja życia, nieoczekiwana, bo wszystko, co do tej pory planowała, zaprzepaściła jednym telefonem. Ale nie żałowała. Powietrze przyniosło wreszcie odległe, słabo słyszalne dźwięki syreny, obietnicę życia. Kobieta przysiadła na schodach i kołysała się delikatnie w rytm kropel deszczu wpadających do rynny. Ktoś lekko, lecz stanowczo położył rękę na jej ramieniu. Krystyna bez słowa wskazała studnię. Nawoływania strażaków, podniesiony głos lekarki, przemykające obok niej postacie, wiele spoconych zmęczonych twarzy, niespokojne ruchy rąk - wszystko wirowało wokół kobiety, kręciło się zapamiętałe i potem zniknęło. Dziewczynka leżała na noszach. Jej włosy dziwnie błyszcząły, jaśniały na tle szarego koca, choć przecież oblepiał je mokry piasek. Skąd się wziął ten złocień na kosmykach? Wyschnięta studnia rysowała się blado i łagodnie, prawie malowniczo na tle drżącego w deszczu sadu. Jej suche istnienie dopiero teraz zaczęło nabierać sensu.

Dzień za oknem poszarzał, zastygł zamknięty w jednej sekundzie. Znieruchomiały liście, dziób posrebrzanego gołębia zawisł nad betonem. Radość też może zastygnąć, nawet na zawsze, a jej miejsce zajmie strach, który upodobał sobie głębiny żołądka. Za drzwiami, tymi czy innymi, przepływało życie, czasem wolno, czasem pędząc na oślep. Krystyna prawie wycofała się z niego.

Niech czas płynie, ona nic nie traci, może jedynie gładkość policzków i napięcie skóry na podbródku. Nie wiadomo czy to dużo. Wystarczyła cielesna obecność. Czuła pośladki wciskające się w niewygodny fotel, lekko przybrudzony przy zagłówku. Obok niej natrętnie szemrała fontanna pokojowa. Kobieta zamierzała jednym zdaniem zburzyć wypielęgnowany obraz dobrej matki i żony, porządnej obywatelki chodzącej co niedzielę na mszę. Wystarczy, że powie, co właściwie przeżywa, określi uczucie, które pali ją od kilku lat, zawieszona pomiędzy nienawiścią i miłością, przecinające jej duszę wielokrotnie jak wahadło zegara, odchylając się to w jedną, to w drugą stronę.

Adamski pozostał niewzruszony. Nieraz już słyszał podobne wyznania, nawet gorsze. Profesjonalna powaga, pokerowy wyraz twarzy. Jego niekształtne dłonie, całe w guzkach i dołkach, poprzecinane siecią żyłek i zmarszczek, pracowicie przesuwają się po zapisanych kartkach. Irytujące! Krystyna podniosła głowę, jej broda opuściła wreszcie przytulną miękkość spoczonej szyi. Żółto-czerwone świetlne smugi przebijające się przez firanki zawisły na dłoniach lekarza. Denerwowały ją te ręce, małpie, ze zbyt długim kciukiem. Kobietę dziwiła reakcja terapeuty na to, co powiedziała, a raczej brak reakcji, jakby nic do niego nie dotarło. Mężczyzna nie okazywał żadnych emocji albo był nieuważny. To po co te nieprzespane noce, wilgotne i zimne, monologi wygłaszane w ciemność za oknem, przed milczącym Bogiem?! Jego bała się szczególnie.

Adamski znalazł wreszcie jakąś niewielką kartkę, odłożył ją na krawędź biurka i zapytał, co jej najbardziej

przeszkadza? Pytanie padło tak po prostu, bez zdziwienia, bez cienia nagany w głosie, bez wyrzutu w lekko skośnych, jasnoniebieskich jak u husky oczach. Krystyna zastanowiła się. Zawsze drażniły ją wszędobylskie dłonie córki, więc od tego zacznij. Pulchne, z dołeczkami, niezgrabnie chwytające kubek z herbatą, natrętne, zaborcze i nieustępliwe, sięgające po pędzel, rozchlapujące farby na zagruntowanym płótnie. Malarstwo - pasja Krystyny. Gorąca fala entuzjazmu ogarnęła jej zmysły jak zwykle na samą myśl o palecie - kawałku drewna z szafem kolorów i odcieni, nawet tych nieistniejących. Lekarz patrzył przenikliwie. Żądał kolejnych wyjaśnień, po kawałku wyciągał z jej wnętrza całą tajemnicę, jak rzeźnik świńskie flaki. Kobieta brnęła dalej w zwierzeniach, posuwała się do głębi swoich przemyśleń, do niewiarygodnego stwierdzenia, że chciałaby oddać dziecko, tak jak się oddaje kupione dzień wcześniej spodnie. Mówi się, że były przeznaczone dla siostry i nie pasują albo że to miał być prezent, ale się nie podoba. Trudno. Zwyczajnie oddać lub przynajmniej wymienić na inne, na szykowniejszy model. Spojrzała pytająco na mężczyznę, szukając oznak zdziwienia, i znowu się zawiodła. Słuchał jej wynurzeń, jakby opowiadała o czymś zupełnie zwyczajnym. Gdzie jest granica między tym, co jeszcze normalne, choć wisi na krawędzi normalności, a tym, co już nie przystaje do wzoru? Norma czy odstępstwo od niej? Oczy Adamskiego wydawały bezgłośnie polecenie: proszę mówić dalej, opowiadać, nie przestawać mówić. Nareszcie zaczął chłonać, kiwać bezwiednie głową, raz potakując, to znowu przecząc, a nawet zapisał kilka zdań w gładkim zeszytcie z okładką w maki. Kolor maków był

nienaturalny, obrzydliwie słodki, prawie lepki, a kwiaty płaskie, pozbawione głębi. Maki rozproszyły jej uwagę, zakłóciły i tak już niepokładane myśli. Zastanowiła się krótko. Zdecydowanie nie znosi, kiedy córka ją dotyka, kiedy przytula się do niej pulchnym ciepłym ciałem, kiedy szuka pocieszenia i miłości, kiedy patrzy jej w oczy z oczekiwaniem i dziecinną zachłannością.

Posiedzenie się przedłużało, stawało się nieznośne dla Krystyny. Najchętniej zakończyłaby je, wymyślając jakiś banalny powód. Znowu pytanie, może już ostatnie. Czy pewna jest swojego uczucia? Czy rzeczywiście jest to tylko nienawiść, czy może obok niej jest też miejsce na miłość? Nie wiedziała, przecież dlatego do niego przyszła: po odpowiedź. Fotel był niewygodny, jego miękkość nieprzyjazna, sukienka kobiety lepiła się do skaju. Psychoterapeuta z kasy chorych, nie stać go na porządną kozetkę. Krystyna zmieniała pozycje, ale w żadnej nie czuła się komfortowo. A jednak lekarz znał swój fach, bo niespodziewanie przerwał rozmowę, widząc ściągnięte usta pacjentki i ręce oparte na kolanach, sygnalizujące chęć ucieczki. Zanim wyszła, zapytał ją jeszcze o wiek dziecka. „Pięć” - rzuciła już prawie z korytarza, szczęśliwa, że jest na zewnątrz, poza zasięgiem jego zimnego wzroku.

Twarz Krystyny spięta dziwnym grymasem, czymś pomiędzy złością i wstydem, długo jeszcze nie mogła się rozluźnić, nawet kiedy kobieta wyszła z budynku i kroczyła bulwarami nad Dunajem. Wiedeń złocił się ostatnimi promieniami wieczoru, przesywającymi rozłożyste konary akacji w zatoczkach. Miasto nie cieszyło jej tak jak na początku, gdy przyjechała tu z jedną tylko torbą

i ogromnym zapasem nadziei. Wówczas oślepiło ją przepychem kontrastującym ze sklepową pustką w Polsce, smutną i - wydawało się wtedy - nie do przewyciężenia. Pierwsze kontakty na obczyźnie, pozostające oczywiście w polskim kręgu, też cechował swego rodzaju entuzjazm z jej strony. Mamiła ją swojskość, znajomy język i obyczaje, ale były to jedynie pozory wspólnoty, pozory wzajemnego uznania i niesienia sobie pomocy. Potem, kiedy wreszcie rozpracowała system, dojrzała działania w grupach i podgrupach. Wyszła na jaw cała skomplikowana machina wzajemnych układów i odniesień. Gdy Krystyna wiedziała już, który sznurek porusza którą kukiełką, zaczęła unikać kontaktów z rodakami z taką samą konsekwencją, z jaką początkowo ich szukała.

Jakie szanse ma Bóg? Szansę na prawdziwą, szczerą modlitwę, nie taką klepaną w pośpiechu, czysto mechanicznie, a nawet bezmyślnie. Ludzie zawsze o coś proszą, natrętnie błagają, zanudzają, a potem zniecierpliwieni posuwają się do żądań, jakby się im wszystko należało. W niedzielę tłum wiernych długim pochodem sunie do kościoła, nierzadko tylko po to, aby w nim pobyć i wypowiedzieć słowa, których sensu nikt nie zgłębia, czasem uklęknąć, kiedy trzeba. Postoją wewnątrz lub na zewnątrz, a potem lecą na piwo albo na ploty. Bóg może liczyć jedynie na zewnętrzną prezentację postawy katolika - fizyczne uczestniczenie we mszy w niedzielę i święta, spowiedź przynajmniej przed Bożym Narodzeniem, Wielkanocą, ślubem, chrzcinami i - naturalnie - śmiercią. Wszystko na pozór

poprawnie, zgodnie ze zwyczajem, bez głębi, bez wiary.

Krystyna myślała, że jest inna, naprawdę wierząca, o ile to „naprawdę” w ogóle istnieje. Bo co to właściwie znaczy? Co jest prawdziwe, a co nie? Potem ganiła się za pychę, za przypisywanie sobie ponadprzeciętnych cech charakteryzujących ludzi głębokiej wiary i wieczorem przy lampce dobrego wina rozmyślała o swojej świętości. Coś ją wyodrębniało spośród tego kolorowego, przesadnie czysto i schludnie ubranego tłumu w kościele i znowu była mile zaskoczona takim stwierdzeniem, ale co prawda, to prawda. Czy nie wyróżniała jej wiara? Trochę inna, bo wierzyła gorąco, ale po swojemu. To znaczy, że potrafiła zinterpretować sobie każde zagadnienie bez kurczowego trzymania się Pisma Świętego, że potrafiła się sama rozgrzeszyć albo ukarać, nie we wszystko wierzyć, nie ślepo jak inni. Z powodu swej niekanonicznej interpretacji nauk kościelnych kobieta pozwalała sobie od czasu do czasu na grzech, bo to takie ludzkie. Każdy jest dzieckiem Kaina, więc jak można żądać od nas bezgrzesznego życia, bez pychy i zazdrości? Może wiara to jedynie wyuczony stan emocjonalny, który Krystyna przejęła, bo wszyscy we wsi byli wierzący, więc nie istniała inna możliwość? Nie, nie, malarka szybko odrzuciła taką alternatywę. Z pewnością miała zaufanie, bo tak nazwałaby to nieokreślone uczucie dla Stwórcy, dzięki któremu wiedziała, że wyjdzie z każdego zakrętu na prostą. To zaufanie było dziwne, jak do najlepszego kumpla, na którym zawsze można polegać, jak do tej pory. Tak było do tamtego ponurego zimnego dnia, kiedy z córką na ręku weszła do lśniącego biela i czystością gabinetu na

pierwszym piętrze eleganckiej kamienicy. Stojąc w drzwiach, jeszcze się lekko uśmiechała, patrząc ciepło na dziecko. Lekarka dokładnie zbadała Kamilkę, odłożyła na biurko stetoskop i spojrzała na matkę. Wówczas pokój stracił swą przeraźliwą biel, zszarzał, skurczył się do tego stopnia, że Krystyna czuła napór ciężkiego gorącego powietrza. Potem z trudem usiłowała zrozumieć pojedyncze słowa pani doktor, wciskające się do jej uszu na siłę, chociaż nie chciała tego słuchać, bo traciła wtedy ostatnią szansę, żeby siebie pocieszyć. Jakieś nie całkiem jasne wyrazy, terminy, które brzęczały w głowie natrętnie jak mucha. Kobieta pojęła jednak ich sens, odczytała go z oczu lekarki, pełnych zakłopotania gestów i miny, smutnej i życzliwej. Wyszła z przyklepionym do twarzy płaczącym uśmiechem. Zapamiętała tylko oczy pani doktor i drzwi odcinające się lekkim brązem na tle białych ścian. Wspomnienie tych ciężkich drzwi towarzyszyło jej potem zawsze, kiedy pomyślała o wizycie. Nie mogła zrozumieć, dlaczego akurat one tak się wryły w jej pamięć; cholernie ciężkie masywne drzwi, obite ciemnym drewnem.

Za oknem sypał śnieg: puchowy, lekki, bożonarodzeniowy. Dwie dziewczęce główki, takie same płowe czupryny o jednakowym harmonijnym złotym odcieniu, pochyliły się nad zniszczoną książeczką z obrazkami. Między małą Krystyną a Emilią z sąsiedztwa siostrzana więź wytworzyła się od razu, od pierwszego spotkania w piaskownicy i pierwszych nieporadnych słów podczas przesypania mokrego piasku. To nic, że jedna drugiej

sygnęła piachem w oczy. To tak na początek życia, żeby potem było już lepiej. Ich przyjaźń, naznaczona wielkimi emocjami, wyszła poza czas dzieciństwa i pogłębiała się nawet po okresie dojrzewania. Pewnie trwałaby nadal, gdyby nie nagłe rozstanie. W litościwej pamięci został jednak pościg za rudą wiewiórką w parku, w zimnym wrześniowym powietrzu pełnym pary i spadających liści, mgły i rozwieszonego między konarami babiego lata. We wspomnieniach na zawsze zakotwiczyły się zabawy nad stawem, pod wierzbami o gałęziach jak włosy zmierzwiowane wiatrem. Nad mętłą wodą zawisła cisza, kiedy dziewczynki, grzebiąc patykami, wyłowiły potopione kociaki. Uciekły, bo nie mogły pojąć tego, co zobaczyły. Pobiegly każda do swego domu, a potem wieczorem żadna z nich nie zjadła kolacji. Wspólne odkrycie cierpienia i śmierci związało je bardziej niż poznawanie radości życia, miłości odwzajemnionej, ale tylko dla jednej z nich. Druga musiała się przyglądać nabrzmiałym wargom tej szczęśliwej, kochanej i podziwianej. Obie zżerał ten sam żal, że nic nie istnieje podwójnie, żeby starczyło dla każdej. Razem przebrnęły przez dziecięce smutki i tragedie, aż do czasu kiedy sobie uświadomiły, że prawdziwe zmartwienia dopiero nadejdą. Pierwsze nadciągnęło już wkrótce, bo Emilia zaraz po maturze wyjechała w nieznanym kierunku. Krystyna nigdy nie wyobrażała sobie, że przyjaciółka opuści ją w popłochu, bez podania przyczyny. To, że inni nie znali powodu jej ucieczki, nie było niczym niezwykłym, bo Emilia zawsze była odludkiem, ale Krystyna wiedziała o niej wszystko, przynajmniej tak jej się wydawało.

Mąż Krystyny był inny niż ona, ale kobieta doszła do tego wniosku dopiero kilka lat po ślubie. Od pewnego czasu obserwowała go z dystansem, lecz uważnie, jakby był zupełnie obcą osobą, na dodatek przybyłą z nieznanego łądu, na którym panowały odmienne obyczaje. Przyglądała mu się od momentu, kiedy podczas niedzielnego odpoczynku w ogrodzie powiedział, że trawa w ogródku działkowym pięknie rośnie i że to go cieszy. Uśmiechał się przy tym z zadumą, melancholijnym skrzywieniem warg, ale jego oczy pozostawały wesołe, z ognikami radości. Spojrzała znad sztalug na niedawno zasianą zieloną szczecinę jeszcze delikatną, jakby utkaną ze zwiewnych cieniutkich piórek. Zdziwiła się, ale nie wschodzącą trawą, tylko tym, że tak po prostu można się z tego cieszyć. To, że trawa rośnie, jest oczywistym dowodem na przemijalność świata, więc czym tu się radować? Jako malarka Krystyna dostrzegała naturalnie piękno kruchych i wydłużonych listków, ale obraz ten wcale nie wywoływał w niej uczucia szczęścia.

Marzeniem byłoby usiąść jak mąż na ławeczce, z kubkiem kawy i patrzeć, o niczym przy tym nie myśląc. Podziwiać wzrost, kolor i strukturę trawy. Oglądać i nie analizować. Pragnęła polubić to co jej mąż - wlepiła wzrok w zielone źdźbła, które nadal były jej zupełnie obojętne. Obserwowała, jak mężczyzna krząta się w ogrodzie: dość sprawnie pomimo wydatnego brzucha sadi kwiaty, przyklepuje ziemię, przydeptuje i kontempluje. Nareszcie po trzydziestu pięciu latach życia spędzonych z matką w ciasnym mieszkaniu znalazł ją, Krystynę, dla której porzucił małą klitkę i doprowadził do hysterii starą

kobietę. Teraz żył jak w ekstazie, wiecznie ucieszony, zadowolony, ze zmarszczkami śmiechu wokół oczu. Zazdrościła mu, ale czego? Maleńka igiełka, krótki impuls zawiści przeszył jej ciało na wylot. A cóż to za wielka misja życiowa sadzić kwiaty, spulchniać glebę, produkować dżemy i przeciery, jak to robią sąsiadki? Krystyna wstawała rano i próbowała zapomnieć kim jest i jaki cel sobie wyznaczyła, co łagodziło nieco ból z powodu czasu straconego na ładowaniu brudnej bielizny do pralki. Z niechęcią wodziła po dywanie szczotką odkurzacza, ignorując jego ohydne brzęczenie, jak jakiegoś mezozoicznego owada, kiedy połykał łakomie wszystkie, nawet najdrobniejsze okruchy, dla niej niewidoczne, więc nieistotne. Grymas niezadowolenia wykrzywił jej usta, bo na mokrej flanelowej szmatce osiadł puchowy czarny kurz. Dziwiła się, że wszędzie go pełno, jakby rozmnażał się samoczynnie jako kara za grzechy tego świata. Podobne obrzydzenie wywoływały w Krystynie tłuste sosy zastygłe na krawędziach patelni, wylizane przez męża talerze i wymlaskane z butelek soki pozostawiające na szkle kolorową smugę. Zostać gospodynią domową i odnaleźć w tym powołaniu szczęście, tak jak znajdują je inne gospodynie. Podglądała sąsiadki, które uwijały się ze szmatką, odbierając najmniejszym nawet pyłkom szansę na zaistnienie w świecie materii, ale które nie zdawały sobie sprawy z tego, że materii nie da się unicestwić, można najwyżej zmienić ją w energię i odwrotnie. Mieszkania znajomych były sterylne, pachniały świeżością, którą zakłócały tylko kuchenne wyziewy. Obiadki dla mężów, sałatki na zimno, ciasta z galaretką, zimne nóżki - wszystko to pochłaniało napięty czas gospodyń

domowych, absorbowało ich uwagę, nie dopuszczając innych niekulinarnych myśli, chyba że były to rozważania o kolejnych sposobach dogodzenia mężom.

Jak nauczyć się radości? Cieszyć się, lecz nie głupio, bezmyślnie, tylko głęboko i świadomie, z całą afirmacją dla życia. Wyobraziła sobie sytuacje, krótkie scenki przynoszące ludziom radość, ale nie wielką wygraną, lecz tylko uśmiech jako namiastkę szczęścia. Chciałaby z uśmiechem popatrzeć na psa, który właśnie przybiegł z ogrodu i otrząsając się z liści, zabawnie wyciągnął pyszczyk z kroplą wody perlącą się na czubku nosa. Scenka była Krystynie znana, powtarzała się wielokrotnie, ale nie wzbudzała w niej żadnych emocji, nawet złości, że pies rozrzucał po pokoju zwiędłe liście. A co z wiosną? Widziała tylko jej piękno w barwie i kształcie, chłonęła zapach nowego życia. Nie odczuwała radości, najwyżej zachwyty jak przy oglądaniu dzieła sztuki. Wyłowić z piekła doczesności anielskie aspekty, zapomnieć o brzydocie świata. Przyjąć do wiadomości zło, wejść z nim w układ albo przykryć go górami szczęścia. Zrobić coś, cokolwiek, tylko nie wisieć bezładnie w czasie. Jak tu pogodzić idealny boski świat z tym rzeczywistym? To przecież nie to samo. Krystyna czasami próbowała się odprężyć i wyłączyć mózg, ale niemyślenie przychodziło jej z trudnością, bo zawsze jakaś niewielka, zdawałoby się nieważna myśl włączała fale beta i rozum znowu pracował na pełnych obrotach. Należałoby zepsuć twardy dysk, może wtedy przestałby działać.

Krystyna w białej sukience, z wiankiem na głowie kroczyła obok postawnej milczącej kobiety, co chwilę podnosząc wzrok w nadziei, że może w końcu ujrzy uśmiech na twarzy matki. Ten obraz powracał natrętnie, przykleił się do pamięci i bez przerwy odnawiał, zwłaszcza w niedzielne przedpołudnia. Wtedy też szła z matką do niewielkiego kościółka na skrzyżowaniu ulic biegnących od rynku w stronę opuszczonej fabryki. Drogi zataczały półkola, żeby potem się spotkać w najmniej oczekiwanym punkcie - na niewielkim placu pokrytym czerwoną kostką. Tam właśnie stał kościółek przypominający dziwną prostokątną poczwara o długiej szyi zwieńczonej grzybiastym kapeluszem, kilkakrotnie przebudowywany, i dlatego bezstylowy. Było to miejsce ich niedzielnych pielgrzymek, osnute wiekowym smutkiem, nieprzystępne, zięjące chłodem starych murów, które wymagały respektu. Matka ściszyła głos z szacunku dla świątyni albo z obawy, że jej słowa zawieruszą się w zakamarkach tej nieforemnej budowli. Potem tylko modlitwy (palce kobiety sprawnie przesuwały koraliki różańca), pokłony, przyklęknięcia - wszystko to mieszało się w świetle dziękczynnych świec.

Urzeczona tym misterium Krystyna wrosła w kościół całą duszą dziecka i nigdy nie pomyślała, że mogłoby być inaczej. Wzrokiem szukała Emilii, siedzącej cichutko obok surowej jak niedokończony posąg babci. Jasna sukienka, jedyna przyzwoitą jaką miała, przypominała kielich rajskiego kwiatu o fantazyjnym kształcie, pełnego załamania i wypustek. Dziewczynki porozumiewały się na odległość, wysyłając sobie informacje zakodowane w spojrzeniach, mrugnięciach i niemych ustach. Jeszcze

nie potrafiły zapomnieć potopionych kociaków, ich nagich ciałek, zamkniętych, lekko wypukłych oczu. Odtąd śmierć kojarzyła się im z czymś bardzo brzydkim, z mokrym napęczniałym ciałem i nie mogły patrzeć na nowo narodzone kotki, nawet na te żywe. Dla nich istniała tylko niewielka cienka granica między tym, co żyjące i piękne, a tym, co martwe. Nigdy nie pomyślały o tym, że martwe też może być piękne. Siedzące w przednim rzędzie dziewczęta, godne następczynie bab i kumoszek, patrzyły pogardliwie na Emilię. Dlaczego pogardliwie? Krystyna nie mogła zrozumieć.

Marek z twarzą promieniejącą niezależnie od pory roku, stężenia kłopotów czy zmęczenia pracą, cieszył się życiem. Taki był, chociaż może się to wydać banalne. Właśnie to, co banalne i proste, mąż Krystyny lubił najbardziej. Żadnych wygórowanych marzeń, ambicji zżerających duszę, górnołotnych myśli, na których można byłoby poszybować. W milczeniu znosił przeciwności losu. Pokora lub bezmyślność, a może wygodą, bo nie trzeba nic robić, tylko czekać na polepszenie. Hiobowa rola odpowiadała malarce przedtem, przed urodzeniem Kamilki, ale teraz Krystyna powoli traciła cierpliwość i jej coraz bardziej natarczywe modlitwy miały przekonać Boga, żeby wszystko wróciło do normy i było jak dawniej.

Kobieta weszła do pokoju córki urządzonego w stylu różowej księżniczki, który zupełnie nie pasował do przy ciężkiej postaci zaczarowanej Fiony. Podniosła leżącego obok łóżka misia z pluszową mordką, na której malował

się grymas zniechęcenia, powstały chyba wskutek częstego prania. Kamilka od początku go nie lubiła, bo nie był żółty, tylko brązowy, tak jak w naturze, a natury nie można skorygować. Krystyna może też życzyłaby sobie od Boga innej córki, ale przyjęła Jego dar bez szemrania, co nie znaczy, że była szczęśliwa. Potraktowała to jako boską próbę, trudniejszą, niż się spodziewała, ale przecież miała niezłomną wiarę. A może nie? Miś patrzył w dal nieobecnyimi oczami z plastikowych guzików i kobiecie nagle zrobiło się go żal, jakby miał duszę i błagał o chwilę uwagi. Serce jej się ścisnęło na widok brzydkich niechcianych przedmiotów leżących w śmietniku lub obok niego, wystawionych na krytyczne spojrzenia mieszkańców bloku. Bezgłowa lalka, koń na biegunach z drastycznie rozprutym brzuchem, teletubisie pozbawione rąk i nóg, zgniecione plastikowe jurajskie cielska - wszystko pokryte kurzem, przypieczętowane brakiem dziecięcej miłości. Najchętniej wzięłaby każdą z tych zabawek do siebie, przygarnęła pomimo ich brzydoty i niedostatków.

Dlaczego zatem nie potrafiła pokochać Kamilki? Niedośkonałej, dalekiej od ideału, bez wdzięku, sprzecznej z wyobrażeniem Krystyny o pięknie. Ale przecież dzieci nie kocha się za urodę ani za mądrość, lecz za to, że w ogóle są, że noszą w sobie nasze egoistyczne geny, które kiedyś stworzą następną powłokę cielesną. Miłość nie ma przyczyny, powstaje z niczego, więc Krystyna nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiała, bo wiadomo było z góry, że będzie kochać swoje dziecko. Tak się przyjęło i faktycznie na ogół tak jest. Kobieta wyobrażała sobie co innego, a co innego przyszło, gdyż

w głowie zawsze się rodzi idealne niedościgłe piękno, platoński obraz świata idei i rzeczywistość nie ma przy nim żadnych szans.

Robert chodził lekko, jakby za chwilę miał ulecieć albo przynajmniej unieść się nad ziemią niczym lewita. Nigdy tego nie dokonał, ale w oczach patrzących można było znaleźć ledwie dostrzegalne oczekiwanie. Chude ciało podlegało jednak prawom fizyki i pozostał na ziemi. Miał paskudny zwyczaj oblizywania zbyt pełnych warg, co można było opacznie zinterpretować, zwłaszcza kiedy tym mimowolnie obślinionym ustom towarzyszyło spojrzenie pełne dziwnej nieodwzajemnionej namiętności. Taksujący wzrok spływał po obnażonych ramionach, łydkach w cienkich rajstopach, zaglądał do dekoltów i pod spódnice. Leniwie opadające powieki nadawały oczom Roberta zblazowany wygląd człowieka wiecznie znużonego światem. Był jednak wybrańcem, ulubieńcem Kaliope, a może raczej Erato, chociaż jak dotąd nie znalazł wydawcy dla swoich wierszy pisanych rokokową manierą, dla niektórych nieznośną. „Co jednak się nie wydarzyło, zawsze może nastąpić” - powtarzał sobie i czekał. Nieodgadnione marzenia przemykały przez wypukłe i błyszczące od potu czoło. Z precyzją i namaszczaniem wycierał wilgotną skórę półkolistymi ruchami wąskiej dłoni zaopatrzonej w staromodną haftowaną chusteczkę. Skąd brał te chusteczki (słownie dwie), kiedy wszyscy używali higienicznych? Nasiąknięte potem z bakteriami i wydzieliną wyciśniętą z pryszczy, były prane tylko raz w tygodniu. Jednak pod powłoką non-

szalancji i rozkosznego łobuzerstwa krył się smutek, który wypełzał na twarz Roberta w najmniej odpowiednim momencie. Wtedy jego rysy wyostrzały się, z ust zniknął na chwilę przypisany do nich zdawkowy uśmiezek, a zastępowało go lekkie niekontrolowane skrzywienie warg. Mężczyzna przez moment sprawiał wrażenie człowieka dotkniętego nieszczęściem, niepokojonego jakimś tajemniczym wspomnieniem, nieznanym nikomu z obecnych. Odwracał głowę, aby ukryć wykwitające na szyi i policzkach czerwone plamy świadczące o dużych emocjach. Silił się na żart, lekko potrząsał grzywką, jakby chciał strzepnąć z twarzy rumieniec podenerwowania.

„Nikt nie chce moich wierszy, to fakt, ale dlaczego? Bo są takie dobre czy takie złe? Nie odpowiadają gustom czytelnika, rozczarowują go wybujałą frazeologią i tworami słownymi, o których nie śniło się językoznawcom” - myślał, ślęcząc nad kolumnami wersów. Lubił swoje utwory, hołubił je zamiast dzieci, których nie chciał mieć. Dzieci nie da się odłożyć na półkę i wyjść z pokoju, raz w tygodniu odkurzyć. Wieczorami, popijając wino, cierpiał z powodu nigdzie nieopublikowanej poezji, obecnej na każdym stole, przerzucanej z jednej półki na drugą, w poszukiwaniu swojego miejsca. Sponiewierana twórczość szarpała Robertowi nerwy, przypominała o porażce, o niedościgłym marzeniu, ulatującym za każdym razem, kiedy spozryzał na notatnik z wierszami. Wpatrywał się w zapisane gęstym maczkiem twory swoich myśli i nie mógł zrozumieć, dlaczego nie podobają się wydawcom. Co sprawia, że do tej pory nikt nie zainteresował się jego utworami? Na czym polega błąd, o ile w ogóle

można w tym przypadku mówić o błędzie. Codziennie przyglądał się sobie w lustrze, powtarzał tę czynność jak rytuał, czasem bez zastanowienia. Coś go nieustannie przyciągało do własnego odbicia, w którym chciał odnaleźć swoją dawną twarz: dumną, jasną, myślącą. Potem trwożne spojrzenie wędrowało niżej i zatrzymywało się w okolicy brzucha. Mógł przyglądać się sobie nawet przez pół godziny, bo minuty uciekały niezauważalnie, a on nadal stał przed lustrem jak zaczarowany. Robił to w samotności, żeby nikt opacznie nie zinterpretował jego zachowania.

Uwaga lekarki o Kamilce, choć wypowiedziana niejako mimo woli, jakby do siebie, utkwiała w pamięci Krystyny i nie można jej było usunąć ani wymienić na inną. Najbardziej przeraziła ją słowo „trochę” dodane do diagnozy dla jej złagodzenia, nieprecyzyjne, relatywne, o bliżej nieokreślonym natężeniu, wymówione ostrożnie po krótkim namyśle. Opinia pani doktor prześladowała matkę codziennie nawet podczas tworzenia ponurych pejzaży i bezmyślnego głądzenia wyprasowanych koszulek córki. „Jak można zaobserwować opóźnienie u pięciomiesięcznego dziecka?” - zachodziła w głowę. Nie wierzyła lekarce, miała swój zdrowy rozsądek, którym się kierowała, i boską opiekę. Nic złego nie mogło się wydarzyć, bo i dlaczego? Krystyna zawsze żyła według praw boskich i czekała raczej na nagrodę niż na karę. „Lekarka się myli” - myślała, jednak coraz częściej podchodziła do łóżeczka Kamilki i obserwowała małą. Nie jak matka - z miłością, bezkrytycznie, tylko jak rzecz-

znawca - z dystansem, lecz uważnie, zwracając uwagę na wszystkie detale. Nóżki niemowlęcia leżały zbyt spokojnie, prawie wyprostowane, ręczki układały się bezwładnie wzdłuż ciała, nieprawdopodobnie nieruchome. Dziecko nie patrzyło na nią, nie szukało zabawek, nie próbowało się odwrócić na bok. Właśnie ten bezruch najbardziej niepokoił Krystynę. Dlaczego Kamilka nie wierzga, nie kopie, jak to robią inne maluchy? Kobieta dotknęła palcem wskazującym fałdki na nóżce córki i czekała na reakcję, ale nie było żadnej. Naciskała coraz mocniej, poruszała nogami niemowlęcia z coraz większą zaciętością, nie bacząc, że mogą łatwo wyskoczyć ze stawów biodrowych. Cofnęła rękę, dopiero kiedy Kamilka wrzasnęła nerwowo, a jej bezzębne usta wykrzywił strach. Wystarczy! W razie potrzeby Krystyna zwróci się do najwyższej instancji, ale może nie będzie takiej konieczności. Nigdy dotąd o nic nie prosiła, więc raz mógłby pomóc - takie rozumowanie wydawało jej się logiczne, ludzkie. Świadomość istnienia tej boskiej furtki zawsze ją uspokajała; kobieta mogła po tym bez nerwów zjeść śniadanie i nie zamartwiać się nad bułką z nutellą.

Kiedyś po mszy Krystyna przechodziła obok starych wiejskich plotkarek, roznosicielek nowinek, strażniczek moralności i łowczyń sensacji. Nie zauważyły jej, nie ściszyły jak zwykle konspiracyjnie głosu, choć nie było to konieczne, bo zawsze plotły w kółko to samo, więc ten, kto chciał wiedzieć, dostąpił tajemnicy. Nawet nie obejrzały się za siebie, gdzie stała dziesięcioletnia dziewczynka, wrosła w ziemię, zaczarowana jednym zdaniem

wypowiedzianym łukowato wygiętymi ustami o kącikach zwisających wraz z tłustym podbródkiem jak u mopsa. Krystyna najbardziej zapamiętała to wykrzywienie warg, te pogardliwie opadłe kąciki, w których czaiła się zawiść. Z wnętrza kościoła dobiegało ciche *Kyrie eleison*. Dziewczyna czuła jedynie strach, bo znowu nie mogła czegoś ogarnąć dziecięcym rozumem, ale już wiedziała, że wszystko się zmieni. Wiejskie babsko tak po prostu zniweczyło jej dawny świat, nawet o tym nie wiedząc. Stąd ta pogarda dla Emilki i jej matki, te nieme karcące spojrzienia.

Odtąd Krystyna inaczej interpretowała wszystkie zdarzenia związane z przyjaciółką. Wspólne święta, choć przecież Emilia miała matkę, bo ojciec zmarł dawno temu. Obie dziewczynki dostawały takie same ubrania, przybory szkolne i lalki. Wszystko podwójne, wszystko po równo, i dlatego Krystyna wiedziała, że Emilia nie jest tylko biedną koleżanką z sąsiedztwa, której trzeba pomagać. Zastanawiała ją hojność jej rodziców wobec tej cichej, pokornej dziewczynki, pozbawionej wzniosłych marzeń. Nie miała pojęcia, co zrobić z tym strasznym odkryciem, kogo nim obarczyć. Rozważała, czy ma Emilię kochać jeszcze bardziej, czy może odrzucić. Na razie obserwowała ją tylko ukradkiem, badając własne odczucia. Jak zareaguje na białe dłonie Emilki buszujące w gęstwinie porzeczek, na jej jasne włosy wplątane w krzaki głógów, kiedy bawiły się w chowanego? Jeszcze długo nie mogła podjąć żadnej decyzji, kogo powinna nadal kochać, a kogo znienawidzić. Emilia była w stosunku do niej poddańcza, wręcz służalcza i właśnie ta gotowość podporządkowania się Krystynie złościła ją najbardziej.

Dlaczego się nie buntuje? Bunt to przecież coś zupełnie naturalnego, ale Emilia uosabiała chrześcijańską pokorę. A może tylko z wyrafinowania przyjęła taką postawę, żeby jakoś przeżyć. Pokora czy poza - niełatwo rozszyfrować ten dylemat.

Wieczorami Krystyna siadała przed sztalugą i wpatrywała się w zagruntowane płótno. Spojrzenie najpierw z jednej strony, potem z drugiej nie przyniosło żadnego efektu, bo płótno nadal ziało pustką i nie mogła dojrzeć ukrytego w nim rysunku. Gotowy szkic wydał jej się nagle bezwartościowy, choć był dopracowany w najdrobniejszych szczegółach. Kolumny martwych drzew sztucznie wyprostowanych nad wodą nie miały szans na uwiecznienie, pozostały jedynie na szkicu, który potem Krystyna przez przypadek wyrzuciła. Jasne płótno milczało obojętnie, denerwowało bielą, rozpraszało myśli. Obraz na konkurs musiał być nadzwyczajny. Powinien zawierać wszelkie elementy dobrej sztuki, aby mógł zachwycić jury. Dlatego kobieta nie umiała go namalować, bo gdyby uwzględniał wszystkie kryteria, to nie byłby spontanicznym tworem jej duszy, lecz pretensjonalnym dziełem spreparowanym na użytek sędziów. Wymóg oryginalności przerażał Krystynę. Miała wrażenie, że wszystko zostało już powiedziane i stworzenie czegoś zupełnie nowego wymaga jedynie sprytu i pomysłowości, a nie warsztatu, który ceniła najbardziej. W dzisiejszych czasach wystarczy stworzyć sztukę *ready made*, żeby mienić się artystą. Zupełnie niepotrzebne są studia ręki, męczące rysowanie po raz setny jednego

palca, aby potem uznano szkic za bardzo akademicki. Dzieło nie ma przedstawiać - uczono ją w akademii - ma wyrażać, i to niekoniecznie piękno. Bardziej w cenie była oryginalność, którą można też nazwać wariactwem, a nie rzetelną pracą. Może nakleić na obraz starą podartą skarpetkę Marka, z dziurą na pięcie załataną kolorowym kondomem? Czy będzie to praca wystarczająco oryginalna, godna znawców sztuki? Może z nich zakpić? Zrobić sobie jaja z szacownego jury?

Bez przekonania wzięła pędzel do ręki i nie mając żadnego planu, zaczęła malować, zdając się jedynie na chwilowy przypływ weny. Jednak na płótnie wyłaniał się nie pejzaż, jak zamierzała, lecz dziewczęca postać o dobrze znanej sylwetce i jasnych, prawie białych włosach. Lekki skłon tułowia, wydatne usta rozchylone w uśmiechu, któremu brakowało radości. W twórczość Krystyny znowu wkradła się Emilia - niechcący, a jednak na siłę i nie po raz pierwszy. Dlaczego po tylu latach nadal zakłócała jej dzień, przeszkadzała w pracy, choć nie mogła tak jak kiedyś pociągnąć za włosy albo uszczypnąć. Krystyna często miewała napady agresji wobec tej bladolicej dziewczynki, których sama nie rozumiała.

Kobieta odłożyła pędzel i stanęła przed oknem pracowni. Strugi wody jak lniane sznury wiły się po szybach, pękały, rozpływały się, uderzając o parapet i framugi okien. Lubiła patrzeć na rytmicznie padający deszcz będący przyjacielem samotnych i poetów zagubionych jak Rilke. Sama też nie wiedziała, czy jest na właściwym miejscu. Krople bębniły ciszej, jakby ktoś, gość lub zjawia, stukał opuszkami palców o parapet. Deszcz padał teraz łagodniej, spowolniał, utracił swój pierwotny skrę-

cony bieg i rozlewał się szeroką strugą, przesłaniając widok. Obok Krystyny bezszelestnie i bez ostrzeżenia stanął Marek. Popatrzyła na niego pytająco, ale mąż chciał tylko po prostu znaleźć się przy niej, bez konkretnego celu, co było zdumiewające w przypadku takiego pragmatyka. Znowu cieszył się po dziecinnemu ze spływających strumieni wody, które być może przypominały mu dzieciństwo. Krystynę denerwowało to, że jej mąż we wszystkim widział jedynie pozytywne strony, w każdym doszukiwał się dobra i zawsze je odkrył albo po swojemu zinterpretował. Nie można kochać całego świata. Nie rozumiesz czym jest przyjaźń, jeżeli nie znasz wrogości. „Lubisz wszystkich, a to znaczy, że wszyscy są ci obojętni” - powiedziała mu kiedyś, parafrazując Wilde'a. Uśmiechnął się niepewnie, bo nie miał żadnych kontrargumentów, i dalej kochał cały świat.

Obie pochyliły się nad miłosnymi listami w czerwone serduszka, z odcisniętymi ustami umazanymi kradzioną pomadką. Fantazyjnie wykręcone igreki, akapity w zawijasy oraz ozdobniki na rogach kartek zdradzały zbytnią egzaltację, ale nikomu to nie przeszkadzało. Wspólne pisanie listów stało się rytuałem, zabawą, bo tak naprawdę potem ich nie wysyłały; wyznania lądowały w koszu. Porozumienie między dziewczynkami miało w sobie coś metafizycznego, nieodgadnionego albo było jedynie zwyczajną przyjaźnią dziewcząt niezintegrowanych z wiejską społecznością. Kiedy nie ma się żadnych innych serdecznych znajomych, to ta jedyna przyjaźń wydaje się nadzwyczajna. Oprócz tego łączył je występ-

pek rodziców trzymany w tajemnicy tak długo, jak tylko się dało. Wiejskie babska pracowały jednak wytrwale, tropiły i w końcu rozszyfrowały zagadkę. Jedna dziewczynka była połową drugiej i w jednej trzeciej czy jednej czwartej miały wspólne geny, lecz to wystarczyło, by na zawsze scalić je w jeden organizm, który oddycha osobno, ale myśli tak samo.

Co do uczuć nie były pewne, czy są takie same. Chłopiec z sąsiedztwa podziwiany i kochany przez obie obdarzył miłością tylko Emilkę, co jeszcze można zrozumieć, ale do tego nie lubił Krystyny, jakby dostrzegał jej zawiść. Krystyna walczyła z upokorzeniem i wstydem, ze świadomością niedostatku, chociaż nie umiała go sprecyzować. Czegoś jej brakowało, jednak nie wiadomo czego, więc nie można poprawić. Czegoś, co Emilia miała w nadmiarze. Zły okres, bo wypełniony marzeniami o doskonałości. Pałace uczucie, że jest gorsza, zdominowało młodość dziewczyny, bo wszędzie przodowała Emilia, zawsze co najmniej o pół ślicznej głowy, choć uniżenie pokorna. Był to czas uczenia się zazdrości, zawiści i złośliwości. Powoli stawała się kobietą. Piorunująca mieszanka piękna i nieświadomości, które łączyła w sobie Emilia, potrafiła porazić, oślepić zwłaszcza chłopców, którym matki zabraniały z nią kontaktów. A co z rodziną Krystyny? Dziewczyna kilka razy przechwyciła spojrzenie na ogół surowej matki. Nie było w nim złości czy nienawiści, raczej marzenie, zaduma nad czymś. Dopiero później Krystyna zaczęła właściwie interpretować to zadumanie, które wydało jej się okrutne. Znała już jego wymowę.

Krystyna postanowiła wstać i cieszyć się życiem, zanurzyć się w ciepły niedzielny poranek, zapomnieć o Kamilce i chociaż na ten jeden dzień stworzyć pozory bezproblemowej rodziny. Pozornie nie nastęcza to kłopotu, ale zrealizowanie zamiaru okazuje się wręcz niewykonalne. Najtrudniej zmusić się do radości, do zachwyty tym, co nie zachwyca, postanowić o swoich uczuciach, odgórnie je sobie narzucić wolą umysłu. Szybko dostrzegła żalną naiwność takiego rozumowania. Z pokoju, przez szeroko otwarte drzwi pomazane czerwoną kredką, obserwowała szybkie ruchy Marka nakrywającego do stołu i chudą postać teściowej, na twarzy której malował się wyraz udręczenia. Nigdy nie było wiadomo, dlaczego jej oblicze wyraża skrajne wyczerpanie bądź cierpienie; może to długie głębokie bruzdy biegnące po obu stronach ust rzeźbiły minę męczennicy. Kobieta próbowała powtórnie zawładnąć synem, który dopiero jako dorosły mężczyzna przegryzł pępowinę. Wystarczyło teraz z uśmiechem wejść do kuchni i wyrazić zadowolenie z życia w zdrowiu, w otoczeniu rodziny; na kilka minut zapomnieć o nieznośnym wyrazie twarzy teściowej i o Kamilce sepleniącej coś przy stole. Tylko jak narzucić sobie radość bez jej odczuwania? Krystynie brakowało samodyscypliny. Nie chodziło nawet o udawanie przed samą sobą, bo naprawdę chciała się nauczyć radości. Teściowa zaparzyła sobie kawy i jej twarz się rozjaśniła, co oznaczało, że cieszy ją wypicie aromatycznego napoju rano przed pójściem do kościoła. Krystyna weszła uśmiechnięta i też nalała sobie do kubka pachnącego płynu, który kojarzył jej się z porankiem. I nic. W którą

stronę się skłonić? Czy ku zadowoleniu, czy też jak zwykle ku obojętności?

Wyrzała przez okno. Na końcu ulicy mieszkał niezajomy Polak, tak samojak ona zagubiony - widziała to w jego oczach. Jej wzrok padł na gazetę, która zupełnie przypadkiem znalazła się w ich domu po wczorajszym spacerze. Dziennik można było wyjąć z foliowej torby zawieszanej na ulicznym słupie, należało tylko wrzucić do małego pojemniczka odpowiednią monetę. Krystyna przez chwilę trzymała gazetę w dłoni i już miała szukać w kieszeni drobnych, ale się rozmyśliła, bo pokusa zaoszczędzenia euro była większa. Jednak przez całą drogę do domu myślała o swoim postępku, bo co jej dało to jedno euro? I nawet nie zajrzała do gazety, jakby była ona owocem zakazanym. Dopiero podczas śniadania zwróciła uwagę na sensacyjną notatkę. Ktoś odważył się napisać książkę o wszechobecnej w Niemczech kulturze muzulmańskiej; dotyczyło to również Austrii. Temat tabu, ale z pewnością już od dawna kotłował się w głowach tysięcy obywateli poprawnych politycznie. Autor przerwał zмовę milczenia i wiadomo było, że wkrótce napór duszonych do tej pory emocji rozsadzi zapórę przyzwoitości i ktoś przejmie sensacyjny wątek. Artykuł był krótki, na niespełna pół strony, ale krzyczał tłustym czerwonym drukiem.

Teściowa nie reagowała na uwagi o publikacji. Żuła nienaturalnie białą bagietkę, a jej świat przepływał zupełnie innym torem, daleko od problemów narodowościowych w krajach europejskich. Krystyna zastanowiła się, czy jej samej też przeszkadzają te obce, okutane w długie płaszcze kobiety, bezpretensjonalne, niepa-

sujące do austriackiej metropolii ani wyglądem, ani zachowaniem, jakby wyrwane z innego świata. Widziała je wszędzie: kobiety w chustach ciągnące za sobą stadko dzieci, które wcale nie chciały być niewidzialne, bo wydawało im się, że są pełnoprawnymi obywatelami tego kraju. Miało się wrażenie, że przechodzą do ofensywy, że celowo parady w sięgających ziemi strojach nawet latem, że specjalnie owijają głowy chustami, co nie przydawało im urody.

Od chwili pojawienia się artykułu o książce rozmowy o emigrantach przybierały na sile i częstotliwości, jakby ktoś zrobił wyłom w tamie i nagle emocje rozlały się wielką rzeką. Krystyna czekała, co będzie dalej. Właściwie temat muzułmanów w Wiedniu wcale jej nie interesował, bo uważała się za artystkę żyjącą poza czasem i narodem, daleką od oceniania i komentowania. A jednak często przyglądała się tureckim dzieciom na placu zabaw i bardziej ją denerwowało, kiedy te maluchy nie chciały się bawić z Kamilką, niż kiedy to samo robiły dzieci austriackie. Czy tu już nie zaczynała się dyskryminacja? Dlaczego tureckie i arabskie dzieci nie miały prawa popychać Kamilki i zabierać jej zabawek?

Było jedynie kwestią czasu, żeby Krystyna zaczęła za nieudane dziecko obwiniać Marka. Potem wstydziła się przed sobą i Bogiem jako najwyższym sędzią, że określiła własną córkę jako nieudaną, tak jakby była felernym przedmiotem. Nie wiadomo, czy o człowieku można rozprawiać w kategoriach błędu i poprawności. Oskarżenie już od dawna wisiało w powietrzu, czekało jedynie na uwolnienie. Po raz pierwszy ta myśl zakiełkowała

w świadomości Krystyny podczas niedzielnego spaceru. Teściowa przywykła do mieszczańskich form życia nalegała na rodzinne przechadzki w ciepłe niedzielne dni, co było zupełnym absurdem i reliktem z poprzedniej epoki. Jednak ta zamrożona w czasie kobiecina nie mogła zrezygnować z niczego, co przypominało jej młodość. Należało się przejść ulicą pod rękę, popychając wózek z dzieckiem, choć przecież nikt inny tego nie robił. Większość wyjeżdżała za miasto albo nad Dunaj, a nie łąziła po okolicy! Krystyna gardziła mieszczańską pozą zakorzenioną tak bardzo, że przestała być pozą, a zaczęła przenikać osobowość wbrew logice i postępowi. Marek sam nie wiedział, dlaczego trzeba się przechadzać pod rękę, bo takie zachowanie zupełnie nie pasowało do wiedeńskich realiów, do polskich zresztą też nie. Może jeszcze gdzieś na wsiach wychodzi się przed dom i spaceruje wyasfaltowana szosą. Może tam wędrowniki pod oknami sąsiadów miały rację bytu, bo wszyscy się znali i polowali na prywatność drugich jak paparazzi. Wprawdzie bez aparatu, ale za to wprawnym okiem oceniali stan posiadania bliźnich, taksowali zewnętrzne przejawy ich wzajemnych stosunków, aby potem długo o tym rozprawić, na ogół uszczypliwie i każdemu przyszywając łatkę. Świat ułudy, sztucznej szczęśliwości, świat rodzinnych więzów na pokaz, na zachętę dla innych albo żeby zazdrościli. Zazdrościć mogli tylko ci, którzy sami nie przechadzali się po niedzielnym obiadku, bo nie wiedzieli, co takie wspólne pochody wspaniałych rodzin tak naprawdę znaczą. Krystyna godziła się na spacer po parku, do czasu, aż wynajęli domek w podwiedeńskim ogródku.

W tym właśnie parku spojrzała na Marka podtrzymującego teściową i pomyślała, że przecież z Kamilką to przez niego, przez jego cholerne geny! Może z nim porozmawiać? Oficjalnie zrzucić winę na niego, a nie milczeć i udawać. Jakże ukryć wstrętne myśli, które ujawniają się w spojrzeniu? Wołała nie patrzeć mu w oczy. To on, jego geny, jego inteligencja znalazły odbicie w Kamilce. Gdyby kto inny był ojcem... Jakże skrupulatnie należy dobierać ojca dla swoich dzieci. Kiedyś pitekanthropus czy neandertalczyk mógł bezbłędnie ocenić partnera i to, czy będzie z nim miał zdrowe potomstwo, teraz ta umiejętność zaginęła. Wystarczy, że powąchał, i już wiedział. Krystynie nie przyszło do głowy, że to może ona, że to jej geny są winne. Opóźnienie w rozwoju - jak to strasznie, bezlitośnie smagało. Czuła fizyczne cierpienie. Sekundę później już rodziła się łagodniejsza myśl, że może Kamilka wszystko nadgoni, tylko trzeba czekać. Znowu wiara przywracała porządek jej światu, kiedy logika była niewygodna.

Matka Marka zauważyła, że Krystyna nie przykłada się do prowadzenia domu, i już po pierwszej oględnej inspekcji kuchni uznała synową za bałaganiarę. Brązowe krople kawy zaschnięte na blacie stołu, postrzępione firanki i poklejony odpadkami kubeł na śmieci dyskredytowały Krystynę w oczach teściowej, która niewiele rozumiała ze sztuki, ale wiedziała, jakie cechy powinna posiadać gospodyni domowa. Na szczęście Krystyna nie miała ambicji bycia gospodynią domową, bo jej marzenia sięgały wyżej. Teściowa okrężnymi ruchami żylastej

dłoni zdrapywała zaschnięty sos z blatu stołu, lekko kiwając przy tym głową, ale tak nieznacznie, że nie można było stwierdzić, czy te ruchy spowodowane są pracą ręki, czy też może wyraźnym niezadowoleniem starej kobiety. Czy czysty, lśniący blat może kogoś uszczęśliwić? Krystyna chciała należeć do grupy osób zadowolonych z powodu błyszczącego stołu i wypranych firanek. Chętnie przyjrzałaby się nowemu obrusowi w pokoju, delikatnie przechylając głowę i cofając się o kilka kroków, ale te prozaiczne sprawy nie miały dla niej żadnego znaczenia. Uwagi teściowej przyjmowała z pobłażaniem i łagodnym uśmiechem osoby wtajemniczonej w sens życia, jakim jest sztuka. Wszystkie inne aspekty istnienia blakły i Krystyna patrzyła na nie jak poprzez cienką szarą zasłonę, dlatego nie dostrzegała ich wyraźnie. Uwagi teściowej nawet jej nie złościły, bo była ponad to. Nie traktowała poważnie wysiłków matki Marka zmierzających do utrzymania kuchni w absolutnej czystości. Uważała te przyziemne czynności, typowe dla ludzi o ciasnym umyśle lub psychicznie skrzywionych, za niepotrzebne marnotrawienie czasu, ale dla spokoju dziękowała teściowej, obdarowując ją niepełnym uśmiechem. W rzeczywistości gardziła posprzątaną kuchnią jeszcze bardziej niż nieuporządkowaną, ze stosami talerzy i garnków.

Niespodziewanie ktoś wszedł do pracowni bez pukania, z uśmiechem na ustach, trochę nawet przeproszającym za tak nagłe wtargnięcie. W pierwszej chwili Krystyna nie mogła przypomnieć sobie przybyłej ko-

biety, nie mogła dopasować tej twarzy do żadnej ze znanych sobie osób. Przywitała gościa tak, jakby rzeczywiście się znały, i dopiero po kilku minutach poszukiwań asocjacji przyporządkowała kobietę sytuacji. Polski kościół wypchany po brzegi i piersiasta blondynka stojąca tuż przy wejściu, która uprzejmie zrobiła jej miejsce. Ten niewiele znaczący gest pozwolił Beacie na dalszy kontakt z Krystyną. Był jedynie skromnym wyrazem uprzejmości, ale nawet na najmniejszej bazie można budować. Ludzie skwapliwie przypisują sobie prawo do drugiego człowieka po tym, jak coś dla niego zrobią, nawet drobnostkę. Dobroczynca, wpatrując się w ofiarę, czeka uprzejmie na podziękowania, na wdzięczność. Wie, że mu się należy. Potem była krótka rozmowa po mszy, przerywana głośnymi pozdrowieniami, poszturchiwaniem, i już Beata znalazła nową przyjaciółkę. Może tak samo osamotnioną, daleko od kraju - podpowiadała Krystynie wyobraźnia.

Od początku tej trochę wymuszonej ze strony Beaty znajomości Krystyna była stroną pasywną, hołubioną i podziwianą. Beata bez pytania usiadła na sofie i rozejrzała się po pokoju. Teraz dopiero Krystyna przypomniała sobie, że kiedyś przez nieuwagę powiedziała zdanie, które można było wziąć za zaproszenie, i Beata dokładnie tak je rozumiała, zwłaszcza że mieszkały na tym samym osiedlu, pod polską flagą. Zaproponowała koleżance herbatę, żeby odciągnąć jej wzrok od sztalug, tak jakby się bała krytyki ze strony tej miłej, lecz nieokrzesej kobiety. A może to jedynie lęk przed niezrozumieniem jej sztuki, więc lepiej nie pokazywać, bo jeszcze gość zacznie ją oceniać, krytykować. Tego by

brakowało! Krystynę przerażała rozmowa o sztuce z laikiem, jakim niewątpliwie była Beata. Jednak nie tylko niewiedza sąsiadki wypychała ją poza nawias sztuki, lecz także jej niewrażliwość na piękno. Krystyna zauważyła u niej metalowe kolczyki nieudolnie imitujące starą srebrną sztukę jubilerską, a podróbek nie mogła wybaczyć nikomu. Już wtedy wiedziała, że Beata nigdy nie będzie jej pełnoprawną koleżanką, że będzie jedynie jej niewolnicą i wielbicielką jej sztuki. Tak zaczęła się ta nierówna relacja, podobna do przyjaźni psa i jego właściciela.

Pycha wtargnęła do życia Krystyny dużo wcześniej. Przywarła do jej duszy od lat trzymanej w ryzach przez surową matkę, która wpajała córce zasady przyzwoitości i pokory. Pycha rozrastała się niepostrzeżenie i powoli objęła panowanie nad umysłem Krystyny wychowanej w atmosferze dewocji w klaustrofobicznej wiejskiej społeczności. Kobieta wiedziała, że to największy grzech, z którego biorą swój początek wszystkie inne, więc tym bardziej usiłowała zdławić w sobie tę paskudną cechę. Ale jak do tej pory jej dorosłe życie, będące zaprzeczeniem smutnego dzieciństwa, utrzymywało ją w przekonaniu, że jest wspaniała, zdolna i piękna. Piękno jest względne, ale talent niezaprzeczalny. Na pozostałą część wspaniałości składała się charyzma i osobisty urok Krystyny, nieodparty wdzięk delikatnych rysów twarzy i jasnych włosów nad lekko wypukłym renesansowym czołem. Po latach Krystyna nareszcie wydobyła się z odętów zwątpienia i niewiary w siebie, z kipieli przygo-

towanej przez matkę. Zapomniała o upokorzeniu, jakiego doświadczyła od chłopca, który jej nie wybrał.

Potem urodziła się Kamilka i było to jak groźne ostrzeżenie, przypomnienie dawnych lęków. Przyjście na świat opóźnionego w rozwoju dziecka spowodowało, że kobieta miała poczucie przegranej. Nie wynikało to z jej złego charakteru ani z braku wiary w boską sprawiedliwość. Krystyna winiła przede wszystkim społeczeństwo, które wypracowało takie, a nie inne wartości. To społeczeństwo dążyło do doskonałości, to z plakatów uśmiechały się wspaniałe smukłe dziewczyny, to z ekranu kłują w oczy nieskazitelność urody wybranych, choć wiadomo, że ta perfekcyjność została sztucznie stworzona i wypromowana. Krystyna chciała należeć do grona ludzi idealnych, gdzie wszystko jest piękne i mądre, gdzie niczego nie trzeba poprawiać. Kamilka nie pasowała do tego wypolerowanego świata, który aż błyszczał od wszelkich zalet. Dlatego Krystyna winiła za swoją postawę wszystkich dookoła, zajętych wyścigiem do doskonałości, którzy każde odstępstwo od ideału traktowali ze współczującą wyrozumiałością dla rzeczy ułomnych. Nie umiała się przeciwstawić temu trendowi, uległa mu całkowicie, dlatego cierpiała. Ludzie się gapili; widziała ukradkowe spojrzenia, bez komentarzy, dyskretne podpatrywanie Kamilki, niby przypadkiem, ale z ciekawością dla inności, która jest magnetyczna, od której nie można odebrać wzroku.

W niedzielę zbudziła męża już o ósmej rano, żeby zdążyć na przedpołudniową mszę. Nie był zachwycony,

wolałby pospać, ale posłusznie zwałókl się z łóżka i bez marudzenia pocłapał do łazienki. Podczas nabożeństwa Krystyna modliła się żarliwie, wpatrując się w nieudolne przedstawienie Chrystusa umieszczone na ołtarzu. Zachwiana kompozycja przestrzenna sprawiała, że głowa Jezusa prawie zawadzała o ramę obrazu, podczas gdy pod nogami było zbyt dużo, niczym nie wypełnionego miejsca. Kobieta patrzyła na płótno jak malarka i to spojrzenie znawczyni przedmiotu przeszkadzało jej w modlitwie, która przechodziła w machinalnie powtarzane frazy. Teściowa z przymkniętymi oczami kołysała się lekko w przód i w tył, w natchnionej pozie. Poddana skłonóm jej tułowia ławka kolebała się miarowo, a twarze dewotek czerwieńały z wścickłości. Matka Marka nie reagowała i dalej się kołysała, natchniona pieśnią i modlitwą.

Po mszy niedzielny obiad, który smakował dokładnie tak, jak powinien, czyli mdło. Teściowa wzięła Kamilkę na ręce, przytuliła niemowlę, a potem - jakby coś sobie przypominając - przyjrzała się mu dokładnie. „Jakie piękne dziecko! Co też ta lekarka opowiada, że jest opóźniona. Dziewczynka jak malowanie” - powtarzała swoje wiejskie mądrości, rytmicznie bujając usypiające dziecko. Krystyna ze złością odwróciła głowę, bo denerwowała ją afirmacyjna postawa wobec życia. Wszystko jest piękne, jest dobrze, a jak nie jest, to będzie, świat jest piękny. „Nie słuchaj lekarki! Kamilka będzie się normalnie rozwijać, trzeba tylko w to wierzyć” - mówiła teściowa i z zapałem gotowała kaszki, robiła herbatki, wyparzała butelki, a potem wyciskała soczki. Krystyna patrzyła obojętnie, jak starsza kobieta maltretuje jabłka

i morele, i czuła się jak wyciśnięty owoc, bez życiodajnych soków, bez energii. Jeszcze nie do końca odebrana nadzieja pozwalała jej normalnie funkcjonować: wstawać w nocy, karmić dziecko, przewijać i przytulać Kamilkę. Jednak kiedy trzymała córkę w ramionach, zawsze szukała potwierdzenia złowieszczej diagnozy lekarki, mimo że to nie była precyzyjna opinia. Opóźnienie psychomotoryczne - co to właściwie znaczyło? Z nikim nie chciała o tym rozmawiać. Przemilczanie problemu miało ją wyciszyć, złagodzić podenerwowanie i niepewność. Może po prostu pomóc go zignorować? Niczego nie zauważać, bo przecież istnieje tylko to, co się postrzega - dobry filozoficzny wykręt na codzienny użytek. Wieczorem, kiedy kładła dziecko spać, Krystyna pochyliła się nad łóżeczkiem i spoglądała na główkę lekko oddychającego dziecka, jakby chciała wzrokiem przeniknąć do jej wnętrza i dotrzeć do galaretowatej struktury, w której ukryty był winowajca. Tylko w którym miejscu? Gdyby mogła otworzyć czaszkę, choć przez chwilę popatrzeć na tę galaretę...

Robert zdecydowanym ruchem języka poślinił kopertę i zakleił ją z wielką dokładnością, zwracając uwagę na odstające rogi. Zawartość przesyłki - nieoceniony skarb, jego najlepsze utwory - miała dotrzeć do wydawnictwa. Kolejna próba zaistnienia jako poeta pochłaniała całą uwagę mężczyzny; poświęcał jej wszystkie chwile, nawet te spędzone w łazience podczas golenia. Zaciął się kilkakrotnie, bo poszybował wyobraźnią zbyt wysoko, nie bacząc na ostrze żyletki zawsze gotowej zranić. Cholera,

żeby znowu nie przyczepili się do jego wierszy - dzieciaczków ukochanych, bo tego nie przeżyje! Ostatnio skrytykowano jego utwory na forum literackim. Porażka bolesna, bo bez możliwości odwetu. Jeszcze się karmi nadzieją, że zmiażdży recenzję tego półgłówka, doszuka się w niej istotnych słabych punktów, błędów frazeologicznych, stylistycznych niedociągnięć - wszystko na próżno. Opinię napisano piękną polszczyzną i formalnie nie było się do czego przyczepić. Robert usiłował więc dotrzeć do danych recenzenta. Tropił go, węszył po wszystkich forach, szukając właściciela tajemniczego nicka, jakim się podpisał. Tekst był zgryźliwy, przesławczy, bo ktoś najwyraźniej kpił z jego wypielegnowanych strof, bagatelizował zawarty w nich ładunek emocjonalny, którym Robert zamierzał porazić czytelnika, a język jego poematów uznał za barokowy.

Złość mężczyzny wędrowała od wydawnictw, które nie chciały opublikować tomiku jego wierszy, do czytelników z portalu, którzy ich nie rozumieli. Potem nie wiedział na kim ma skupić swoją nienawiść, bo postanowił się nie rozpraszać i nie trwonić energii na wszystkie strony. Na razie ze swoją wściekłością pozostał przy wydawcach, którzy konsekwentnie odrzucali jego poezję. Życzył im wszystkim plajty, zarazy, ptasiej grypy lub innego świństwa. Nie cieszyły go wizyty sąsiadki Polki z silnie rozwiniętym instynktem opiekuńczym i sporym biustem. Słuchała jego wywodów o sztuce, o tworzeniu, patrzyła, nie mogąc ogarnąć tego, o czym mówił, ale Robert opowiadał dalej, bo przecież „i słuchacz, i widz jest artystą”. Jednak to chyba nieprawda, nie sprawdza się! Sąsiadka nadal spoglądała z rozchyłonymi ustami, a jej

piersi falowały przy wtórze deklamacji mężczyzny, kiedy tworzył nowe zasady poetyki, nowego *Promethidiona*. Uwielbiała Roberta zbyt mocno, dlatego tego nie lubił. Jej bezkrytyczność gniewała go nawet, kiedy zachwycała się wszystkim, co napisał. Nie mogła zostać jego muzą, a jedynie słuchaczką na każde zawołanie i głosicielką jego talentu. Mimo to pozwalał, żeby przychodziła, żeby upajała się jego wierszami, bo potrzebował wielbicielki, kogoś, kto karmił go nadzieją, popierał jego bezowocne pisanie. Jednak Beata królowała jedynie na pięćdziesięciu pięciu metrach kwadratowych mieszkania Roberta, bo nie chciał nigdzie z nią wychodzić ani pokazywać znajomym swojej nowej przyjaciółki. Potrzebował tylko jej ciała i podziwu. Jak wampir wysysał z niej całą energię i kazał jej służyć. Wiedział, że się nie zbuntuje, więc korzystał z dobrodziejstw jej bujnych kształtów i nawet nie próbował windować jej na wyżyny sztuki.

Wiedeń pokryły pierwsze liście o rubensowskich odcieniach - fruujące w powietrzu rajske ptaki. Krystyna spacerowała z wózkiem brzegiem Dunaju, po wyasfaltowanym bulwarze, który mimo technicznej obróbki wcale nie stracił swego uroku. Trochę chłodne i wietrzne wczesne przedpołudnie nie zachęcało do przechadzki. Deptak był pusty, ławki jeszcze wilgotne od nocnej rosy, której nie wysuszyły rachityczne promienie jesiennego słońca. Na drugim brzegu rzeki gawrony i kawki chciwie połykały okruchy bułki, nie zwracając uwagi na mężczyznę z kubłem na śmieci na kółkach. W dali z każdą minutą ożywało miasto, odgłosy silników przybierały

na sile: buczały, warczały i dudniły na moście. Kobieta spojrzała na uśpioną Kamilkę, skuloną w niewygodnej pozycji w spacerówce. Pochylona do przodu główka dziecka zawisła na piersi, kiwając się w rytm, jaki wyznaczały nierówności na drodze. Krystyna nie wiedziała, dlaczego tu przyszła w tak zimny dzień i o takiej porze. Przecież miała pójść na zakupy, a nie snuć się samotnie po opustoszałych bulwarach i obserwować dzikie kaczki kołyszające się na wodzie, jakby były sztuczne, z gumy lub plastiku.

Zatrzymała się, a po chwili odeszła od wózka w stronę przybrzeżnych krzaków, na których huśtały się głupio radosne wróble. Zrobiła jeszcze jeden krok w kierunku rzeki, a potem ruszyła powoli bulwarem w przeciwną stronę. Nie oglądała się. Jej dziwnie nieskoordynowany chód przypominał zmagania pijanego strusia. Uda histerycznie ocierały się o siebie, pięta wyskakiwała z buta. Krystyna jeszcze przyśpieszyła; była teraz mistrzynią marszobiegu. Odtworzyła w pamięci ostatnie obrazy: wózek stał za krzakami, niewidoczny z drugiej strony rzeki, wokół pustka, nikt nie widział. Co powie w domu? Porwanie, uprowadzenie? Nie chciała o tym myśleć, pragnęła tylko uciec jak najdalej od niegodziwej myśli, od spacerówki porzuconej w zakolu rzeki. Jeszcze parę metrów i dróżka nagle skręcała w lewo do betonowego nabrzeża, skąd już niedaleko do stacji metra. Kobieta pędziła. Wiatr zerwał jej luźno przewieszony szalik z jedwabiu, który poszybował w stronę zarośli. Przystanęła. Wiatr jest zbyt silny i może wyrzucić wózek! Nagle ogarnęła ją panika, że dziecku może się coś stać. Tego nie chciała. Pragnęła jedynie, żeby ktoś wziął sobie jej

córkę całą i zdrową i żeby z tym kimś Kamilka była szczęśliwa.

Zawróciła pędem, z trudem łapiąc powietrze. Wiatr świszczał, w uszach mieszały się wszystkie dźwięki, jakie słyszała, niepokojące tony podobne do płaczu dziecka. Jakiś straszny złowieszczy pisk wydobył się z poplątanych zarośli. Krystyna zamarła z przerażenia. Był to pierwotny, archaiczny lęk, przypisany człowiekowi od zarania istnienia, nie do opanowania. Istnieją tylko dwa rodzaje strachu: przed upadkiem i przed groźnymi odgłosami. Wszystkie inne obawy to - podobno - efekt niekorzystnych wpływów środowiska. Jeszcze jeden zakręt i zaraz zobaczy spacerówkę. Kwilenie mieszało się z wyciem wiatru, unosiło się w powietrzu przesiąkniętym nadchodzącą burzą. Przyroda grała Hitchcocka. Wózek stał w poprzek ścieżki, bliżej splecionych krzaków dzikich głogów i róży. „Pewnie wiatr go lekko przesunął, ale z pewnością nie mógłby przewrócić” - pomyślała z ulgą Krystyna. Kamilka już nie spała. Rozglądała się ciekawie i kiedy zobaczyła nad sobą twarz matki, uśmiechnęła się szeroko, jak zawsze ufnie i radośnie. Znowu ta cholerna ufność!

Kobieta szybkim krokiem wróciła do domu, jak w transie weszła do kuchni i zrobiła sobie dwie świeże bułki z nutellą. Dziecko chciało wyjść ze spacerówki, kwiliło cicho najedną nutę, niezbyt głośno i niezbyt natarczywie, więc Krystyna pozostawiła je w wózku. Usiadła ciężko przy stole i łapczywie wkładała do ust duże kęsy ociekające czekoladą. Żuła mięsz bułek, nagradzała się, choć powinna się ukarać, koła nerwy lepka mazią, a jej mózg uwalniał dopaminę. Teraz już wszystko

będzie dobrze... Bóg jej wybaczy. Ale czy osoba wierząca, zająkując się, uważała, uczyniłaby coś podobnego? Chyba tak, w końcu wolno nam błędzić; nie takie błędy popełniali pierwsi chrześcijanie! Przecież to nie grzech śmiertelny, nikogo nie chciała zabić.

Porzucenie Kamilki w parku nad Dunajem wydało się Krystynie absurdalne. Po kilku dniach nadal nie mogła się oswoić z myślą, że była zdolna do czynu, który cechowała przede wszystkim naiwność niedojrzałej kobiety. Ten spontaniczny pomysł nigdy nie miał szansy realizacji, bo szybko odnaleziono by przynależną dziecku matkę. Niechciane dzieci można przecież oddać i kto wie, czy nie zrobiłaby tego, gdyby nie Marek. Tłumaczyła sobie, że gdyby nie było Kamilki, wszystko wróciłoby do normy. Nagle zapanowałby stan szczęśliwości, bezproblemowy czas z wręcz widzialnymi promykami radości, błogie wieczory przy sztalugach z lampką dobrego wina. Ona i Marek, ich cienie na podłodze - trochę nierzeczywiste, wydłużone, nieruchome - zachodziły na siebie, tworzyły całość. Przyciszona muzyka, atmosfera ulotnego szczęścia, kołysanie się w rytm muzyki i drgań płomienia świec. Tylko ten obraz nakręcał Krystynę do działania - chęć przywrócenia dawnego porządku, ale najpierw Kamilka musi zniknąć.

Wspomnienie Emilii ożywało wraz z przyjściem Bożego Narodzenia. Było jak powtarzający się sen, od którego nie ma ucieczki. Krystyna nawet nie wiedziała, czy chce go śnić. Ta wysoka dziewczyna ze smutną twarzą uosabiała dziecięcą niewinność i zagubienie, przywodziła

na myśl zapach skórek pomarańczy i pieczonego chleba podawanego w wigilijny wieczór. Emilia przychodziła zaraz po kolacji i zostawała do pasterki. Obie w skupieniu pochylone nad prezentami tworzyły dziwną całość, nierozzerwalną jedność myśli i emocji. Prezenty od ojca - dla Emilii lepszy, zawsze piękniejszy, dokładnie taki, jaki sobie wymarzyła Krystyna. Szczupłe palce małej sąsiadki płynęły po klawiaturze fortepianu, kiedy grała kolędy. Wtedy zazwyczaj surowa twarz matki łagodniała, miękła pod wpływem dźwięków wydobywanych przez dłonie Emilki. Matka już dawno zauważyła, że ta obca dziewczynka ma więcej talentu niż jej córka, którą uczyła gry od piątego roku życia. Emilia kształcona za pieniądze jej męża grała lepiej: z wyczuciem, lekko, jakby nie wkładając w to wysiłku. Krystyna wiedziała, co myśli matka, widziała jej wewnętrzną walkę, zmaganie się z nienawiścią do pięknej Emilii i jednocześnie z podziwem dla jej talentu. Ojciec też patrzył na nią inaczej niż na Krystynę, ale nie rozumiała, na czym polega ta inność. Któregoś dnia Emilia dokonała tego, czego nigdy nie zrobiła Krystyna - ku zdumieniu i rozpaczyci matki poprawnie zagrała Chopina. Byli dziwną rodziną. Krystyna nie mogła sobie przypomnieć, żeby matka kiedykolwiek utrzymywała bliskie kontakty z kobietami z wioski - tylko krótkie „dzień dobry” pod kościołem i to wszystko. Dlaczego nikt do nich nie przychodził? I czy to życie poza wsią, mentalnie i fizycznie, to był wybór jej rodziców czy konieczność? Albo czuli się lepsi od innych rodzin, albo gorsi.

Krystyna kupiła kilka zagruntowanych płócien, chociaż właściwie do tej pory sama przygotowywała podobrazia. Tym razem jednak niecierpliwosć wzięła górę. Malować, jak najszybciej, bez wstępów, robienia podkładów, czekania, aż wszystko wyschnie, szybko, bo pomysły uleci, rozpłynie się w jednostajnym rytmie dnia, rozlezie w codziennej rutynie. Siadła do sztalug i wyłączyła odbiór gderania teściowej z powodu niewyprasowanych koszul. „Co mi tu ona z koszulami! Tu powstaje sztuka, do cholery!” - mruzczała Krystyna i stworzyła nieistniejący krajobraz z wrzosów i leniwie płynącej rzeki, której zakręcone koryto okolone grubą czarną kreską przypominało secesyjną linię. Niedorzecznie blisko wody wrzosowisko płonęło żywym fioletem, nienaturalnym i agresywnym, spośród którego wyłoniła się niewielka postać kobieca, naga, jakby ułomna, w ekspresyjnej pozie jak z płócien Egona Schiele. Brzydka i wulgarna sylwetka kobiety zdawała się brodzić we wrzosowym polu, urągając pięknu krajobrazu nieskażonemu ohydą grzechu. „Co to za paskudztwo? - pomyślała Krystyna. - Skąd się wzięło?” Kobieta uosabiała to, co w człowieku mroczne i szpetne, utajone w zakątkach kory mózgowej, jeszcze nieodkryte. Kobieta ta była Krystyną. Brzydota przybrała cielesną formę, bo tylko taka działa na wyobraźnię, jest namacalna, konkretna i zrozumiała dla każdego. Jednak szpetota duszy okazuje się dużo gorsza - Krystyna była o tym przekonana od tamtego dnia nad Dunajem. W popłochu odstawiła obraz za szafę, gdzie stał niewidoczny, więc nie istniał.

Wróciła do zaczętego obrazu na konkurs. Z płótna wyzierała jedynie połowa kobiecej sylwetki w nienaturalnej

pozie. Druga połowa przedstawiona była w zarysie, domyślna, na pograniczu ludzkiej percepcji. Praca niedokończona, a zarazem doskonała, więc Krystyna uznała dalsze malowanie za bezcelowe. Tak, wysłała ją na konkurs! Wbrew oczekiwaniu malarki obraz zadziwił niezwykłą dynamiką pomimo dość statycznego obiektu. Farba długo nie chciała wyschnąć. Jeszcze ją kusiło, żeby coś dodać, wyjaśnić, pogłębić. Kilkakrotnie podchodziła do sztalug. Nie znalazła ani jednego elementu, który wymagałby dopowiedzenia. Kiedy obraz wysechł, owinęła go papierem. Bała się, że ktoś doradzi jej całkiem życzliwie, żeby go dokończyła, zanim wysłała na konkurs.

Krystyna często brała Kamilkę na ręce. Wiedziała, że to nieodzowne, aby zbudować obraz dobrej matki. Skoro nie była dobrą matką, to musiała stworzyć pozory, bo teściowa i Marek ją obserwowali, jakby mierzyli siłę jej emocji, jakby przystawiali je do niewidzialnej skali, aby odczytać wynik. Kobieta ze zniecierpliwieniem czekała na nadejście matczynych uczuć, lecz na próżno. Codziennie budziła się z poczuciem winy i znowu wypatrywała zwiastunów miłości. Poranki były zimne i tak też należało określić uczucia Krystyny wobec córki. Przytulała ją jednak, bo wiedziała, że inaczej dziecko nie będzie miało żadnych szans na normalny psychiczny rozwój. Huśtała Kamilkę w objęciach, bo wyczytała o systemie westybularnym - podobno kołysane dzieci rozwijają się lepiej. Bujała więc do upadłego. Właściwie powinno być jej obojętne, czy dziecko będzie się rozwijać, skoro go nie kochała. Ciągle miała wrażenie, że coś

się nie zgadza w bilansie jej uczuć, coś, co się wzajemnie wyklucza, a przynajmniej nie pozwala precyzyjnie określić jej stosunku do córki. Modlitwy stawały się coraz mniej żarliwe, jakby modląca sama już przestała wierzyć w ich moc, ale nadal - może na wszelki wypadek - zносиła swoje prośby do Boga, który po raz pierwszy zdawał się jej nie słuchać. Krystyna nie czuła już tej ciepłej otoczki wokół siebie, tej pewności, ufności, jaką zapewniała jej boska opieka. „Czyżby kryzys wiary?” - myślała. Nie, nigdy! Jej wiara była zbyt ugruntowana, zakotwiczona, nie do wyrwania. Chociaż nigdy nie można być niczego pewnym, a tym bardziej własnej wiary. Coraz częściej do rutynowego myślenia wkradały się niewygodne pytania. Co się dzieje po śmierci? Kobieta zastanawiała się nad tym po raz pierwszy i było to jak początek zwątpienia. Wcześniej nigdy nie rozmyślała o tym, co oczywiste. Wiedziała z całą pewnością, co się z nią stanie po opuszczeniu ciała. Wiedziała, że kiedyś je odzyska, bo była zwolenniczką teorii replik. Może do tej pory tym się nie zajmowała, bo działał stary niezawodny mechanizm obronny, który każe człowiekowi tłumić to, co nieprzyjemne, nie dopuszczać niewygodnych faktów do głosu. A może rzeczywiście był to początek przemiany, a w każdym razie początek rozważań nad życiem i śmiercią i nie miał kto podsycać wiary Krystyny, nadzorować jej myśli. Matka nie żyła.

W mlecznym świetle żarówki gubiły się detale, rozmywały desenie kanapy i łagodniały kontury starej nadgryzionej przez korniki szafy. Meble w pokoju teściowej

pochodziły jeszcze z tamtego okresu, z czasów nadziei i wielkich planów. Były to magiczne chwile na początku znajomości z Markiem, kiedy jeszcze słowo Wiedeń miało moc przemienienia. Zwinnie i niepostrzeżenie wkradało się do ich myśli, aby potem zawładnąć pragnieniami i snami. Lekkość nazwy, zauroczenie samym dźwiękiem wystarczyły na długie miesiące, może na rok. Potem przyszła rzeczywistość z teściową w tle i Wiedeń przestał być magicznym miastem. Stał się miejscem, gdzie zamieszkali, zdając sobie sprawę, że nie ma to nic wspólnego z wcześniejszymi marzeniami przekształconymi teraz w pragmatyzm. Marek z pięknego uwodzicielskiego chłopca zmienił się w mężczyznę zabijającego muchy kłapkami albo kapciem. Stracił urok, charyzmę, nie zdając sobie z tego sprawy. Odarty z uroku, łapczywie mielił w ustach schabowe. Ulice powoli zszarzały jak po ulewie. Mieszkańcy niczym automaty przemierzali miasto wzdłuż i wszerz, pozornie bez celu. Z rozdmuchanych nadziei uleciało powietrze i został tylko malleńki, całkiem racjonalny projekt przetrwania w obcym mieście i zarobienia pieniędzy.

Obok tego Wiednia, który Krystyna знаła, odartego z uroku, zwyczajnego, przesiąkniętego różnojęzyczną mową, kobieta odkrywała inne oblicze miasta: jeszcze gorsze, z ciemnymi zaułkami i bezdomnymi nędzarzami pchającymi przed sobą wózki sklepowe z całym swoim dobytkiem. Różnokolorowe worki ciasno opinały zbutwiałą odzież bez przerwy wystawianą to na palące słońce, to znowu na poranną mżawkę. Wyziwy kuchni dla ubogich, człowieczy smród. Odzież służyła jako materac, poduszka, przykrycie, ręcznik - w zależności od

potrzeb. W tym świecie, który Krystyna znała jedynie z obserwacji, nacjonalistyczne animozje ujawniały się najwyraźniej, bo nikt się nie starał o poprawność polityczną. Nikt się nie bawił w zbędną ostrożną retorykę, kiedy chodziło o miejsce do spania. Bezdomni Austriacy wyparci zostali przez obcokrajowców z domów przeznaczonych do rozbiórki. Krystyna często przechodziła obok jednej ze starych rozpadających się kamienic, która tylko czekała na swoją kolejkę, żeby zamienić się w beładny stos cegieł. Wieczorem budynek ożywał szarym tłumem oraz mdłym światłem świec i latarek. W mroku rodziły się odgłosy, pomruki, nawoływania. Nie ustawały walki o te opuszczone rudery, które po raz ostatni stały się przedmiotem pożądania, jak za dawnych czasów, kiedy każdy gzyms i każda secesyjna linia podkreślały ich niepowtarzalność. Tureccy bezdomni zrzeszeni w sprawnie działających grupach skutecznie usuwali Austriaków szukających w ruinach schronienia. Ciekawe czy w Polsce siły rozłożyły się podobnie, czy może bezdomni i nędzarze są jednej nacji?

W schroniskach też trwała walka - niema, bez złorzeczeń i wzajemnych wyzwisk, bo w takich instytucjach wszyscy musieli się zachowywać poprawnie, przestrzegać pisanego i niepisanego kodeksu bezdomnych. Bezdomny - zdawałoby się wolny ptak, człowiek niepodlegający żadnym nakazom - przychodził do schroniska złamany fizjologią, która nakazywała mu napełniać brzuch, z większym lub mniejszym skrępowaniem wyciągnąć zmarzniętą rękę i czekać, aż zawartość sporej chochli z pluskiem wyląduje w misce. Potem szybko, jakby z zawstydzeniem, siadał przy sękatym stole i nie

ogłądając się za siebie, zjadał posiłek. Ukradkiem, jakby się nie należało, chociaż inni też jedli, nie rozglądając się po sali, wpatrzeni w talerze. Wstyd zanikał wraz z każdą codzienną porcją zupy, z każdym gestem wyciągniętej dłoni. Potem ciepły prysznic, przyjemny zwłaszcza w mroźne wieczory, cudza odzież z darów i własny materac, tylko na jedną noc.

Kamilka rosła i fizycznie rozwijała się prawidłowo, to znaczy jeszcze się mieściła w normie, jeszcze nie przyciągała ludzkich spojrzeń swoim wyglądem. Za gruba, niezgrabna i przyciężka w ruchach, miała sympatyczną twarz z lekko zadartym noskiem i szeroko rozstawionymi oczami koloru stali. Nie podobała się Krystynie, która wszędzie szukała piękna, nawet w kształcie muszli klozetowej, i która zawsze twierdziła, że jej projekt byłby przyjemniejszy dla oka użytkownika. Rzecz w tym, że to nie oko używa sedesu, więc byłby to zbędny trud. Kiedy patrzyła na córkę, jej umysł odmierzał ją wzrokiem, badał, porównywał, dokonywał poprawek. Z tych pomiarów zawsze wynikało, że Kamilka jest niezgrabna, nawet jak na dziecko, którego proporcje nie odpowiadają jeszcze normie. Co jest zatem normą? Na czym się oprzeć? Krystyna wielokrotnie zadawała sobie to pytanie, cały czas szukała na nie odpowiedzi. Przecież nie można porównywać do Witruwiusza? Ile modułów? Ale piękno to nie tylko proporcje, to także umiar, kształt i ład, lecz jak to odnieść do żywego człowieka? Piękno umowne czy obiektywne? Czy potępić tego, któremu podoba się krzywy nos zachodzący na lewy policzek? Co od-

rzuca od brzydoty? Czy może to, że podświadomie kojarzy się ze złem?

Krystyna szukała piękna w Kamilce, w jej twarzy kryjącej wszystkie cechy pospolitości. Potem noc skłaniała ją do uległości, bo noc zawsze niesie jakiś dziwny niepokój, więc kobieta prosiła Boga o wybaczenie grzesznych myśli. Dopiero wtedy uzmysłowiła sobie własną pychę - przypisała sobie prawo do oceny człowieka, którego Stwórca uformował na własne podobieństwo. Tak więc Kamilka jest piękna. Krystyna usypiała uspokojona. Ale rano oczy jakby same, niezależnie od jej woli i przekonania o boskim pochodzeniu człowieka, odmierzały ciało córki, znajdując mnóstwo niedoskonałości anatomicznych. Krystyna miała zakodowaną w głowie idealną proporcję, która utkwiała w jej podświadomości, kiedy kobieta godzinami patrzyła na renesansowe posągi, szkicowała je i rejestrowała w pamięci każdy detal. Dlatego natychmiast wychwytywała niewielkie odstępstwo od normy jakby jakiś nieznanymi mechanizm informował ją o błędach i włączał program korygujący niedoskonałości.

W kuchni było duszno, tak że okna zaparowały. Pochyłona nad książką dziewczynka ze słabym pęcherzem siedziała na wiadrze z wywarem z kory dębu, bo wierzone, że ten napar przyniesie dziecku ulgę. Nie zważając na protesty córki, matka przygotowywała Krystynie nasiadówki. Mocny zapach kory dębu unosił się w pomieszczeniu, mimo że brzegi wiadra, nieznośnie wpijające się w uda dziecka, były szczelnie owinięte ręcznikiem.

Krystyna wiedziała, że zabieg będzie trwał długo, co najmniej godzinę i że matka nie pozwoli jej wstać nawet na chwilę, chyba że będzie chciała dolać gorącej wody. Kiedy wrzątek łądował w wiadrze, dziecko musiało szybko z powrotem na nim usiąść, żeby nie trwonić ciepła. Czasami opary były wręcz gorące, bo matka nie brała pod uwagę faktu, że dolewanie wrzątku podnosiło poziom wody w wiadrze i przybliżało jej powierzchnię do skóry córki. Nie słuchała protestów, bo tę metodę przetestowało już kilka pokoleń w jej rodzinie, więc była bezpieczna. Jeśliby nie pomogła na pęcherz, to może wypędzi z trzewi solitera, który podobno lubił dębową saunę i zwabiony zapachem i ciepłem opuszczał labiryntyjelit. Wtedy wystarczyło urwać mu głowę i zabieg można uznać za udany. Krystyna zastanawiała się, dlaczego matka tak często ją torturowała nasiadówkami, zamiast pójść z nią do lekarza. Złośliwość, brak uczuć czy może wiara w tradycję zakorzeniona tak bardzo, że nie brano pod uwagę innych metod leczenia. Wtedy na wiadrze zaczęła marzyć i kilka razy udało jej się oderwać duszę od obolałego ciała i unieść się nad oparami. Ciało nadal posłusznie tkwiło nad wywarem, ale dziewczyna już nie czuła gorąca, które przenikało do jej wnętrza. Potem wycieczki poza czasem zdarzały się jej coraz częściej, ale już nie potrzebowała do tego katalizatora w postaci nasiadówki.

Robert wracał myślami do tamtego ciepłego popołudnia, kiedy zadzwonił telefon i przestraszony głos siostry błagał o spotkanie. Obiecywał, był przekonany,

że pomoże, jednak chyba tylko na początku, potem pewność powoli zniknęła, bladła jak jego twarz opanowana strachem. Mężczyzna siedział po ciemku, niewidoczny, przygnieciony wspomnieniem, które kłuło i zapuszczało żądkło. Spojrzał na komputer i od razu wiedział, że nie ma sensu go włączać, bo i tak nie przyszły żadne maile. Wrogość urządzenia odczuwał niejako intuicyjnie i mógłby się założyć, że jego skrzynka nie zawiera żadnych listów. Oczekiwanie odpowiedzi należało do codziennego rytuału, tak samo jak przeglądanie gazety, szczotkowanie włosów i przycinanie paznokci. Robert zaparzał sobie kawę, zasiadał przed włączonym komputerem i długo i cierpliwie czekał na maile. Wyobrażał sobie nieznanym mu wydawców czy recenzentów, którzy z zachwytem czytają jego wiersze, aż policzki im płoną z emocji, i którzy potem siadają do komputerów i piszą do niego listy z pochwałami. Bawił się w wizualizację i doszedł w tym do pewnej wprawy, bo wyobrażał sobie potencjalnych wydawców swojej poezji ze wszystkimi szczegółami dotyczącymi wyglądu i cech charakteru. Jednak nie otrzymywał od nich wiadomości, więc coś nie funkcjonowało na medialnych łączach. Po godzinie rezygnował i czuł, że sam siebie okradł z czasu, ale już następnego dnia znowu zasiadał przed monitorem z kawą w ręce. Zabijanie czasu, morderstwa popełnione na sekundach, które trwały za długo, przeszkadzały tykaniem bardziej niż ujadanie psa za oknem. Robert podniósł głowę znad komputera. Obraz pokoju rozmył się w ciągłą smugę pozbawioną kolorów. Mężczyzna dotknął swojego brzucha i powoli zaczął go nieznacznie gładzić. Potem nasilił ruchy rąk, gładzenie stało się gwałtowne, wręcz bolesne.

Jak w ekstazie zaciskał coraz bardziej palce, aż w końcu brutalnym ruchem przeorał paznokciami skórę na brzuchu. Pręgi podeszły krwią. To go uspokoiło. Opadł na fotel, oddychał wolniej, jakby wypoczywał po ciężkim dniu. „Niedługo wsadzą mnie do czubków, trzeba uważać, trzeba uważać”. Kołysał się, co natychmiast podziałało uspokajająco. Postanowił, że na gwiazdkę albo na urodziny kupi sobie fotel bujany i będzie się tak huśtać.

Znajomość z Beatą zaczęła się zacieśniać. Nie można było tego nazwać przyjaźnią, ale powoli ta zwyczajna kobieta stała się częścią życia Krystyny. Po cichu, niezauważalnie wcisnęła się do jej artystycznego świata i coraz częściej zupełnie niespodziewanie pojawiała się w pracowni. Krystyna nie śmiała oponować, a nawet przyzwyczaiła się do tych wizyt. Ten dziwny związek artysty i odbiorcy podziwiającego jego obrazy przypominał relację między Picassem a Jaimiem Sabartesem, polegającą na jednostronnej fascynacji. Malarka tolerowała zachwyty Beaty dla jej obrazów, przyjmowała hołdy jak coś zupełnie naturalnego i zawsze była zaskoczona drobną krytyką, na którą nieraz pozwalała sobie przyjaciółka.

Beata weszła do pracowni, wzięła do ręki przykryty kocem obraz ułomnej kobiety i pokręciła głową. Dziwiła się, jak można malować coś tak brzydkiego tematycznie, bo dla niej sztuka miała wyrażać jedynie piękno, cieszyć oczy, nie obrażać i nie demoralizować. Krystyna nie znośiła oceniania prac w takich kategoriach. „Sztuka ma zadania” - mówiła pozytywistka Beata i nie mogła zrozumieć, dlaczego Krystyna marnuje dar boży na malowanie

takiego paskudztwa. Początkowo Krystynę bawiły mało fachowe uwagi o artyzmie, ale z czasem opinie nieprzygotowanej do odbioru dzieł Beaty zaczęły ją denerwować i obrażać. „Malarstwo to estetyzm” - naiwnie myślała Beata, nie znając znaczenia tego terminu, i z oślim uporem odrzucała kanon brzydoty w sztuce. Sąsiadka długo siedziała z obrazem w dłoniach i rozważała, ile trzeba by wprowadzić poprawek, żeby postać na płótnie nie obrażała oczu, zwłaszcza tych wrażliwych. Może kilka wprawnych ruchów pędzlem złagodziłoby ohydę kobiety, trochę błękitu rozproszyłoby chmury ciemne jak dym z komina fabrycznego, nieprzydatne, bo niezrozumiałe. Krystyna doprowadzona do rozpaczony prawie siłą wyrwała obraz z rąk koleżanki i schowała go za szafą, chroniąc przed obraźliwą opinią laika. Przez chwilę patrzyły na siebie wrogo, z napięciem widocznym na lekko zmarszczonych czołach. Przeciwwstawne światy, przeciwwstawne estetyki, zaborcze, wrogie sobie, stały zwrócone do siebie frontalnie. Jedna - estetyka codzienności, zwyczajności, zrozumiałości; druga - estetyka artysty.

Krystyna próbowała negocjować z własnym sumieniem, urobić je, przekonać o swojej niewinności, o najlepszych zamiarach względem Kamilki. Ale łatwiej polemizować z drugim człowiekiem niż z własnym mózgiem, głuchym na pustostowie. Wystarczyło przemycić do podświadomości kilka pozytywnych i odpowiednio sugestywnych wyobrażeń o sobie, żeby w nie uwierzyć. Sprawa tylko pozornie wydaje się łatwa, bo podświadomości strzeże nieprzekupny cerber, który nie daje się

zwieść i wpuszcza do środka tylko to, w co naprawdę wierzy, a nie jest łatwowierny. Krystyna chciała przekonać samą siebie, że w głębi jej serca drzemia wielkie uczucia dla córki, tylko z niewiadomych powodów nie mogą się przebić. Niekochanie Kamilki uważała za największą zbrodnię, której nie można w żaden sposób zrehabilitować. Szamotanie przybierało na sile, wizyty u Adamskiego stawały się częstsze. W tej fazie kobieta uważała się za winną i koniecznie chciała poznać przyczynę swojej oschłości. Ciało migdałowe nie reagoowało, Krystyna cierpiała coraz bardziej. Doktor Adamski był jedyną osobą, która znała jej tajemnicę, ale też nie potrafił złagodzić jej bólu ani podać konkretnych rozwiązań. „Ciało migdałowe przechowuje wzorce miłości z dzieciństwa, właśnie z dzieciństwa. Nie ma miłości bez dopaminy, jądro ogoniaste i inne jądra też mają w tym swój udział” - chaotyczny bełkot psychiatry niezbyt pomógł Krystynie, która niewiele wiedziała o tego typu jądrach, ciałach i płatach. Chciała tylko zrozumieć, dlaczego nie mogła wymusić na sobie choć odrobiny uczucia dla córki. Może by tak te jądra popieścić prądem o niewysokim napięciu, a wówczas jak po elektrostrząsach fale wrócą na swoje miejsce. Tylko czy to pomoże? Nigdyjeszcze nie słyszała, żeby prąd miał wpływ na uczucia.

Od tamtego pamiętnego dnia pod kościołem Krystyna zastanawiała się, kim jest jej jedyna przyjaciółka. Obserwowała ją ukradkiem, dotykała ręki Emilki, jakby chciała sprawdzić, czy zmienił się jej dotyk, czy może na dnie

niebieskich oczu odnajdzie zwykłą zawiść. Oczy były czyste jak górskie jeziora i Krystyna nie mogła dopatrzeć się w nich żadnej niegodziwości, więc dała spokój domysłom i dawna zażyłość wróciła. Emilka nie miała o niczym pojęcia i ta nagminna nieświadomość rzeczy podłych i grzesznych stawiała ją gdzieś na wyżynach moralności. Potem Krystyna myślała, że niewinność koleżanki jest udawana i stanowi rodzaj wygodnictwa, bo nie trzeba zajmować żadnej pozycji, nie trzeba niczego komentować i oceniać. Najlepiej o niczym nie wiedzieć. Krystyna jednak wiedziała i to nie dawało jej spokoju. Ojciec siedzący w ciemnym pokoju pod ścianą z obrazem świętego Jerzego i Emilka najego kolanach, aniołek o niezbadanym wyrazie twarzy. Kilka razy była już tak blisko oświecenia przyjaciółki, że słowa same wychodziły z jej ust, aby w ostatniej sekundzie zmienić sens. Czy była to jeszcze tajemnica? Chyba jedynie dla dzieci, skoro plotkary rozpuszczały języki pod kościołem. Zawsze znalazł się ktoś do obsmarowania, oplucia i zmiżdżenia. Po mszy dokonywano mentalnych zbrodni, ukamienowań, chłostano winnych albo tylko odmiennych, wyróżniających się. Nie popuszczano nikomu, nawet młody wikary znalazł się w kręgu zainteresowań wścibskich kobiet, bo to też człowiek, a święcenia nie chronią przed grzechem. Zresztą gdyby nie grzeszył, plotkary i tak by coś wypatrzyły.

W podmiejskim ogrodzie, wynajętym na dziewięćdziesiąt dziewięć lat poszarzało od jesiennej pogody, zawisłej w powietrzu deszczową chmurą. Niewidzialne

drobiny mżawki osiadły na włosach Krystyny i skrzyły je w drobne spiralki jak u Buszmenki. Po drugiej stronie płotu oplecionego dzikimi malinami, prawie brązowymi, wypalonymi słońcem, Krystyna dostrzegła smukłą sylwetkę sąsiada. Pochylony nad kosiarką nie widział jej, więc mogła przez dłuższą chwilę obserwować jego pewne, zdecydowane ruchy ramion, kiedy grzebał przy zepsutym silniku. Poczowała przypływ dziwnych emocji, które chciała natychmiast zdusić bez zastanawiania się nad ich istotą. Samo poruszenie w żołądku, przyjemna fala ciepła wystarczyły, żeby Krystyna uznała je za nieprzyzwoite. Mężczyzna podniósł głowę i uśmiechnął się. Pozdrowił ją lekkim skinieniem. Kobiecie wydawało się, że w jego spojrzeniu, na samym dnie zwyczajnej uprzejmości ukryło się zainteresowanie, a może nawet fascynacja. Kto wie? Jakież dziwne fluidy emanowały z twarzy sąsiada. Ciepło, gęsia skórka, lekkie łaskotanie w żołądku. Potem jej wzrok padł na łoży rosnące obok siatki, z którymi Marek zmagał się w zeszłym roku - przepisy mówią, że nie mogą wystawać poza parkan. Podekscytowanie natychmiast rozpułnęło się we wspomnieniu. Łozy, cienkie witki, w ruchu - szybkie, sprawne i bolesne.

Dyscyplina wisała na ścianie w dużym pokoju, tuż przy drzwiach. Ostro zakończony ogon wydawał się żywym organem, drgał przy każdym powiewie wiatru podczas otwierania okien i drzwi. Cienka, wydłużona na jednym końcu witka, odarta ze skóry. Krystyna zawsze przyspieszała, przechodząc obok tego diabelskiego narzędzia wywołującego trwogę nawet w stanie spoczynku.

Ogon świszczął jak oszalały w cierpkim, przesiąkniętym walerianą powietrzu kiedy matka podnosiła rękę. Prężył się mściwie, syczał złowieszczco, zanim opadł na zatrwożone plecy. Potem kojące ramiona i cichy oddech Emilii, zapach jej włosów i łagodne ruchy prawej dłoni, którą przyjaciółka gładziła zbolące plecy Krystyny.

Robert podszedł do okna i przyjrzał się z bliska bladej roślince ze zwieszonym żółtym kielichem. Chciał wyprostować wiotką łodygę, ale kwiat znowu się ugiął, jakby w pokłonie przed swoim opiekunem-oprawcą. Obok stały doniczki z innymi kwiatami, na których Robert przeprowadzał eksperymenty, nazywając je ortopedią roślinną. Umieszczał łodygi w gorsetach ze styropianu, aby nadać im odpowiedni kierunek wzrostu. W wyniku tych dziwnych eksperymentów otrzymywał pędy skrzycone w spiralę lub przekrzywione w jedną stronę. Wśród uprawianych przez Roberta kwiatów były też takie, które z natury się wiły, ale mężczyzna zmusił je do rośnięcia w górę. Celowo działał przeciwko naturze, próbując w znacznym stopniu zmienić zakodowany kierunek. Produkował roślinne potworki, wzorując się na średnio-wiecznych praktykach, o których kiedyś czytał i które zapłodniły jego chory umysł. Kwiaty to jego dzieci - wsadzał je w dzbany, związywał im kończyny, zwiężał czaszki, poił je alkoholem, żeby nie wyrosły. Nie widział w tym nic złego. W końcu nie zajmował się noworodkami, lecz młodymi roślinkami, dopiero co przebijającymi się na powierzchnię ziemi. To okaleczanie sprawiało mu perwersyjną radość, a rezultaty eksperymentów

cieszyły go i napawały dumą. Myślał nawet o wieczorku literackim w sali udekorowanej jego kwiatami. Czytanie wierszy na tle udziwnionych i zniekształconych wedle jego fantazji roślin i Robert jak demiurg pośród nich. Kwiaty poddawały się jego woli i rosły w najróżniejsze strony, zmieniały kształty kielichów, a niektóre na znak protestu przeciwko tym praktykom usychały i pokonane padały przed nim na ziemię. Mężczyzna usuwał je bezlitośnie, bo złośliwie utrudniały przeprowadzenie studiów nad ortopedią roślinną.

Robert podszedł do telefonu, po długim namyśle wykręcił numer i delikatnie przytknął słuchawkę do ucha. Czekał w napięciu, chrząkał, ocierał czoło i liczył przeciągające się sekundy, brzęczące niespokojnie w uchu. Głos w słuchawce zabrzmiał ciepło, kobieco - odebrała siostra. Zająknął się, niepewnie, niezręcznie formułował zdania, jakby mówił w obcym języku. Poznała go po głosie, więc milczenie stało się nieprzyjemne, nieprzejednane, odpychające. W końcu powiedziała to, co zawsze. Wiedział, że nie powinien więcej dzwonić, bo częstotliwość jego telefonów nie wpłynie na zmianę dawno już podjętej decyzji. „Tak mi przykro” - chciał jej wyznać, przeprosić, ale zanim zdążył złożyć w myślach jedno zdanie, słuchawka odpowiedziała uporczywie powtarzającym się przerywanym sygnałem. Może innym razem, tak, z pewnością kiedyś, w bliżej nieokreślonym czasie.

Mężczyzna stanął przed lustrem i przyjrzał się swojej twarzy - twarzy tchórza. Potem rozpiął koszulę i popatrzył na obnażony tors, niewyćwiczony, mało sprężysty. Spojrzenie wciąż przesunęło się w kierunku brzucha, ale Robert szybko odwracał głowę, jakby chciał sam przed

sobą coś ukryć. Nienawidził siebie za swoje niedoskonałości, za lękliwą naturę, za to, że nikt nie chce wydać jego wierszy, bo widocznie nie są wystarczająco dobre. Surowość wobec siebie miała często cechy neurotyczne i nie istniała od zawsze. Narodziła się dopiero dwa lata temu, kiedy popełnił niewybaczalny błąd. Chcąc się za to ukarać, często przybierał postawę ascety, by w końcu po kilku miesiącach powrócić do wybujałego życia, jakie wiódł wcześniej. Tę dwoistość w ubiorze i zachowaniu Roberta natychmiast wyłowiły wrażliwe uszy i oczy lokatorów kamienicy, którzy uznali go za dziwaka i odmieńca. Przez kilka miesięcy celował w umartwianie się, by potem dość gwałtownie i bez ostrzeżenia przejść w hedonistyczną fazę uciech i swawoli.

Właśnie w okresie prezentowania takiej dekadentckiej postawy mężczyzna po raz pierwszy ujrzał Krystynę. Jeszcze nie wiedział, co zrobić z narzucającym się uczuciem, którego nawet nie umiał nazwać. Koniecznie chciał się zbliżyć do tej zamyślonej istoty, wpatrzonych w płytki chodnika, jakby szukała zguby. Nisko, trochę nienaturalnie pochylona, zdawała się myśleć o czymś, co nie miało nic wspólnego z materialnym bytem na ziemi. W końcu kiedyś zobaczył ją w towarzystwie Beaty i posługując się łańcuchem pretekstów, we właściwej chwili znalazł się w odpowiednim miejscu. Poznał Krystynę, która rzuciła mu zupełnie obojętne spojrzenie, podała mu małą, wąską dłoń, po czym kontynuowała rozmowę z koleżanką. Ta obojętność na jego osobę zraniła Roberta. Pewnie Krystyna nie wie, że jest poetą. Stał obok i słuchał jej głosu - trochę twardej wymowy, jaka cechuje Polaków długo mieszkających za granicą.

Nadeszła wiosna i Krystyna zapragnęła innej miłości, wzniosłej szej, oderwanej od smażonej cebuli, brudnych męskich gaci i skarpetek z przetartymi piętami. Marzyła o uczuciu karmiącym się jedynie samym uwielbieniem, spojrzzeniami, od których płonęły policzki, połączeniem ciała i dusz. Ale najpierw dusz. Myśli jej biegły zawsze tylko w jednym kierunku, na drugą stronę ulicy, gdzie często widywała Roberta, znajomego Beaty. Niewysoki, niepozorny mężczyzna, zadumany, zupełnie nie w guście Krystyny, ale ze wspaniałym atutem w postaci intelektualnych ambicji. Kiedy widział Krystynę wracającą ze sklepu, pozdrawiał ją skinieniem głowy i posyłał jej promienny uśmiech, jego uwodzicielską odmianę. Początkowo kobieta ignorowała te dowody sympatii z jego strony, broniła się przed jakąkolwiek interpretacją uśmiechu Roberta, jednakże zarejestrowała mało uchwytnie zawirowania aury, gdy stał na chodniku z niedbale przewieszonym przez jedno ramię plecakiem. Coraz częściej wkradał się do jej myśli, a potem do snów i nawet chrapiący obok Krystyny Marek nie mógł go przegonić. Kobieta dziwiła się sama sobie, że tak pociąga ją ten niemłody już człowiek o lekkim chodzie i bujnej, bitelsowskiej grzywce, którą odrzucał z czoła do tyłu dość wystudiowanym ruchem głowy. Może wyczuwała u niego to samo nieodgadnione pragnienie całkowitego oddania się sztuce, oderwania od świata materii, smakowania życia, nie konsumowania. Wszystko to zdawało się ich łączyć.

Od Beaty dowiedziała się, że to jej wyśniony, że jest poetą i właśnie tak o nim myślała - jak o poecie. Po

pierwszych osnutych tajemnicą spotkaniach Krystyna sądziła, że ten uduchowiony mężczyzna może zaspokoić jej pragnienie innej miłości, kiedy jednak poznali się bliżej, zawsze dostrzegała jego wybujałą cielesność, prymitywne, zredukowane potrzeby trzeźwo myślącego faceta. Począwszy od pierwszego pocałunku w ciemnym korytarzu prowadzącym do taniego pokoju hotelowego, wystudiowane i sztuczne natchnienie powoli, ale bezpowrotnie zniknęło z twarzy Roberta. Krystyna zdecydowała się na romans w nadziei na znalezienie brakującej części uczucia, jakim darzył ją mąż. To, co dawał jej Marek, nie pozwalało, aby nakarmić spragnioną nadzwyczajności artystycznej duszy Krystyny. Nie wystarczyły pocałunki pachnące cebulą, dotyk splekanych, chropowatych dłoni, przytulenie do opasłego brzucha, niechlujnie wystającego spod kusego podkoszulka. Kiedy dostrzegła u Roberta zwykłe ludzkie reakcje, przyjmowała je niechętnie, odsuwała natrętną ręką, prosząc o chwilę pieśczoły. Zwyczajności niech szuka u cielesnej, dosadnie zaokrąglonej i krzepkiej Beaty. Bez chimerycznych nastrojów, miłej i zawsze w dobrym humorze. Czasami Krystyna była zazdrosna o koleżankę, że tak świetnie radziła sobie w życiu: sama wychowywała dzieci, sprzedawała warzywa na hali i pchała swój wózek do przodu z werwą i bez narzekania. Obserwowała ją ukradkiem, chciała zrozumieć tajemnicę zwyczajnej radości, pogodnego usposobienia, wesołych ogników w ciemnozielonych oczach. Pojawiała się u Beaty niespodziewanie, bez zapowiedzi, jakby chciała przytępać ją na czymś, czego jeszcze nie potrafiła sprecyzować. Zaskoczenie miało dać Krystynie przewagę nad przyja-

ciółką, stwarzało nowe sytuacje, które mogły pomóc odkryć tajemnicę Beaty, bo z pewnością istniała jakaś tajemnica. Jak można być wiecznie zadowoloną i szczęśliwą, nie stawiać wymagań, nie snuć niemożliwych do spełnienia planów?

Beata wniosła duży kosz ziemniaków i postawiła go na podłodze tuż obok kosza zapełnionego główkami kapusty. Uśmiechnęła się, mówiąc jakby do siebie, że ciężkie i przetarła ręką gładkie białe czoło, zroszone drobnymi kropelkami potu.

Nic nie wskazywało na to, żeby córka przemówiła ludzkim głosem, ale najwyraźniej rozumiała proste polecenia. Początkowo Krystyna nie zwracała uwagi na tę niemotę, bo przecież dzieci rozwijają się w różnym tempie, a wiadomo, że Kamilka jest opóźniona. Zawsze jednak w głowie Krystyny czaiło się złowieszcze zdanie lekarki, gotowe w każdej chwili zabrzączeć w jej uszach. Czekanie na pierwsze słowa początkowo zaprawione było zniecierpliwieniem, które potem przeistoczyło się we frustrację i przerażenie. Tymczasem Kamilka zamiast uczyć się mówić, coraz częściej wyrażała swoje myśli za pomocą gestów i mimiki twarzy. Ten niewerbalny rodzaj komunikacji między nią a rodzicami rozwinał się do perfekcji i Krystyna na próżno usiłowała odwrócić bieg rzeczy. Uparta i nieustępliwa teściowa od początku została rzecznikiem niemówiącej wnuczki i zabraniała synowej wszelkich form presji, bo dziecko i tak kiedyś nauczy się mówić. Naiwna postawa teściowej i męża optymisty nastroiła Krystynę jeszcze waleczniej i odtąd porozumie-

wala się z córką tylko za pomocą słów, jak ludzie. Jeżeli Kamilka nie umiała się wysłowić, to nie dostała tego, o co prosiła, chociaż dobitnie wyrażała swą prośbę gestami. Krystyna wierzyła, że w ten sposób nauczą ludzkiej mowy, bo jeśli córka nie przemówi do piątego roku życia, to już nigdy nie będzie mówić.

Podobno tylko jeden gen o tajemniczej nazwie FOXP2 umożliwia nam porozumiewanie się za pomocą słów. Zmiana dwóch aminokwasów w budowie tego białka odróżnia nas od reszty ssaków. „Czy to nie absurdalne?” - myślała Krystyna. Może pod wpływem pewnych czynników, których nie mogła sobie wyobrazić, nie posiadając wiedzy medycznej, dokonała się mutacja tego cholernego genu i Kamilka nigdy nie będzie mówić. A swoją drogą, to idiotyczne, żeby jakiś tam marny gen decydował o naszym życiu. Nagle coś tak naturalnego jak mowa wydało się Krystynie nieosiągalne, dalekie i nierzeczywiste. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że będzie pragnąć tego, co zwyczajne, oczywiste i o co nie należy zabiegać. Myślała raczej o specjalnych życzeniach, o tym, żeby posiadać to, czego inni nie mają, mieć czegoś więcej niż pozostali. Może to zaległa lekcja pokory, której jeszcze nie odrobiła. Najtrudniej przychodziło jej tłumaczenie przed Bogiem własnej pychy i zadufania, więc co jakiś czas próbowała się ukorzyć i przyjąć to, co dostała od życia. Aż do kolejnego buntowniczego wybuchu. To dziwne dziecko zdawało się realizować regułę milczenia, której tak rygorystycznie przestrzegano w domu rodzinnym Krystyny. Po pewnym czasie kobieta sama w to uwierzyła: że to rodzinne przekleństwo, że to przez jej matkę, która zabraniała dzieciom mówić. Z wolna

przenosiła ciężar odpowiedzialności za nieudaną córkę z Marka na swoją zmarłą matkę, która nakazywała dzieciom milczenie, co zemściło się w następnym pokoleniu.

Wszechobecny bełkot Kamilki przeszywał ciszę po-koju, czasami płaczkliwie, czasami wibrując złością lub ziejąc nudą. Wzdrygała się na ten odgłos, zdecydowana wyskoczyć z łóżka, przerwać malowanie, porzucić kotlety na patelni czy słoiki właśnie zalane marynatą i jeszcze niezakręcone. Wyczulona na każde wołanie córki, zawsze była gotowa podbiec, przyjść z pomocą. Pędziła roztargniona, myśląc o schabowych, które za chwilę wchłonie patelnia i przeobrazi je w czarne sztywne podszwy... Kamilka stała z niemądrze rozdziawioną buzią i wskazywała na ekran telewizora, po którym maszerował duży antypatyczny czarny pająk, nieświadomy poruszenia, jakie spowodował swoim włochatym ciałem. Dziewczynka nawet nie próbowała wymówić tego, co usiłowała pokazać pulchną rączką. Krystyna nie lubiła tych okrągłych dłoni wyglądających jak z gumy, bez kości i żyłek, zupełnie gładkich i nienaturalnie białych. Zresztą cała Kamilka była biała, grubiotka, z wałeczkami i fałdkami jak noworodek. „Powiedz: pająk” - Krystyna przesadnie mocno zwarła wargi, tak że wystrzeliły z impetem po wypowiedzeniu pierwszej głoski. Dziecko nie zwracało na nią uwagi, patrzyło zauroczone na stworzenie, które nagle znieruchomiało na ekranie, jakby przeczuło niebezpieczeństwo, po czym czmychnęło za regał. Za późno. Poza tym Krystyna nie znosiła zabijania. Wysługiwała się mężem, który z nieodgadnioną miną sięgał po kłapek i zapamiętałe walił nim w muchy, pająki, karaluchy i osy. Z taką samą miną zasiadał do obiadu i kroił schabowe,

niedbale i szybko, bo zawsze czekała na niego jakaś praca. Nie chwalił jakości jedzenia, które serwowała mu żona, ale też nie ganił i nie wypominał sztucznych mielonych i puree z torebki. Czasem irytował Krystynę swoim minimalizmem. Wolałaby, żeby czegoś od niej wymagał. „Krystyna jest inna” - to sakramentalne zdanie powtarzane znajomym, matce, samemu sobie pozwoliło Markowi wytłumaczyć wszystkie dziwactwa żony, chimeryczność jej zachowań, nieobliczalność reakcji czy wreszcie nieudolność kulinarną.

Krystyna niechętnie wychodziła z Kamilką na spacer, bo wszędzie mogła spotkać inne dzieci: piękne, normalne, wymarzone. Mogłaby zobaczyć dziewczynkę z trzeciego piętra, która odpowiadała jej wyobrażeniom o idealnym dziecku.

Padał deszcz. Pod ścianą bloku stał kilkuletni czarnoskóry chłopiec, przyciśnięty do muru o popękanej fasadzie, której rysy tworzyły fantastyczne zawijasy, jakby stworzone ręką zwariowanego secesjonisty. Oczy chłopca, czarne perły, śmiały się do przechodniów, szukając u nich potwierdzenia jego wyjątkowości. I rzeczywiście, ludzie uśmiechali się przyjaźnie do chłopczyka i kiwali do niego ręką, na co malec reagował jeszcze szerszym uśmiechem. „Taki śmieszny czarnuszek” - myśleli z sympatią. Krystyna często go widywała, jak czekał pod blokiem, aż matka zejdzie schodami, niosąc na rękach małą siostrzyczkę. „Jaką szansę miał ten chłopiec na normalny zdrowy rozwój? Kiedy zauważy swoją odmienność? W przedszkolu czy dopiero w szkole? I kiedy

zacznie mu ona przeszkadzać?" - zastanawiała się Krystyna. Kiedy po raz pierwszy usłyszy o sobie: „czarnuch”? Przechodnie przestaną myśleć o nim tak życzliwie jak teraz, bo dzieci mają swoje prawa, trzeba je chronić, ale dorosłych? Może to jakiś marny dealer, może rozprawdza narkotyki? Kiedy piękna koleżanka z klasy nie zaprosi go do domu, bo rodzice dość wyraźnie wypowiedzą się na temat podziałów rasowych? Nic nie pomogą sensowne zresztą wyjaśnienia, że kiedyś wszyscy byliśmy mieszkańcami Afryki, że mamy wspólnego przodka pitekantropusa, który nie zastanawiał się nad kolorem swojej skóry, bo był porośnięty włosami. Białe społeczeństwo pozornie tylko zaakceptuje czarnoskórego chłopca. Może nawet przyjmą go do drużyny piłkarskiej, bo czarni są dobrymi graczami. Jakaś matka pozwoli swojemu synowi się z nim spotykać i może nawet zaproszą go na niedzielny obiad. Biada jednak, gdyby zechciał mieszać krew - na to żadna matka się nie zgodzi. Krystyna też nie wyobrażała sobie takiego związku. Europejczycy nie przywykli jeszcze do widoku mieszanych par - nadal wywołują one sensację, podteksty myślowe, niezdrową i nieuzasadnioną ekscytację, bo przecież wszyscy wiedzą, że ludzie są sobie równi. Niestety, nawet wśród tych równych są ci wywyższeni, bo hierarchia jest nam przypisana i próby zrównania każdego z każdym dotąd spełzały na niczym i pozostały jedynie pobożnym życzeniem.

Co powstrzymało Krystynę od zapytania o to rodziców? Wstyd za nich, strach przed prawdą skrywaną

pod oficjalnym życiem rodzinnym na pokaz, z całym przepychem wystawnych ślubów, komunii i pogrzebów? W mdłym świecie cnotliwych matek i pobożnych babć nie było miejsca na bękarty, choćby te wyglądały jak aniołki z bocznej nawy kościoła, na które Krystyna gapiła się podczas mszy świętej. Gładka i jasna Emilia uosabiała renesansowe piękno posągów z białego marmuru. Często wydawała się prawie bez życia z powodu delikatnej karnacji skóry, prawie bezkrwistej pociągłej buzi i blond loków. Nieziemska uroda dziewczynki zdawała się uragać wszelkim pojęciom grzechu i nieczystości, błyszczała na tle okrągłych i rumianych wiejskich twarzy, podkreślała inność tego dziecka. „Grzech może być piękny” - po raz pierwszy przyszło wtedy Krystynie do głowy, ale szybko się z tego wypowiadała. Grzech porządkuje świat, jest nieodzowny, żeby odróżnić dobro od zła, choć dobro wcale nie istnieje, drwi ze swoich wyznawców. Potem grzeszna postać Emilii stała się jeszcze bardziej skalana, tym razem w wyniku postępowania dziewczynki, kiedy ktoś podpatrzył ją w brzoźowym lesku z młodym wikarym. Krystyna wiedziała o skandalizującym zachowaniu przyjaciółki, znowu niewinnej, bo przecież chodziło o grzybobranie, na które wybrał się również duchowny. Przypadek, niefortunny zbieg okoliczności, że właśnie w tym samym lesie spodziewali się znaleźć kilka dorodnych kozaków. Do wyjaśnienia pozostał jeszcze jeden grzech, którego Krystyna jako dziecko do końca sobie nie uświadamiała. Widziały jednak, że oczy ojca zwrócone na Emilię płoną niedobrym ogniem.

Krystyna odebrała Kamilkę z przedszkola. Szły dróżką zalaną deszczem, omijając spienione jeziora błota i strumienie wypływające z betonowych szczelin. Nowe osiedle szarych bloków, gdzie Krystyna dostała mieszkanie, jeszcze świeże, niedokończone, bez bazyliaków na ścianach i z czystym tynkiem. Trzy pokoje na drugim piętrze, standardowe wyposażenie, żadnych luksusów, przeciętność za pół darmo. Wokół tłumy Turków, Arabów, Serbów, Bośniaków i austriacki proletariat - wszystkie nacje przemieszane, co nieuchronnie prowadzi do zatargów. Sprawnie działające diaspory walczyły o prym w betonowej pustyni, podsycały dumę narodową i narzucały obyczajowość nie do przyjęcia dla innych.

Kiedy przechodziły przez ulicę Kamilka posłusznie podała matce rękę. Krystyna spojrzała na córkę z ukosa. Sukienka w kwiatki, znowu za ciasna, opinała fałdki tłuszczu na nogach i brzuchu. Wszystkie sukienki, dobierane z niezwykłą starannością, nadal były zbyt obcisłe. Grubiutka Kamilka ledwie dotrzymywała matce kroku, wyciągając krótkie nóżki, a jej nieurodziwa buzia wykrzywiała się w grymasie wysiłku, kiedy dziewczynka przeskakiwała przez kałużę. Kobieta zastanawiała się nad wszechwładnym uczuciem złości na tę małą istotę za jej niedoskonałość, za zbyt dużą rozbieżność pomiędzy wymarzoną Kamilką a tą, która szła obok niej. Cicha, skąpiona, niezdarnej małe słońce, zawsze daleka myślami, wyzwała w Krystynie agresję. Kobieta ścisnęła wtedy jej rączkę, żeby rozładować napięcie, albo niby przypadkiem przydeptywała butem stopę córeczki, aż ta

zawyła z bólu. Wtedy zawsze sobie przyrzekała, że to po raz ostatni.

Weszły do świeżo odmalowanego nowego bloku, z zewnątrz nieskazitelnego. Jednak w korytarzu na parterze unosiła się słodkawa woń smażonego czosnku, która dyskredytowała to miejsce. Właśnie ze względu na ten smród Krystyna nigdy nie zapraszała gości. A także z powodu workczków ze śmieciami wystawianych przed drzwi. Obok worków często stały buty w różnych rozmiarach, dziecięce bądź sklepowe wózki, uschnięte rośliny doniczkowe, a nawet rowery i hulajnogi. Niedostatek miłości, buszujące w głowie złe myśli, skarłowaciałe plany na przyszłość - wszystko to męczyło Krystynę, sprawiało, że czuła się senna, wiecznie zmęczona i przewrażliwiona. Każdy dźwięk był jakby zwielokrotniony, wykrzywiony i agresywny. Docierał do świadomości kobiety jako niemiły zgrzyt, nie pochodzący z harmonijnego świata tonów. Weszła do mieszkania i przybrała odpowiednią maskę, powitalną i radosną. Potem usiadła na balkonie przy niewielkim stoliku, na którym zmieścił się tylko szklak i filiżanka z kawą. Rozejrzała się wkoło, powiodła wzrokiem po innych balkonach, często zagraconych i pokrytych kurzem z okresu powstawania osiedla. Na balkonie na trzecim piętrze w bloku naprzeciwko zobaczyła parę starszków siedzących nieruchomo jak kukiełki z teatru. Przyklejone do twarzy miny zastygłe w nieobecny uśmiech wydawały się sztuczne, wyrte dłutem czasu, który pozostawił na policzkach i czole głębokie bruzdy. Krystyna zastanawiała się, o czym myślą. A może tylko patrzą bez wysilania obszarów mózgu odpowiedzialnych za myślenie. Spoglądali

w tę samą stronę co Krystyna - na jedyną oazę zieleni w królestwie betonu. Na sąsiednim balkonie też pojawiły się dwie postacie okutane w długie suknie - Turczynki mniej więcej czterdziestoletnie, chociaż trudno powiedzieć, bo ukryły twarze w cieniu chust spowijających ich głowy. Kobiety usiadły na zdezelowanych plastikowych krzeselkach, które trzeszczały przy każdym ruchu grubych tureckich bioder. Ciekawe, o czym myślały? Czy w ogóle myślały?

Krystynę dręczyło to pytanie, z niewiadomych względów bardzo dla niej istotne. Chciałaby nie myśleć, zanurzyć się w ciszę popołudnia i trwać jak w drzemce, w chmurze zwyczajności pachnącej gorącą kawą i rogalikami rano, a wieczorem herbatą owocową i kanapką z szynką. Trwanie dla samego trwania, bez głębszych dociekań i szukania sensu, bo stawianie wielkich pytań wywołuje dziwne uczucie przemijalności, a co za tym idzie, również strachu. Krystyna próbowała skierować swoje myśli na właściwe tory, żeby potoczyły się drogami doczesności i nie sięgały filozoficznych wyżyn. Można byłoby się zagubić w płątaniu teorii ujmujących świat na wszelkie możliwe sposoby i więcej nie powrócić do gotowania bigosu i odkurzania pokoju. Wszystko, czyli życie, mogłoby nabrać nowego wymiaru, który nie wpisywałby się w przestrzeń trójwymiarową, coś wystawałoby poza nią. Krystyna bała się, że kiedyś nieopatrznie opuści przyziemny rejon, aby powrócić do niego tylko cieleśnie, że do śmierci będzie pokutować jak zjawa, nie znajdując swego miejsca na ziemi.

Nagle poczuła przypływ silnych emocji. Wpadła w tunel dalekich, lecz wyraźnych wspomnień. Klawiatura

starego przedwojennego fortepianu ocieniona ogromną postacią matki zawisłej nad głową Krystyny. Znowu fałszywe tony, zgrzyty, piszczące ohydny dźwiękiem klawisze, poddane niekontrolowanym palcom dziewczynki. Twarz matki czerwieniała ze złości i zniecierpliwienia, aby nagle przyjąć wyraz bolesnej rezygnacji. „Nic z niej nie będzie” - słyszała orzeczenie rodzicielki, która teatralnym gestem wyciągniętych w górę rąk błagała niebiosa o zlitowanie. Oczekiwała od córki zdecydowanie czego innego: przynajmniej odrobiny talentu, więcej giętkości w palcach, wyczucia rytmu. Krystyna dokładnie pamiętała chłód stołowego pokoju i wahadło ściennego zegara odmierzającego kolejne sekundy. Pod palcami powstawała kakofonia, twarz matki wydłużyła się nieznacznie, wahadło nieustępliwie powtarzało swój rytm. Długość ramienia wahadła, amplituda odchyleń, prawo Galileusza, myśli dalekie od fortepianowych etiud przeskakiwały szybko jak pchełki figlarki. Wspomnienia z dzieciństwa - zwyczajne, lecz zbyt bolesne, żeby je często przywoływać. Krystyna unikała więc wszystkiego, co mogłoby się kojarzyć z domem rodzinnym. Stare rodzinne fotografie, które utrwaliły tamten nieszczęśliwy czas na pożółkłym papierze, wyniosła do piwnicy i przykryła nieużywanym dywanem. Zniecierpliwiona twarz niezadowolonej ze swego dziecka matki zdominowała wspomnienie.

Robert wyciągnął się na kanapie i odetchnął jak po ciężkiej harówce, chociaż właściwie cały dzień nic nie robił. Napisał jedynie kilka wierszy. Ostatnio nie wie-

dział, co uczynić tematem swojej poezji, w jaki sposób dotrzeć do potencjalnych czytelników, jakich chwytów użyć, żeby zainteresować wydawców. Te bezowocne wysiłki kończyły się ponurym podsumowaniem rynku książki w Polsce. Cholerni wydawcy, poszukiwacze best-sellerów, upiornej mdłej literatury, ociekającej krwią i seksem, dostosowanej do gustów czytelników. Na widok niektórych ślimaczych powieści otrząsają się z obrzydzenia, ale je wydają, wbrew sobie i dobremu smakowi. Takich książek jest coraz więcej - zalewają księgarnie, kusząc kolorowymi okładkami, sprzedają wizję nierzeczywistości. Robert wiedział, że jego intelektualna poezja nie ma większych szans. Mimo to nadal bombardował wydawców mailami. Wyszukiwał ich jakby spod ziemi, nieznanym, takich, którzy dopiero rozpoczynają działalność, i takich, którzy właśnie zbankrowali. Nikt nie był wolny od Roberta, cierpliwego i konsekwentnego w swoim działaniu.

Mężczyzna przeglądał kolumny nowych wierszy przygotowanych do wysłania, ale robił to niedbale, bo jego spojrzenie wciąż przyciągał nagłówek wiedeńskiego dziennika leżącego na kanapie. „Znowu zamieszanie z powodu tej książki” - mruknął pod nosem. Narobiła wiele hałasu, jak metalowa kula rzucona w pustej sali z dużym pogłosem. Niepostrzeżenie publikacje o kulturze muzumańskiej widzianej oczami chrześcijan zaczęły wypływać z kolejnych wydawnictw, jakby tkwiły tam już od dawna i tylko czekały na odpowiednią chwilę. Sama rozmowa na zakazany temat wywoływała gwałtowne reakcje. Jak lawa z wulkanu wydobywały się długo ukrywane animozje, burzące dotychczasowy stabilny i nie-

prawdziwy układ. Wstyd mówić o wielu rzeczach, na które wszyscy obrońcy praw człowieka są bardzo uczuleni, jednak raz wypowiedziane kwestie nie dały się więcej stłamsić poprawnym politycznie obywatelom. Wypełzały po cichu jak smród z zakrytej jamy, który długie lata kisił się we własnym sosie, a teraz rozlewał się coraz szerzej. Czytelnicy brukowców tępo patrzyli na krzykliwe nagłówki i dziwili się, że nagle tylu dziennikarzy podejmuje temat. Thilo Sarrazin, nomen omen, wbił kij w mrowisko i jeszcze nim poruszał. Od wydania jego książki nic już nie było w Austrii takie jak kiedyś. Milczenie, pozorna aprobata obcokrajowców - wszystko przyjęło niespodziewany obrót.

Robert ponownie spojrzął na swoje wiersze. Skreślił kilka linijek, potem skwapliwie włączył je z powrotem do tekstu. Uwielbienie Beaty, chociaż denerwujące i bez większej wartości, w jakiś sposób jednak wspierało jego wysiłki. Mężczyzna zastanawiał się, dlaczego nie cenił Beaty jako równoprawnej partnerki, której słucha się uważnie, a nie tylko w czasie mycia zębów i wynoszenia śmieci, kiedy pomagała taszczyć wielkie czarne wory. Rozwahał, czy kiedykolwiek mógłby pokochać tę bezbarwną istotę, która w łazience kolekcjonuje plastikowe figurki. Na brzegu jej wanny stały słoiczki po marmoladach, a w nich połyskiwały jarmarcznie kolorowe płyny i sole do kąpeli. Robert z niedowierzaniem przyglądał się plastikowej tacce, na której wcześniej leżało świńskie mięso, a która teraz awansowała do rangi podstawki na pumeks, i przeredzonej szczotce do mycia pleców. Szczotka przypominała smutny łeb łysiejącego wielbłąda, skurczony do niewielkich rozmiarów, jakby

wysuszony w palącym słońcu Afryki. Beata. Piękny wydatny biust opasany zbyt ciasnym stanikiem, zbyt hałaśliwy, choć milczący, ekspansywny, a tego Robert nie lubił. Z drugiej strony ładnie wyglądała w tej bluzeczce z dekoltem, trochę zbyt różowo udekorowana, ale to kwestia gustu. Mężczyzna zagłębił się w fotelu. Myślał o Krystynie, a potem znowu o Beacie. Jedną musiał oszukiwać i była to Beata - najbardziej odpowiednia do roli ofiary: niewtajemniczona, naiwna i posłuszna. Krystyna wie o Beacie, więc musiał zerwać z tą drugą, żeby nieświadomie nie zdradziła się przed Krystyną. Beata to nie Krystyna - ciągle dochodził do tego śmiesznie prostego wniosku i nadal pragnął Krystyny.

Kamilka powiedziała pierwsze słowa. Dźwięki brzmiały twardo, raniły uszy, wdzierały się do mózgu, ale ucieszyły Krystynę swoim pojawieniem się. Pierwszy krok został zrobiony. Trzy słowa dają nadzieję na więcej, na rozwój mowy, na normalność. Ta zwyczajność trzech słów radowała Krystynę i zawładnęła jej nastrojem na najbliższe kilka dni. Dlaczego pragniemy być jak inni, kiedy właściwie robimy wszystko, żeby stać się oryginalnymi, wyróżniającymi się z tłumu? Jednak to nie niedostatek powinien wyróżniać, lecz nadmiar, niespotykany, ponadprzeciętny przyrost czegoś, czego pozostałym brakuje. Wyróżnienie poprzez nadwyżkę pozytywnych cech, bo nikt nie chce się odznaczać niedoborem - wtedy byłoby to raczej naznaczenie. Kamilka chodziła po pokoju, unosząc nogi wysoko jak czapla, i powtarzała nowe słowa, tak dla zabawy, nie czując doniosłości tej

chwili. Przy każdym kroku stawianym przez dziewczynkę na parkiecie fałdki tłuszczu wokół jej brzuszka podskakiwały pod luźną sukienką. Przekorne dźwięki wydobywały się z gardła Kamilki, jakby wbrew jej woli, na siłę, przewyciężając ogromne przeszkody w postaci powietrza i sztywnego języka. Nie płynęły śpiewnie jak u innych dzieci, potykały się o oplute wargi i zawadzały o policzki. Jednak były, istniały naprawdę, świadczyły o przemianie, jaka się dokonała w ciągu ostatnich kilku miesięcy wytężonych ćwiczeń logopedycznych. Nadzieja, którą Krystyna się karmiła smakowała lepiej niż jej ulubiona nutella; była mdła.

Przechodząc przez pokój, kobieta spojrzała w lustro, jak zwykle tylko mimochodem, bez przyglądania się sobie. Jednak teraz przystanęła na chwilę, bo odniosła wrażenie, że jej twarz, znana od prawie czterdziestu lat, nagle zaczęła nabierać obcych rysów. Zmiany te dokonywały się powoli, tak że przy codziennej obserwacji umykały uwadze. Krystyna dostrzegła słabe napięcie skóry na policzkach, która poddana prawu ciężenia lekko opadła, pociągając za sobą kąciki ust. Te nie broniły swego idealnego kształtu i powoli zmieniały wyraz twarzy w zgorzkniały lub nawet szyderczy, w zależności od kąta padania światła. Jako malarka Krystyna dokładnie wiedziała, jak się ustawić względem rozmówcy, kierując się padającym światłem, żeby zatuszować mankamenty urody. Światło i cień - kobieta nauczyła się mistrzowsko wykorzystywać te dwa elementy sztuki również w życiu codziennym. Nigdy nie stanęłaby bezpośrednio pod lampą, bo wtedy ukazałyby się wszystkie załamania jej skóry, wszystkie bruzdy i nierówności. Nie istnieje twarz,

która wyglądałaby dobrze w takim oświetleniu. Krystyna jeszcze raz przyjrzała się swojemu odbiciu, tak jak wtedy, kiedy była małą dziewczynką. W tamtych czasach karano ją za zbędne gapienie się w lustro i hołubienie swojej urodzie. Matka była niedzisiejsza. Nie dopuszczała do siebie myśli o tym, co robią kobiety, żeby się przypodobać mężczyźnie. „Może wolałaby mieć taką córkę jak Emilia?” - przyszło Krystynie do głowy, ale zauważyła wyraźną niechęć rodzicielki do tej urodziwej dziewczynki. Początkowo wyczuwała tę niezyczliwość instynktownie. Potem, kiedy znała już tajemnicę, nie mogła zrozumieć, dlaczego matka zaprasza Emilię na święta i kupuje jej zabawki. Kobieta miała dużą samodyscyplinę i tego samego wymagała od swojej córki. Milczenie, samodyscyplina i pokora wobec Wszechmogącego. Matka już nie miała wpływu na to, jak długo Krystyna stała przed lustrem. Malarka mogła dowolnie przeciągać tę chwilę.

Pracownia tonęła w mroku, gubiła kontury, które rozmazywały się coraz bardziej, przechodziły w ciemną smugę pozbawioną duszy. Krystyna siedziała w fotelu, jej palce poruszały się pracowicie wokół wełnianej narzuty, zbitej od ciągłego prania w gorącej wodzie w niekształtne grudy i wzniesienia. Nagle tuż przy twarzy kobiety pojawiła się głowa córki. Musnęła jej policzek twardymi sztywnymi włosami. Czemu te włosy nadal są takie sztywne? Na nic systematyczne i mozolne nacieranie różnymi świństwami, płukanie w ziołach, szczotkowanie. Włosy sterczały jak szczecina niedożywionej świni. Krystyna wiedziała, po co córka przyszła: chciała

malować z nią obraz, mazać pędzlem po płótnie, chlapać farbami po podłodze. Kobieta wstała ociężale, zapaliła światło i wzięła paletę do ręki. „Powiedz, co chcesz robić”. - Patrzyła wyczekująco na twarz dziecka. Kamilka jednak odwróciła się od matki i długo, bezmyślnie spoglądała w stronę okna. Tym razem Krystyna postanowiła nie nalegać, bo logopeda uprzedziła ją, że zbyt duży nacisk może wywołać odwrotny skutek i dziecko zupełnie się zablokuje. Zrezygnowana podała małej pędzel, który dziewczynka chwyciła całą rączką i bez zastanowienia zanurzyła w farbie. Na płótnie powstawały niekształtne domki, płaskie drzewa i dym z komina, który nie był dymem, tylko grubą szarą wstęgą. „Nic z tego, brak jakiegokolwiek talentu!” - Krystyna nie była zła, tak jak niegdyś jej matka, raczej smutna, bo talent jest darem Boga, nie można go wymusić, wyprosić ani nawet wymodlić. Po prostu jest, niezależnie od woli posiadacza, niezależnie od tego, czy go sobie uświadamia. Można go nawet roztrwonić, bezwiednie zaprzepaścić, ale kiedy jest, zostawia wyraźny znak.

Krystyna zrozumiała, że na nic się zdadzą płaczliwe modły szeptane w poduszkę, regularne nawilżanie jej słonawą ciecżą, która chociaż przynosiła ulgę, to jednak niszczyła wsypy z kaczego puchu podarowane przez teściową. Musiała popracować nad strategią, żeby nie zwariować, obmyślić najłatwiejszy i zarazem najskuteczniejszy sposób pominięcia w swoim życiu Kamilki. To trudne zadanie, wykraczające poza ramy mieszczańskiej, wiejskiej i w ogóle ludzkiej przyzwoitości. Najlepiej byłoby w ogóle nie zauważać Kamilki, jakby nie istniała albo była przeźroczysta, rozmyta niczym bańka

mydlana, gotowa zniknąć pod pstryknięciem palców. Nie denerwować się i nie złorzeczyć, po prostu jej nie widzieć. Kobieta starała się nie patrzeć w stronę dziewczynki, nie słyszeć charczących dźwięków, ale wszędybylska mała wypełniała sobą wszystkie pomieszczenia i zbyt często przybiegała do pracowni, czego Krystyna nie cierpiała. To był jej azyl, w którym mogła się schronić przed niechcianą miłością. Udawała, że jest bardzo zajęta pracą, i odwrócona do sztalug czekała, aż córkę znudzi beczynne czekanie i wreszcie wyjdzie. Nie miała jeszcze tyle śmiałości, by wypraszać Kamilkę z pokoju, więc posłusznie układała z nią klocki lego i czytała jej bajeczki.

Najczęściej myślała o Bogu, którego wielokrotnie przepraszała za brak przyzwoitej relacji z córką. Potem doszła do wniosku, że nie można przepraszać za to, że się nie kocha. I znowu nie poczuwała się do winy. Oskarżała hormony bądź ich brak albo jakieś tajemnicze enzymy, może neuroprzekaźniki, które nie spełniały swojej funkcji. To chemia była winna, nie Krystyna. Co zrobić z tą napraszającą się dziewczynką, która domaga się od niej miłości, tak jakby nie wystarczało jej uwielbienie ojca i babci? Nikt jednak nie przyjąłby takiego wyjaśnienia, więc Krystyna grała rolę kochającej matki, rolę którą każda kobieta przyjmowała odruchowo i bez zastanowienia, bo działał tu instynkt. Nikomu nie mieściło się w głowie, że można nie kochać tak słodkiego dziecka. Nikt nie zaakceptowałby takiego stanu rzeczy, choć pewnie wielu mogłoby wyobrazić sobie taką sytuację, bo w każdej społeczności zdarzały się wyrodne matki. Krystyna nie uważała się ze wyrodną matką; była obojętna, a przecież to nie to samo. Lubiła swoje dziecko, tak jak

się lubi dziecko sąsiada. Obojętność jest bezbarwna, w jej przypadku niewidoczna i niejednoznaczna. Kobieta czuła się jakby za nią ukryta. Obojętność nie czyni zła - tak jej się wydawało.

Niekochanie własnego dziecka to temat tabu nawet w najbardziej nowoczesnym społeczeństwie. Rodzicielska miłość to jeden z najstarszych instynktów rządzących psychiką i moralnością człowieka i nikt jeszcze się nie odważył uznać odrzucenia dziecka za normalne i zdrowe... Krystyna nie miała nawet wytłumaczenia dla takiego stanu rzeczy. Społeczeństwo mogłoby ewentualnie zrozumieć, że matka pijaczka, uzależniona bądź chora psychicznie może nie kochać swojego dziecka, ale żeby zwyczajna przeciętna kobieta z dobrego domu, bez nałogów i bez przeszłości, z ustabilizowanym życiem? To tak jakby zaprzeczyć najstarszym instynktom, chociaż przecież wielu to robi. Udają, że popęd płciowy to coś wynaturzonego, nie mającego prawa bytu, że trzeba go przykryć jakąś zasłonką moralności. Instynkt to fizjologia, więc co ma wspólnego z moralnością? Można wydalanie uznać za niemoralne?

Chłodne popołudnie zmoczone mżawką i targane wiatrem. Zastygłe z zimna postacie otulone płaszcami z grubej tkaniny we wszystkich odcieniach szarości zaludniały przystanek autobusowy. Krystyna skulona przylgnęła do matki, która zajęta była rozmową ze znajomą. Chciała o coś poprosić, ale wiedziała, że nie może złamać zasady milczenia, która była żelazną regułą w ich rodzinie. Dzieci nie miały prawa zabierać głosu niepytane. Mil-

czenie stanowiło powinność, dlatego Krystyna nauczyła się prowadzić wewnętrzne dialogi i to jej pozostało z dzieciństwa. Pomódl się lepiej, zamiast paplać! „Ale przecież nie o wszystkim można rozmawiać z Bogiem, nawet nie wypada” - myślała Krystyna. Twarz matki skuta surowością wydawała się nieobecna, obojętna na dziecięcą paplaninę, na wyrzucanie z siebie zbędnych dziecięcych zachwyków i zmartwień, które nikogo nie interesowały. Dziewczynka mogła tylko patrzeć i czekać na odpowiedni moment, kiedy matka zwróci na nią uwagę. Wtedy należało szybko i sprawnie skłonić ją - oczywiście nie werbalnie, lecz mimiką, uśmiechem bądź pozą - do zadania tego najbardziej upragnionego pytania. Nieraz trwało to bardzo długo. Kiedy kobieta zapytała wreszcie, czy córka przypadkiem czegoś nie chce, bo się tak dziwnie zachowuje, wtedy Krystyna chwyciła sekundy przeznaczone na jej wypowiedź, ale z natłoku pytań nie umiała wybrać tego najważniejszego i w końcu milczała. Zniecierpliwiona matka odwracała głowę, co oznaczało koniec rozmowy, która się nawet nie zaczęła. Zresztą pewnie i tak uznałaby, że dziecko stawia głupie, a w najlepszym wypadku mało znaczące pytania. Nie należy marnować czasu na banał.

Krystyna często pozostawała bez odpowiedzi i bez możliwości zadawania pytań. Znaki zapytania krążyły potem po jej głowie, szukając ujścia w marzeniach. Nie-wypowiedziane słowa tworzyły coraz większy mur między córką a matką. Wtedy jeszcze był to dystans smutny dla Krystyny, gdyż nie potrafiła oceniać zachowań rodzicielki. Widocznie musiała zasłużyć na taką oschłość. Dostrzegała mrozące ją spojrzenia matki, która taksowała

córkę wzrokiem hodowcy bydła. Krystynę przerażały te oczy, pełne wyczuwalnej nagany, bo matka zauważała tylko to, czego nie ma, czyli wszystkie braki dziewczynki. Ojciec był rzecznikiem matki.

Robert nadal konsekwentnie nienawidził prawie wszystkich wydawców. Szamotał się w swoim zapale, codziennie redagował krytyczne listy na temat ostatnio wydanych książek, które ukazały się zamiast jego szacownej twórczości. Zdaniem Roberta żadna z nich nie zasługiwała na takie wyróżnienie, nie była godna zajmowania księgarskich półek. Żałował wszystkich ściętych i przerobionych na papier drzew, bo oszczędzał nawet papier toaletowy, czasem z nieprzewidywalnym skutkiem. Miał jednak wrażenie, że robi coś dla ochrony przyrody, więc chętnie brał na siebie wszystkie niedogodności. Jak można marnować i tak już uszczuplony drzewostan na wydawanie kompletnych gniotów, niczym nieusprawiedliwionych literackich śmieci, zamiast porządnych pozycji? Co się stało z rynkiem wydawniczym w Polsce?

Mężczyzna spojrzął w dal za oknem, jakby wypatrując odległej ojczyzny, i jego syczące i bulgoczące w gardle złorzeczenia przerodziły się w żaloszny skowyt. Robert potrzebował nowego celu, w który mógłby wycelować swą nienawiść. Musiał znaleźć winnego - konkretną osobę odpowiedzialną za jego niepowodzenia. Nie wystarczy miotać się bezsilnie po pokoju i łykać kojące pochwały Beaty, którą teraz usunął ze swojej sypialni, chociaż nie z życia. Tak chciałby się zemścić na wszystkich, którzy odrzucili jego poezję, zignorowali ją, nie

dając jej żadnej szansy. Najchętniej spowodowałby pomór wśród wydawców, żeby padli pokotem, ale wtedy nie miałby u kogo publikować. Idea wydrukowania wierszy opanowała go całkowicie, nie pozostawiając miejsca na inne rozważania. Od świtu nieustannie przerabiał jeden i ten sam temat, w każdej sekundzie, wdychając zapach włosów Krystyny, w wieczornym mroku osiadłym w sypialni. Wydać! Przeżuwał śniadanie w rytmie tego wciąż powtarzanego słowa. Wydać, a wtedy wszystko się zmieni. Robert stanie się kimś innym, prawdziwym artystą, poetą. Wtedy zmieni się może i to, co go dręczy najbardziej. Może siostra zadzwoni, bo trudno nie dostrzec takiego sukcesu. Może z nim porozmawia, da sobie wyjaśnić, choć teraz to i tak już nie ma znaczenia. Chciałby przejąć na siebie cały jej ból, odciążyć ją, zmniejszyć rozpacz przez współudział w cierpieniu, ale siostra sobie tego nie życzyła, więc przeżywali smutek każde osobno. Myśl o wydaniu tomu paradoksalnie pozbawiła Roberta weny. Zablockowała go, tak że już dawno nie napisał nowego wiersza. Cały zasób poetyckich zwrotów uleciał. Mężczyzna spojrzął na park za szybą; może wiszą gdzieś tam na gałęzi, przyklejone do liścia. Energicznie zamknął okno, jakby bał się nowej inwazji wiatru opętanego dziwną kosmiczną siłą.

Pragnął do kogoś zadzwonić, z kimś porozmawiać, ale krąg kolegów w Wiedniu ograniczał się do mało znaczących przelotnych znajomości zawartych w najmniej oczekiwanych miejscach. Robert miał zwyczaj zagadywania obcych przy pisuarze, ale bez jakichkolwiek seksualnych podtekstów. Czuł się bardzo męski i suwerenny, kiedy przedstawiał się podczas oddawania moczu,

tylko ręki nie mógł nowo poznanemu podać, bo wypadłoby to dość niezręcznie. Te pisuarowe znajomości żyły czasami nawet kilka tygodni podsycane mailami i telefonami, po czym gasły nagle, bo Robert tracił ochotę na dalsze rozmowy. Instynktownie ciągle szukał potencjalnych odbiorców swoich wierszy, protektorów, sponsorów, którzy otworzyliby mu drogę do kariery. Wierzył, że jest to kwestia pieniędzy, jednak w toalecie trudno było ocenić czyjś status ekonomiczny, więc jak dotąd jeszcze nie spotkał nikogo, kto mógłby mu pomóc. Może jakiś bogaty Austriak sfinansuje tłumacza, a wtedy droga otwarta. Robert mógłby coś opublikować w Austrii albo w Niemczech. Czytelnik w Polsce zaraz się tym zachwyci, bo wydanie zagraniczne, to coś lepszego niż polskie. Obce to lepsze. Może to i dobra myśl: najpierw zrobić karierę w Austrii, a wtedy wydawnictwa w ojczystym kraju rzucą się na jego tomik jak hieny! Wówczas inaczej będzie z nimi rozmawiać! Chciałby na ten temat pomówić z Krystyną, ale nie mógł do niej zadzwonić, zabroniła. Musiał biernie czekać, nie skarżyć się, pokornie nasłuchiwać, aż telefon się odezwie, aż kochanka przyjdzie, ostatnio rzadziej, od kiedy zmieniła mieszkanie. Nie miał wpływu na ich romans. To ona była jego reżyserem, mistrzynią aranżowania tajemnych spotkań, których nie domyślała się nawet Beata.

W sobotnie popołudnie Krystyna siadała z mężem na ławce w wynajętym ogródku i przyglądała się córce: jej niezgrabnym ruchom, kiedy rzucała piłką, ciężkim krokom, które miały naśladować balet, jej twarzy z niemądrą

miną przypominającą po trochu wyraz rozczarowania, po trochu zaciekawienia. Na w pół otwarte usta zdawały się chłonać otaczający świat: dźwięki i światło, dotyk psa, tak jakby były jedynym receptorem zmysłów. Krystyna często powtarzała córeczce, że powinna zamykać usta, bo wygląda gapowato, i że żadna dziewczynka nie może być nazwana królewną, jeżeli chodzi z ciągle otwartą buzią. Kamilka starała się jak mogła, ale wystarczyła chwila nieuwagi, żeby dolna warga żałośnie się opuściła, odsłaniając krzywe, lecz zdrowe zęby. Krystyna porównywała je w myślach ze swoim równym i białym uzębieniem, wściekając się na geny Kamilki, które przyplątały się nie wiadomo skąd. Żuła żdźbło trawy, bujając się na starym fotelu na biegunach wystawionym do ogrodu specjalnie dla niej przez opiekuńczego męża. Troskliwość Marka wzrastała wraz ze stażem małżeńskim, jakby mężczyzna chciał Krystynie wynagrodzić brak namiętności i obojętność spojrzenia, jakim obejmował ją codziennie rano. Nie zauważył żadnej zmiany w zachowaniu żony, nie widział cienia Roberta. Ta szczególna dbałość o jej wygodę od razu wydała się Krystynie podejrzana. Początkowo nawet myślała, że mąż ją zdradza, ale później doszła do wniosku, że to tylko druga faza małżeństwa. Nie wiedziała dokładnie, kiedy stała się dla Marka przezroczysta, kiedy zaczął patrzeć na nią tylko z aprobatą, wzrokiem pełnym uprzejmości i przyjaźni, ale bez namiętności. Życie bez namiętności nie miało kolorów, przybierało jedynie różne odcienie szarości. Mąż nie powinien być zły ani zaskoczony, kiedy się dowie o zdradzie żony! Przecież to nie jej wina, że nie potrafił ofiarować jej wszystkiego. Co na to przykazania boskie? Starowała się

o tym nie myśleć. W końcu jest człowiekiem i wolno jej grzeszyć, bo Bóg i tak wybaczy jej każde przewinienie, wystarczy się ukorzyć - tak zawsze mówiła matka.

Mąż kosił trawę i oddawał się temu zajęciu w skupieniu i z cierpliwością. Jego ruchy były wyważone i precyzyjne, jakby nic innego w życiu nie robił. Lubił ten nędzny kawałek ziemi, który nazywał ogrodem. Sadził w nim kwiaty i warzywa, pielęgnował i ozdabiał kamieniami przyciągniętymi z Dunaju. Krystyna z obojętnością przyglądała się tym upiększającym zabiegom, kątem oka obserwując bawiącą się Kamilkę. Ona to nie ja - wystarczyło zrozumieć ten prosty fakt. Nie ja jestem nieudolną, grubą niemową. To tylko część moich genów, niewidzialnych drobinek, ślepych i bezwolnych, więc nie powinnam się z nią identyfikować. Jednak kobieta czuła tę dziwną archaiczną więź, jedność, która kazała jej utożsamiać się z tą istotą pełną niedoskonałości. Zastanawiała się, czy mogłaby pokochać Kamilkę, gdyby nie była jej córką, gdyby nie nosiła jej kodu, nie kompromitowała niedostatkiem urody, gdyby wszyscy nie łączyli automatycznie tego dziecka z Krystyną. Przypisana do Kamilki jak kiedyś chłop do roli, bez możliwości zmiany, osaczona przez tę małą istotę. Nigdy nie zostawi jej w spokoju, zawsze będzie zabierać czas, kraść okruchy miłości, zadowolając się nimi jak jałmużną.

Ostatnio paleta była tylko zestawem kolorów, czystą chemią bez odrobiny poezji. Krystyna nie mogła wydożyć z niej życia, oddać w jej barwach ani swoich marzeń, ani rozpaczy. Płótno przyjmowało niecierpliwe ruchy

pędzlem, pokazując w zamian płaskie krajobrazy bez duszy. W półcieniach schowały się nieudolne pociągnięcia, niespokojność barw. Pejzaż wypełnił się sztucznym światłem i czarnym księżycowym cieniem. Niby wszystko zrobiła prawidłowo: obiekty ważniejsze bliżej lewej krawędzi, większe ciepłą barwą, mniejsze chłodną, ale obraz jej się nie podobał. Krystyna zastanawiała się, czy nie przykryć go starym prześcieradłem. Miała wrażenie, że w końcu zabraknie płócien i koców, którymi nakrywała nieudane prace. Mąż pewnie by go zaraz odkrył i się zachwycił. Zawsze podziwiał wszystko, co namalowała. To niezasłużone, bezwarunkowe uznanie irytowało Krystynę. Czuła się dotknięta opinią laika, bo może to tylko kicz? Żałosny wytwór nieudolnej malarki? Cieszy pochwałą jedynie tej osoby, która zawsze krytykuje. A mąż wyłącznie chwalił. Jednocześnie kobieta obawiała się bezlitosnej krytyki obcych bezstronnych odbiorców, surowych spojrzeń, czoł zmarszczonych w zamyśleniu, tego, że ktoś krytycznie omiecie wzrokiem fioletowe pola wrzosów otulonych ciężką jesienną mgłą albo ze złośliwą ciekawością przyjrzy się strukturze łąk i krzaków nad ciemnym górskim jeziorem. Zauważy może wtedy lekkie wahanie malarki, niepewność, niespełnione pragnienia wyrażone zachwianą ręką.

Powinna wreszcie pokazać swoje obrazy znawcy, inaczej nadal będzie tkwić pomiędzy rozpaczą a euforią, nie do końca pewna swego talentu. Własna wystawa - rozstrzygający o wszystkim egzamin - myślała o nim często, ale nie czuła się wystarczająco mocna, więc odkładała ten pomysł na później, a płótna przykrywała prześcieradłami i kocami. Szkoda, że nie skończyła studiów. Cho-

ciaż nie wiadomo czy czułaby się po nich pewniejsza. Obraz na konkurs nadal tkwił za szafą i czekał, aż minie termin przyjmowania prac. Od czasu kiedy musiała chodzić z dzieckiem na wszelkie możliwe rodzaje terapii, Krystyna zrezygnowała z wystawy i było to dla niej wygodne. Matczyne poświęcenie - można nim zgrabnie przykryć strach przed krytyką. Poświęcenie to także przyczyna niedoskonałości jej malarstwa i braku rozwoju artystycznego. Poświęceniem można było wyjaśnić wszystko: każdy nieudany obraz, zły humor, nieugotowany obiad. Najważniejsze były ćwiczenia z Kamilką, do późnego wieczora, do kresu sił, do upadłego, żeby mówiła więcej i wyraźniej. Motywować, zachęcać, a nie znęcać się - a to takie trudne. Krystyna czasami czuła wzbierającą złość i szarpała dzieckiem, tak jakby chciała wyrwać z jej aparatu głosowego więcej tych czystych ludzkich głosek. Zrobiła z tego swoiste misterium, rytuał, sztukę, teatr dwóch aktorów w łazienkowej scenerii przed wielkim lustrem. Po takiej logopedycznej harówce nie umiała się skupić na malowaniu, to pewne. Wciąż brzmiały w jej uszach fałszywe dźwięki, więc kwiaty na płótnie były płaskie, jakby widziane oczami mrówki, nie-naturalnie zredukowane, pozbawione głębi. Znowu ogarnęła ją lęk przed nieudanym obrazem, przed rozczarowaniem z powodu zbyt dużej rozbieżności pomiędzy tym, co piękne, a tym, co stworzyła. Ale co jest piękne? Przecież piękno jest arbitralne i wszystko się może podobać. A może malowanie w ogóle nie ma sensu? Czy warto ujarzmić łąkę pod lasem i zamykać ją w ramach, zmniejszać jej rzeczywistą wielkość, podrabiać naturalny kolor nie do podrobienia? Po co stwarzać iluzję natury?

Nigdy nie straciła nadziei, że odnajdzie Emilię, nawet po tylu latach, będąc już w obcym kraju. Wymarzone spotkanie mogło stać się rzeczywistością, bo zagubiona przyjaciółka z dzieciństwa żyła gdzieś w świecie wirtualnym. Poszukiwania zajęły Krystynie wiele miesięcy. Były niemożliwością, którą chciała koniecznie ujarzmić. Ostatni trop, student z Niemieckiej Republiki Demokratycznej, którego Emilka poznała na spotkaniu młodzieży socjalistycznej. Krystyna nie mogła jej darować tego studenta. Nie dlatego, że zakochał się w Emilce, ale dlatego, że przyjaciółka robiła z tego tajemnicę. Potem ten student pisał do niej, czekał, a o tym już Krystyna nie wiedziała. Była to zdrada ze strony koleżanki, bo jej wyjazd po śmierci matki został dobrze zaplanowany. Dlaczego nie zwróciła się do naszego ojca, kiedy zmarła jej matka? Była wprawdzie pełnoletnia, ale wolała pójść za obcym studentem, niż zamieszkać u nas. Bolesne i oburzające. Pewnego dnia po prostu wyjechała do tego Lukasa i tyle ją we wsi widziano. Zdrada, bo opuściła Krystynę, zdrada, bo do Niemca, do tego... jak mu tam było? Emilia pokazała jej kiedyś list od niego. Dziwne nazwisko, dlatego utkwiło w głowie, jakieś takie, czesko brzmiące. Teraz Krystyna miała konkretne zamiary na Emilkę, o ile oczywiście to ten sam chłopak i o ile Emilia z nim została. Zadzwonić? Może zostawić przeszłość, niech sobie odpoczywa? Może niepotrzebnie budzić zjawy, bo tego, co było, i tak już po raz drugi nie przeżyją.

W pośpiechu Krystyna zostawiła u Roberta nowy płaszcz, do którego nie zdążyła się jeszcze przyzwyczaić. Powiało zimnym powietrzem i mgła jak dym z ogniska spowiła piętnastą dzielnicę. Pędziła, bo było już późno, sklepy pozamykane, co więc mogła robić w mieście? Jaką znaleźć wymówkę? Oczywiście dla teściowej, bo Marek wierzył we wszystko. Krystyna przypadkiem znalazła się w tej zamkniętej przestrzeni, w której wszystko wskazywało na dziwne misterium, początkowo niezrozumiałe, a nawet niepokojące. Grupa ludzi pozornie do siebie nienależących stała w bezruchu, jakby zastygła w oczekiwaniu czegoś ważnego. Wszyscy sprawiali wrażenie, że wiedzą, na co czekają. Demonstracja, zebranie partyjne, wiec? Co mogło łączyć tych ludzi różnych nacji? Krystyna chciała iść dalej, ale ciekawość zwyciężyła nad pośpiechem. Zupełnie niespodziewanie gdzieś z boku wyłonił się niewysoki szczupły mężczyzna w sutannie. Wyszedł na środek powoli, trochę nawet onieśmielony. Głowy poruszyły się i w zaułku starych drzew między domami rozległ się wspólny monotony chór głosów, pogłębiony echem odbitym od betonowych murów. Zdumiona Krystyna dostrzegła wśród tłumu również muzułmańskie kobiety w chustach. Trudno było to nazwać mszą, raczej tylko wspólną modlitwą, próbą przekroczenia granicy, złamania tabu. Miała wrażenie, że uczestniczy w czymś niemożliwym i że to, co widzi, jest tylko wymysłem jej mózgu. Wspólna modlitwa do dwóch Bogów? Jakże to możliwe? Chrześcijanie i muzułmanie modlą się wspólnie, zamiast się wzajemnie zabijać? Wyśadzać w powietrze? To dziwne. Z półmroku wyłaniały się postacie, teraz lepiej widoczne: odkryte i okutane

głowy, włosy blond i czarne jak heban. I to, co wydawało się dzielić te narody w sposób ostateczny i bezkompromisowy, w tej dziwnej czasoprzestrzeni przestało istnieć. Czy to może bezprecedensowa próba zbliżenia narodów, skoro żadnego z nich nie można się było pozbyć? Kto to wymyślił? Jakieś wytyczne kurii czy może jednostkowa inicjatywa? Dziwne, dziwne, ale będzie co opowiedzieć teściowej! Krystyna odchodziła powoli. Widziała jeszcze, jak dziesiątki rąk - grubych i niekształtnych, szczupłych i białych, przypominających pięciopalczaste meduzy - przewijało się wśród bukietu kwiatów umieszczonych w ogromnym flakonie pośrodku chodnika. Każdy dorzucał swój kwiat do kompozycji, po wspólnej modlitwie. „Obraz wzruszający, ale niebezpiecznie balansujący nad przepaścią kiczu” - stwierdziła malarska dusza Krystyny.

W łazience pachniało świeżo ściętymi konwaliami co oznaczało, że ktoś przed chwilą korzystał z toalety. Sztucznie przetworzony ulubiony zapach doskonale naśladował delikatną woń tych leśnych kwiatków rosnących gdzieś w cieniu wielkich drzew. Nic nie mogło oddać tego nastroju dziwnego wtajemniczenia, kiedy patrzyła na wilgotną ziemię przysypaną igłami i na białe dzwonkowate kielichy. „Jaka to miała być tajemnica?” - zastanawiały się razem z Emilką. Fałszowanie natury, podróbka boskiego zapachu i to w tak nieodpowiednich okolicznościach! Zawsze po oddaniu stolca można się choć na chwilę przenieść do tego zaczarowanego miejsca z polaną konwalii. Czy to właśnie było zamiarem producenta oraz Marka, który lubił tę sztuczną woń? Mąż twierdził, że

atomizer roztacza aurę świeżości i to wszystko, żadnych konfiguracji i asocjacji. Krystyna wzięła do ręki ręcznik i spojrzała na piramidkę ułożoną z rolek papieru toaletowego. Uśmiechnęła się i pokiwała głową, tak jakby właśnie potwierdziło się to, czego się spodziewała. Marek znowu rozbroił żonę, pieczołowicie ustawiając papier toaletowy równiutko na dolnej półce regału. Mąż zawsze dbał o dostawę środków czystości i z godną podziwu konsekwencją taszczył do domu ogromne paki rolek, które przy wnoszeniu na piętro zawadzały o drzwi windy. Na twarzy Krystyny pojawił się blady uśmiech, który zaraz zastygł na ustach w sztucznym grymasie, bo właśnie wpadła na matkę Kamilka w pogoni za psem. Dziecko dość grubiańsko ciągnęło zwierzaka za uszy i ogon, ale pupil z pokorą znosił pieszczoty graniczące z torturami. Dziewczynka nie umiała inaczej: okazywała swoje uczucia gwałtownie, lecz nie wpływało to z ogromnego temperamentu, a jedynie z braku wyczucia, braku umiaru we wszystkim, co robiła. Krystyna dobrze znała jej niekontrolowane mocne uściski i szybko uciekła przed nią do pracowni. Usiadła w ciemności. Chciała być choć przez chwilę niewidoczna. I zaczęła marzyć. Ostatnio szkolny autobus wpadł do rowu i kilkoro dzieci zginęło na miejscu. Nie, zdecydowanie odrzuciła taki scenariusz. Nie chciała by tego dla Kamilki. Musi znaleźć inne rozwiązanie. Śmierci jej nie życzyła. Nie chodziło nawet o Boga, po prostu córka powinna żyć i być szczęśliwa, tylko z kim innym. Krystyna już nie czuła się winna, bo przecież pragnęła szczęścia Kamilki.

Wyszorowane podłogi w pokoju matki pachniały pastą. Brązowe deski o lekkim bordowym odcieniu lśniły i były niebezpiecznie śliskie. Czystość i schludność stanowiły dla matki najwyższy priorytet. Niezadowolona mina z samego rana mogła świadczyć między innymi o tym, że Krystyna nie wypolerowała podłóg, co należało do jej stałych obowiązków. Obruszenie matki wyrażało się bezgłośnie, ale było odczuwane równie boleśnie jak razy witką z łoży. Czystość i porządek w zamożnej rodzinie ze szlacheckimi korzeniami - takie wartości należy pielęgnować. Z tą zamożnością to może przesada, ale matka powtarzała tak od lat, więc Krystyna się przyzwyczała. Kiedyś podobno mieli dużo pieniędzy, dopóki ojciec prowadził tartak i sprzedawał na lewo. Nad czystością pokojów górowała muzyka, nieustannie wydobywająca się z fortepianu w salonie. Matka grała, jakby od tego zależało jej życie, a grając, dawała upust swoim żalom, które słychać było w tonach szopenowskich nokturnów. Nie wiadomo jakie to były smutki, bo z nikim o nich nie rozmawiała.

Muzyka matki i jej opowieści o tasiemcowym pociągu wiozącym lwowskich repatriantów na Ziemię Odzyskaną przenikały dzieciństwo Krystyny. Pociąg, brudne i szare wagony bydlęce - opowiadała matka - przez nieszczęśliwie zbite deski można było dostrzec pola, trawy, wysokie na metr wiechcie suchych krzewów, gdzieś oazy leśnej zieleni. Postoje w stodołach, ciemne bezgwiazdne noce, podczas których mogło się wydarzyć całe zło. Dziwny nieznan kraj, niby teraz swój, ale przecież wszędzie czuło się obcość: w wygładzie domostw o odmiennej architekturze, w brukowanych ulicach miast

O zimnych i strzelistych łukach kościołów. Niepokojące opowieści odeszły wraz z dzieciństwem, a kiedy matka zmarła, Krystyna postanowiła już nigdy ich nie wspominać ani nikomu o nich nie mówić. Były dla niej czymś zakazanym, jakby dowodem na jej przynależność do tych lwowiaków, dalekich, nieznanych, niezrozumiałych, z którymi się nie utożsamiała. Matka nigdy nie zapomniała Lwowa i było jej wszystko jedno, gdzie zamieszkają. Wyсадzono ich na stacji koło Jeleniej Góry i tam już na zawsze została jej cała rodzina. Kiedy przydzielono im dom na wsi pod Cieplicami, nikt nie oponował, nikt nie miał prawa wyboru. Przydział. Zresztą chyba było im wszystko jedno, skoro nie mogli zostać we Lwowie. Matka opowiadała, jak weszła do tego obcego ponemieckiego budynku, gdzie czuła jeszcze aurę dawnych jego mieszkańców. Podobno nigdy się tej atmosfery ze swojego domu nie pozbyła, żyli więc wspólnie z tą niemiecką rodziną.

Słońce przeszywało konary przybrzeżnych drzew, oślepiało natarczywym, ukośnie zestrzelonym z nieba blaskiem. Krystyna schowała się w cieniu sosen, wśród igieł i otwartych szyszek przypominających zasuszone pąki kulistych kwiatów. Spoglądała w napięciu w stronę wąskiej plaży z wydmowym piaskiem wydeptanym przez bose stopy wczasowiczów. Mąż leżał obok zaczytany, nieobecny, z nosem w gazetowych nowościach. I upajał się wakacyjnym nicnierobieniem nad Bałtykiem. Kamilka bawiła się z dala od innych dzieci. Wpatrywała się w żółty ocean drobinek kwarcu i jedną ręką od niechcenia wsypywała szeleszczący strumień do wiaderka

w kwiatki. Siedziała w smutnej pozie samotnicy, bo nie umiała spontanicznie nawiązywać kontaktów. Odstraszona nastroszonymi brwiami i bełkotliwą mową, nad którą nie panowała. Luźna plażowa sukienka litościwie skrywała fałdy tłuszczu na brzuchu i udach, rozrastające się pomimo wymyślnych diet Krystyny i kategorycznego zakazu jedzenia czekolad, ciastek i lodów. Matka tak długo formowała w myślach Kamilkę, że córka w końcu przypominała ideał, jakim miała być. Mentalnie dokonywała na ciele dziewczynki przeróżnych operacji: wycinała jej tłuszcz z okolic brzucha i ud, tleniła jej włosy na jasny blond, zawijała je w loczki, wydłużała nogi, wyszczuplała twarz pucołowatą jak u chłopki. Robiła to kilka razy dziennie, bo tak dyktował jej zmysł dobrego smaku i wyczulenie na harmonię i piękno.

Wieczorem Krystyna przechadzała się wzdłuż dzikiej plaży. Początkowo uważała, żeby nie zamoczyć nóg, potem jednak zrezygnowana zdjęła buty i pozwoliła falom opluwać stopy brudną pianą. Morze wcinało się w ląd, języki wody sięgały już nasyconych zielenią traw i przybrzeżnych krzaków, niskich i szarpanych nieustannym wiatrem. Kobieta myślała o córce, zawsze tylko o niej, coraz mniej o mężu, malarstwie i domku z ogródkiem, urzeczywistnieniu jej wcześniejszych marzeń. Dziewczynka wypierała wszystkie inne myśli, zagarnęła dla siebie całą uwagę matki, która snuła plany ulepszenia Kamilki, tak jakby była ona niezbyt udanym modelem samochodu czy meblem. Kiedy Krystyna rozmyślała o dziecku, jej oddech nabierał tempa, powietrze z trudem przeciskało się do płuc, a gorąca fala z żołądka przemieszczała się do czubka głowy. Nie umiała określić uczuć, jakich

doświadczała, kiedy patrzyła na Kamilkę: dziwnego stanu pomiędzy złością, lękiem, nienawiścią i miłością. Zbyt trudno było jej się pogodzić z tym, że urodziła dziecko niedoskonałe, tak jakby ten fakt w jakiś sposób deprecjował ją samą. Czas nie przyszedł Krystynie z pomocą. Czuła się gorsza od matek ślicznych aniołków bawiących się na podwórku. Przemykała chyłkiem pod ścianą bloku, ciągnąc za rękę opierającą się Kamilkę, która chciała dołączyć do dzieci w piaskownicy. Z czasem kobieta wypracowała metodę unikania kontaktów z matkami siedzącymi na placu zabaw w oprawie rozwiniętych akacji i dzikich jaśminów. Pośpieszne przechodzenie stanowiło gwarancję anonimowości, było samoobroną przed dociekliwymi pytaniami, przed taksującym wzrokiem innych kobiet, zawsze gotowych do porównań. Bała się, że sama będzie porównywać swoją córkę z innymi dziećmi i to zestawienie nie wypadnie na korzyść Kamilki, zburzy ostatni bastion akceptacji. Lepiej unikać konfrontacji, wtedy pozostanie niewielka sfera marzeń i nadziei.

Krystyna szła dalej brzegiem morza. Powinna zawrócić, bo słońce już dawno zniknęło za horyzontem, pozostawiając tylko czerwoną poświatę. Doszła do miejsca, gdzie nagle piaszczysta plaża się urywała, przechodząc w skaliste klify, postrzępione i wyżłobione w fantastyczne kształty. Wdrapała się na jedną ze skał i usiadła na wilgotnym zimnym kamieniu. W dole pomrukiwało morze, ciemnozielone przy brzegu, z mętną wodą. Odpoczywając na takiej skale, ma się wrażenie, że w każdej sekundzie może nastąpić coś niespodziewanego, na przykład koniec świata. Krystyna siedziała więc i czekała, aż niebo zupełnie pokryło się czernią.

Kiedy Robert przyjeżdżał do kraju, krążył po księgar-
niach i bibliotekach, w których systematycznie i meto-
dycznie przeglądał regały, szukając odpowiedzi na pytanie,
dlaczego nikt nie chce wydać jego wierszy. Nie znajdo-
wał jej jednak, mimo że wędrował po mieście przez cały
dzień. Podstępnie wciągał w rozmowę niczego nie po-
dejrzewających księgarzy, którzy znudzeni brakiem
klientów odsłaniaли przed nim sekrety swego zawodu,
o ile taki jeszcze istnieje. Sekrety, które dla nikogo nie są
tajemnicą, bo wszyscy znają przyczynę upadku księgar-
stwa. Przemiły staruszek, człowiek starej daty, wydawał
się zagubiony wśród komercyjnych tytułów dalekich od
wzniosłej literatury i zdeorientowany nowymi trendami
w kulturze, nowym gustem czytelników, jakiego przed-
tem nie mógł sobie nawet wyobrazić. Starszy pan wy-
ciągnął w stronę Roberta drżącą dłoń, w której trzymał
książkę z gatunku fantastyki. Okładka pełna potworów
o błyszczących oczodołach i wijących się płazów przy-
prawiała Roberta o odruch wymiotny. Księgarz lubił
wspominać dawne czasy: książki o które się walczyło,
czytelników, którzy chcieli czytać, gotowi czekać na lis-
tach rezerwowych i kombinować, żeby dostać spod lady,
za bombonierkę podarowaną jakiejś pani Basi czy Zosi.
Mała prywatna księgarenka, której staruszek nie opuścił
pomimo złej koniunktury, podupadała coraz bardziej, bo
mężczyzna nie mógł zrozumieć nowych mechanizmów,
jakimi kierował się rynek wydawniczy. „Dobre książki
to książki wartościowe” - myślał wykształcony księgarz
i nie zamawiał poczytnych czytadeł, więc sprzedaż

spadała. Skurczył się wraz ze swoją księgarnią, ale nie spuścił z tonu, gotów do końca bronić bastionu dobrej literatury obłożonego przez makulaturę, jak nazywał literackie gnioty. Robert często go odwiedzał. Przyglądał się starszuskowi zza szyby. Nigdy nie wchodził do księgarni od razu. Najpierw oglądał książki na wystawie, jakby chciał sprawdzić, czy sprzedawca trzyma poziom. Poeta widział w nim jedyne go współtowarzysza literackiej niedoli. Kiedy przyjeżdżał do Wrocławia od razu szedł odwiedzić starego księgarza i spędzał u niego cały dzień aż do zamknięcia księgarenki. Panowie rozprawiali o upadku czytelnictwa, a potem szli na piwo i rozmowy stawały się trochę luźniejsze, kawiarniane.

Krystyna wybrała numer drżącą ręką, niepewna, czy dobrze robi, bo po tylu latach nawet z największej przyjaźni zostaje mgła wspomnień. Emilka, a raczej już Emilia, jej głos, obcy akcent, nie mogło być pomyłki. Potem radość oczekiwania przewyższająca nawet radość z samego spotkania, które mogło się okazać zabójcą snów i marzeń. Nie zawsze udaje się pozierać i złożyć w całość odłamki przeszłości, rozpoznać dawną przyjaciółkę w obcej dojrzałej kobiecie. Podświadomie Krystyna nadal chciała widzieć w Emilii podporę niedającą się przynieść powagą cudzych zmartwień. Emilka była dla niej filigranowym, lecz mocnym i stabilnym filarem, z którego często korzystała. Teraz też mogłaby zrzucić na nią część ciężaru, część winy. Chciałaby się z nią zobaczyć w lecie, bo o tej porze roku się rozstały. Wakacje to dobry okres na takie spotkanie - Krystyna w myślach wybie-

rała scenerię, reżyserowała, ustawiała aktorów. Mogłyby pójść do kawiarenki albo przejść się wąskimi alejkami starego parku, który z pewnością zachował w pamięci ich dziecięce głosiki i cienie. Najlepiej wyjść rano, kiedy nie ma wielu spacerowiczów, bo do tej rozmowy potrzebna jest cisza i skupienie. Krystyna zamierzała się zwierzyć, a Emilię wybrała na słuchacza. Chciała ją potraktować przedmiotowo. Komuś musiała powiedzieć o Kamilce, bo to przyniesie jej ulgę, więc trochę z egoizmu zaczęła intensywnie szukać dawnej przyjaciółki. Nie chodziło o miłe spędzenie czasu czy wspomnianie. Krystyna chciała ponownie wciągnąć Emilię w wir swoich problemów, bo wydawało się jej, że koleżanka jest jej coś winna, że dług nie został jeszcze spłacony. Wciąż widziała to dziwne spojrzenie ojca, kiedy patrzył na Emilię. Pamiętała błąkający się na jego ustach lekki uśmiech. Jej nigdy nie obdarzył takim uśmiechem.

Krystyna słyszała za drzwiami dźwięczny głos pani logopedy, która spokojnie tłumaczyła coś Kamilce, przeciągając sylaby i akcentując ważne słowa. W odpowiedzi zabrzmiało tubalne, prawie niedziecięce krótkie „tak”, niekoniecznie świadczące o zrozumieniu pytania. Palce matki nerwowo pracowały przy pasku czarnej skórzanej torebki. Również zespół niespokojnych nóg dawał się we znaki w chwilach zwiększonego napięcia. Rozsadzała ją negatywna energia, szukająca ujścia w niekontrolowanych ruchach kończyn. Kobieta przechadzała się po prostokątnej poczekalni, uważając, żeby zbytnio nie hałasować obcymi. Najchętniej by wyszła. Tylko żeby lekarka znowu

nie dołożyła ćwiczeń! Krystyna bała się rozmowy z logopedą i kolejnej druzgoczącej diagnozy. Opóźnienie rozwoju mowy, brak koordynacji ruchowej, nieumiejętność artykulacji niektórych głosek, niezrozumienie języka na poziomie pięciolatka. Czy można znieść więcej? Za każdym razem dochodziły nowe spostrzeżenia, kolejne braki i niedociągnięcia natury. Krystyna nie wiedziała, ile razy jeszcze będzie musiała przełykać ślinę wciąż napływającą do ust, przepychać przez gardło dławiacą histerię.

Drzwi pokoju otworzyły się z impetem i wybiegła z nich Kamilka, nieświadoma swoich niedostatków, więc roześmiana i szczęśliwa. Matka weszła do gabinetu wypełnionego misiami, piłeczkami, malowanymi obrazkami i balonikami. Na półkach piętrzyły się przedmioty, których przeznaczenia trudno się było domyślić nawet przy dużej wyobraźni. Za chwilę z pewnością usłyszy kolejny wyrok wypowiedziany niewzruszonym ospałym głosem. Dla logopedy takie diagnozy były na porządku dziennym, oznaczały tylko dodatkowe godziny terapii i większy zarobek. Fachowcy podchodzili do tematu bez emocji, nie próbując nawet wczuć się w sytuację matki dziecka odstającego od rówieśników. „Seplenienie boczne, bardzo trudne do skorygowania” - brzmiała opinia. Krystyna zdziwiłaby się, gdyby było inaczej, gdyby ta wada wymowy należała do lekkich i łatwych do usunięcia. Dlaczego miałoby być dobrze, dlaczego miałoby się udać!?

Pani logopeda świadoma swego obowiązku usiłowała wyjaśnić Krystynie, na czym polega fałszywa technika artykulacji głoski „s”. Kobieta słuchała jakby mimochodem. Nie odzywała się, nie przerywała i nie żądała dodatkowych wyjaśnień. Ogarnął ją gniew na to dziecko,

a głos uwiązał głęboko pomiędzy płucami a krtanią. Jakby to było pięknie nie mieć Kamilki, nic nie wiedzieć o jej istnieniu, nie słuchać brzmienia sepleniącego „s”, zapomnieć o obowiązkach związanych z wychowaniem dziecka, takiego dziecka. W dupie miałyby wtedy takie czy inne „s”! Teraz Krystyna będzie musiała wziąć Kamilkę za rękę, uśmiechnąć się do niej i wyjść, uprzednio wkładając do torebki plik kartek z ćwiczeniami, które i tak nie przyniosą upragnionego efektu. Wypada jednak coś wcisnąć matce do ręki, żeby usprawiedliwić zainkasowanie tych sześćdziesięciu euro. Gówniana głoska. Zohydza słowa, psuje melodię języka, wprowadzając dysonans. Nie sposób jej ominąć. Pociąga za sobą swoje krewniaczki, cały ciąg szeleszczących dźwięków.

Krystyna znowu zbyt mocno ścisnęła dłoń córki, bo w pewnym momencie poczuła opór małej rączki, która usiłowała się wyswobodzić z żelaznego potrzasku. Kamilka syknęła i popatrzyła na matkę, która tylko przelotnie odwzajemniła spojrzenie nieobecnyimi oczami. Zwolniła uścisk i uśmiechnęła się do córki na pocieszenie, choć wiedziała, że wkrótce nawet te blade uśmiechy znikną z jej twarzy. Czuła wypływającą z niej stróżkę energii i radości, których nie potrafiła powstrzymać. Wciąż ich ubywało, kredyt uśmiechów też się skończył. Jak długo jeszcze będzie w stanie utrzymać neutralny wyraz twarzy, nie zdradzający żadnych emocji, przynajmniej nie tych negatywnych? Bała się, że dziecko ją rozszyfruje, że odbierze zakamuflowane sygnały ukryte w gestach, spojrzeniu i uśmiechu. Nie mogła pokazać córce, że jej nie kocha, więc pracowała dzielnie i z uporem nad stworzeniem pozorów miłości. Udawanie uczu-

cia okazało się zadaniem niezwykle trudnym. Musiała być wiarygodna, żeby Marek niczego nie zauważył. Nie mogła sobie wyobrazić jego reakcji, gdyby odkrył prawdę. Z pewnością by jej nie zrozumiał, potępiłby ją, odrzucił, bo taka powinna być reakcja każdego normalnie myślącego człowieka. Ukrywała więc podwójnie swoją niechęć, niekochanie i wstyd, budując aurę sztucznego uwielbienia dla córki. Kamilce trzeba kupić to lub tamto, z Kamilka trzeba pójść do kina, Kamilce należy się wszystko. Działała według wcześniej obmyślonego scenariusza, ale zawsze odczuwała niepokój, czy przypadkiem Marek bądź teściowa nie zobaczą w jej oczach obojętności, kiedy ciepło zwracała się do dziewczynki. Zwodziła wszystkich, ale nie samą siebie i w okresie ciągle nawracających wyrzutów sumienia próbowała zmusić się do pokochania swojego dziecka.

Mieszkanie Beaty było sterylnie czyste, czego Krystyna nie znosiła. Ten podejrzany porządek i schludność przypieczętowały niską ocenę koleżanki, co mogło się komuś wydać zupełnie niedorzeczne. U Beaty stopy serwetek były poukładane w szafce jak pod sznurek, z autystycznym zacięciem, a buty stały w przedpokoju w równym rzędzie jak w wojsku, na wycieraczce tak czystej, że można by wytrzeć nią twarz bez odruchu obrzydzenia. Krystyna uważała, że nadmierne utrzymywanie porządku zawęża horyzonty myślowe, ponieważ człowiek zbyt koncentruje się na układaniu ubrań, ustawianiu przyborów toaletowych w łazience i szklanek w szafce. Czynności te zabierają zbyt dużo cennego czasu, który

można by przeżyć głębiej i intensywniej. Nie warto eks-
cytować się układaniem pościeli w dużej oszklonej sza-
fie ani odkurzaniem kryształowych kieliszków, błyskają-
cych w witrynie. Przeszkłone drzwi witryny też były
wstrętne i odpychająco nieskazitelne. „Ludzie zorgani-
zowani i porządni są mało kreatywni” - powtarzała Kry-
styna, odpierając ataki teściowej oczekującej ciągłego
sprzątania, absurdalnie czystych podłóg i dziewiczo lśni-
ących szklanek. Nie wiadomo, dlaczego Krystynę tak bar-
dzo to oburzało. Tak jakby widok dobrze utrzymanego
mieszkania należał do przykrych doświadczeń.

Gdzieś zza ściany dobiegał płaczliwy głos matki
Beaty: cierpiącej na demencję, dzieciinniałej, nie kon-
trolującej podstawowych funkcji fizjologicznych. Kry-
styna ukradkiem spoglądała na pełny i parujący basen,
który koleżanka wyniosła z pokoju matki. Nie było na jej
twarzy nawet odrobiny obrzydzenia, najmniejszego
skrzywienia warg świadczącego o podstawowym i wro-
dzonym odruchu na widok nieczystości. Beata twierdziła,
że można się do tego przyzwyczaić, ale to nieprawda, bo
ten pierwotnie odczuwany wstręt pozwolił naszemu ga-
tunkowi przetrwać i jest nie do pokonania. Krystyna do-
szła zatem do wniosku, że z jakiegoś powodu Beata ma
uszkodzony ośrodek w mózgu schowany w korze przed-
czołowej i odpowiedzialny za kierowanie tego typu reak-
cjami i więcej o to nie pytała. Na tego typu zmiany nie
ma lekarstwa ani terapii.

Kiedy po raz pierwszy po latach usłyszała głos Emilii,
wydał jej się zupełnie obcy, jakby wyczuła w nim ton

rozczarowania, goryczy i strachu przed życiem. Czyżby koleżance się nie powiodło? Po co wyjechała ze studentem! Krystyna próbowała dorobić do tego głosu obraz, który podpowiadała jej wyobraźnia: dobrze znany zarys podbródka, nienaturalnie jasne, anielskie włosy, chciwie wchłaniające promienie słońca. Te same rysy twarzy, mcze bardziej zaokrąglona sylwetka, głębokie spojrzenie, ale już nie niewinne jak przed laty. Czy dotyk po latach będzie tak samo przyjemny, znany, kojący? Ciepłe suche dłonie pocieszające po całym doznanym złu. Gdzieś daleko za kablami i satelitami schowana była Emilia. Krystyna nie mogła spojrzeć jej w oczy. Czy kiedy się spotkają, to czy oprócz wspomnień wróca te same emocje? Na nich bazowała rozmowa: nerwowa i postrzępiona jak urywki filmu z przeszłości. Dlaczego przyjaciółka nic nie mówiła o terażniejszości? Tak jakby wspólnie przeżyte lata okazały się najważniejsze. Ale przecież Emilia miała męża i syna, więc było o kim opowiadać. Krystyna szukała dawnej bliskości, którą usiłowała przechwycić, filtrując słowa Emilii, barwę jej głosu, sposób wypowiedzenia niektórych wyrazów, trochę za miękko, zbyt wyraźnie. To ta sama Emilia co dawniej i ta sama wciąż aktualna więź. Może teraz w końcu będzie mogła z nią porozmawiać na temat, który dręczył ją od dziesiątego roku życia: czy Emilia wiedziała? Od której tajemnicy zacząć? Może na razie nie dotykać żadnej z nich, niech dalej śpią w głowie Krystyny, nie niszczyć dopiero co odnalezioną przyjaźni. Za wcześnie.

Po rozmowie malarka nie mogła sobie znaleźć miejsca w mieszkaniu, wyszła więc na balkon. Usiadła przy stoliku, chociaż słońce świeciło blado, a ukośnie padające

promienie nie grały. Owinęła się grubym wełnianym swetrem i w milczeniu obserwowała innych mieszkańców na balkonach. Zawsze czekała na staruszków z trzeciego piętra, którzy potrafili nawet godzinę przesiedzieć nieruchomo. Twarz mężczyzny zmieniła się, wydłużyła, a po jej bokach zwisały fałdy niepotrzebnej skóry, bezfunkcyjnej tkanki się ciągnącej ku krótkiej grubej szyi. Wyglądał niezdrowo: jego oczodoły pogłębiły się, chowając w swoich czeluściach małe nieruchome oczka, zasnuwane mgiełką katarakty. Stara kobieta spojrzała na niego badawczo, podając mu malowany garnuszek z herbatą. W jej geście widać było uprzejmość, bo herbatę można podać na wiele sposobów. Staruszka uśmiechała się życzliwie i patrzyła przyjaźnie na męża. Dokładnie okryła jego nogi pledem. Przez kilka sekund poprawiała koc, rozprostowując wszystkie fałdki i załamania. Ciepło rąk przechodziło na mężczyznę, który uśmiechał się, jakby poznawał tylko im znany kod. Krystyna zastanawiała się nad tym, jakiego rodzaju uczuciem kobieta darzy męża. Jakaś tajemnica zawisła nad staruszkami, tajemnica, do której dostęp miała jedynie starsza pani. Krystyna chciała wiedzieć, co to było, chociaż nigdy nie była wścibska.

Beata wtargnęła z impetem do pracowni, zatrzasnęła za sobą drzwi, padła na fotel i dopiero wtedy popatrzyła na zdumioną Krystynę. Napięcie na jej twarzy wyrażało silne negatywne emocje, na co wskazywały usta zaciśnięte w podkówkę. Głowa pokornie opadła na obfite pierśsi. Złamanym drżącym głosem koleżanka obwieściła Krystynie smutną nowinę, smutną tylko dla Beaty. Zwią-

zek z Robertem nagle przecięła inna znajomość, o której niewiele wiadomo, a właściwie nic, bo facet milczał jak dżentelmen i biedna Beata gubiła się w domysłach. „Robert jest bez serca” - skarżyła się zdradzona. „Bez serca - idiotyczne powiedzonko - myślała Krystyna - pokutujące w naszej kulturze, od czasu, kiedy jeszcze uważano, że emocje rodzą się w tym organie”. Pała z biologii. Jak można powtarzać takie melodramatyczne głupstwa. Malarka chytrze ukrywała satysfakcję, chociaż od początku było wiadomo, że sąsiadka nie jest dla niej żadną rywalką. Robert jawnie naśmiewał się z Beaty, co budziło w Krystynie niesmak. Z czasem jednak zadowolenie malało, przyszło natomiast zastanowienie. Do tego doszedł strach przed Bogiem, strach wyuczony, sztucznie pielęgnowany przez matkę, bo przecież nie wolno drwić z bliźnich! To się może obrócić przeciwko temu, który kpi, czyli przeciwko Krystynie. Z powodu tego lęku przestała odnosić się do Beaty protekcyjnie, starała się pokrzywdzonej uprzyjemnić życie, jakby zapominając, że to ona jest przyczyną zdrady. W dobrej wierze, bo Krystyna wszystko robiła w dobrej wierze, zasypywała koleżankę podnoszącymi na duchu dobrymi radami, bo człowiek nieraz ma dużo łaskawości dla pokonanych. Potem, kiedy to pocieszanie utrwaliło się w jej podświadomości, Krystyna sama uwierzyła w swoje przyjazne zamiary wobec Beaty. Ta z kolei przyjmowała dowody przyjaźni z radością, mniej odczuwając odrzucenie, i powierzała Krystynie najskrytsze myśli i marzenia o ponownym zdobyciu Roberta. Malarka wiedziała, że przeciąga strunę, ale zamiast honorowo się wycofać ze związku, który w gruncie rzeczy był jej obojętny, nadal wymykała

się po zakupach do domu kochanka, licząc na to, że nie spotka w dawnej dzielnicy nikogo znajomego. Przy Beacie odgrywała dobrą kumpelę Roberta i robiła teatralnie przyjazne gesty, tak żeby koleżanka niczego się nie domyśliła. Może Krystyna postępowała tak, by podbudować własne ego, po tym jak została matką nieudanego dziecka i jej atrakcyjność zmalała. Nigdy nie myślała o opuszczeniu Marka i Robert zdawał sobie sprawę z tymczasowości ich związku. Wiedział, że nie może liczyć na nic więcej.

Kamilka poprosiła, żeby na Gwiazdkę kupić jej małą myszkę, i tak długo upierała się przy tym absurdalnym życzeniu, aż w końcu zrezygnowana Krystyna, przełamując wstręt i odrazę, kupiła córce wymarzone zwierzątko. Wmówiła sobie, że stworzonko jest miłe, rozkoszne i właściwie śliczne, pomijając długi szcurzy ogon. Myszka o białym futerku poruszała nieproporcjonalnie długimi wąsikami i spoglądała na ludzi oczami jak z onyksu. Szybko stała się przedmiotem szczególnej troski Kamilki, która wreszcie znalazła milczącego i uległego towarzysza zabaw, znoszącego wszelkie uściski i miętoszenie. Czasami Krystyna nie mogła patrzeć na tę zaborczą miłość córki do zwierzęcia, na jego szaleńcze próby wydobycia się ze szponów dziewczynki.

Aż któregoś dnia myszka uciekła od życia. Na dolnej półce w czerwonej kałuży leżało drobne ciało, jeszcze drżące w śmiertelnym podrygu. Krystyna wyłowiła z cichszy pokoju bolesny jęk Kamilki. Walczyła z obrzydzeniem i poczuciem winy, bo to właśnie jej albumy malarskie spadły na wszędobyłskiego gryzonia. Spojrzała na

zegarek. „Marek przyjdzie, to sprzątnie” - przyszło jej tylko do głowy i już trochę uspokojona podeszła do dziecka. Powinna przytulić i pocieszyć córkę, ale jej ręce stały się nagle sztywne i zimne, nie mogły zatem przelać na Kamilkę ciepła i ukojenia. „Dlaczego Bóg wszechmogący uśmiercił tę cholerną myszkę?” - zastanawiała się Krystyna. Tak jakby mu na tym zależało! Okrucieństwo? Obojętność? Napuszeni teolodzy odpowiedzieliby zaraz, że umieranie jest nieodłącznie związane z życiem, że nie znamy zamiarów boskich, że śmierć myszki nie była bezcelowa - miała coś komuś uzmysłowić, bo inaczej nie dotarłoby do tego kogoś, że życie to nie bajka, a nawet postaciom z bajek zdarza się umierać; że śmierć trzeba zrozumieć, jakby to było zadanie z algebry. Trudno się dziwić, że ludzie szukają sposobów, aby uprzyjemnić sobie czas, jaki spędzają w oczekiwaniu śmierci. Podtlenek azotu, działka koki, butelka alkoholu - i życie na krótko wydaje się znośniejsze. Krystyna wybiegła do pracowni. Nie mogła znieść rozczarowania malującego się na twarzy córki, rozczarowania, które nigdy nie zmalało, mimo że dziewczynka doznawała samych niepowodzeń.

Kobieta chwyciła za pędzel, liznęła nim ciemną zielenią i ze złością maznęła po zagruntowanym płótnie. Pociągnięcia pędzlem były szybkie, nieprzemyślane, jednak powoli z zieleni zaczął się wyłaniać krajobraz. Początkowo trochę zamazany i mglisty, po kilku kolejnych ruchach przemienił się w pejzaż tonący w jakiejś ciemnej zupie, zupełnie nierzeczywisty i pozbawiony sensu. Przestrzeń w obrazach Krystyny była wyselekcjonowana, oderwana od prawdziwego krajobrazu, nieistniejąca. Tak było od czasu, kiedy kobieta przestała podrabiać naturę. Zwy-

czajny sad wydawał się rajskim ogrodem z nieuchwytnym boskim bytem. Jednak te pejzaże niewdzięcznie skłaniały się w stronę kiczu, cieszyły oczy słodyczą wypielęgowanej linii, więc Krystyna unicestwiała je dwoma pociągnięciami pędzla. Z drugiego pokoju dochodził cichy płacz Kamilki, żałosny jak kwilenie niemowlęcia. Nie mogła znieść tego pochlipywania, w którym wyrażał się żal do świata, a nie złość, nie bunt tak typowy dla dzieci w tym wieku. Kamilka powinna się wściekać, narzekać na niesprawiedliwość losu, a nie tylko żałować. Bezradność i bierność dziewczynki dodatkowo denerwowały Krystynę. Rzuciła pędzel i zatkała uszy ubrudzonymi farbą dłońmi. Byle nie słyszeć tych dźwięków szturmujących jej pracownię. Palce kobiety przyciskały małżowiny coraz mocniej, aż do bólu. Pamięć wyrzucała poszczególne smutne obrazy z dzieciństwa. Kwilenie Kamilki było Krystynie znane, podobnej jej kwilenie po nieudanym pasażu, kiedy matka wyciągała błagalnie ręce ku niebu. Płacz denerwował matkę, tak samo jak teraz denerwuje ją. Malarka czuła to samo zniechęcenie i zniecierpliwienie, jakimi naznaczone były jej relacje z matką. Wtedy też płakała, prosząc o przebaczenie kolejnego błędu w grze na fortepianie, i znowu ciężkie nieme spojrzenie matki spoczęło na jej twarzy...

 Nie można myśleć tylko o sobie. Trzeba jeszcze bardziej się oddać tej małej istocie, choćby z czystego obowiązku. Od kiedy urodziła się Kamilka, życie Krystyny stanowiło pasmo poświęceń - tak je nazywała w myślach. Właśnie pasmo, jednolite, jednostajne, ciągnące się

w nieskończoność, a nie tylko doraźne akty zaangażowania z jej strony. I tak już miało zostać. Pasma jest zwarte i długie. Nie ma w nim przerwy na rozrywkę, miłość, samorealizację. Jest tylko poświęcenie, co do którego nie ma pewności, czy się opłaci. Krystyna pławiła się w myślach o swojej ofierze, nagradzając się nutellą, od której rosła warstwa tłuszczu wokół jej brzucha. Logopedyczne ćwiczenia z Kamilką - codzienna udręka, godzinna katorga rozłożona na dwa razy: rano i wieczorem. Kamilka gasiła płomień świecy nie strumieniem powietrza, lecz śliny wciskającej się między rzadko rozstawione zęby. Wytrwale dmuchała w jarmarczne koguciki, plastikowe ptaszki z ruchomymi dzióbkami, rurki zakończone balonikami oraz kulki waty, które za każdym podmuchem zrywały się raptownie i wirowały nad powierzchnią blatu. Te ćwiczenia stanowiły wstęp do właściwej terapii, pierwszy stopień do ustawienia głoski. Dziewczynka wykrzywiła buzię, nabierała powietrza, a na jej policzki wypełzał rumieniec wysiłku. Dmuchiła jeszcze kilka razy, trochę poprzewracała językiem jak krowa przystępująca do produkcji mleka i wybiegła z pokoju zadowolona z siebie i z życia. Krystyna odprowadziła ją zimnym, zgasłym spojrzeniem i pozbierała ze stołu porozrzucane kartki. Zupełnie jak Marek - ze wszystkiego zadowolona! „Znowu nie posunęła się do przodu nawet o milimetr” - myślała Krystyna. Kamilka nadal pluje, a powietrze ucieka bokami, zamiast przed do przodu cienkim zwartym strumieniem. Kiedy przestanie opluwać koguciki? Trzeba je myć po każdym ćwiczeniu, bo ślina wydzielająca przykry zapaszek, który wydobywał się spod ogona jarmarcznego ptaszka. Kobieta nie wiedziała, dla-

czego chciała zaoszczędzić temu nieudanemu dziecku rozczarowań w szkole, przewisk ze strony innych dzieci, wyobcowania, odrzucenia - w końcu jej nie kochała, więc skąd się wziął ten niezdrowy zapach? Krystyna się niecierpliwiła, bo czas gonił; zbliżał się sądny dzień. Wdychała wrześniowe powietrze, widziała gałęzie ciężkie od kasztanowych kul, przekwitłe róże i łysiejące drzewa. Został jeszcze tylko jeden rok!

Emilia znowu rosła w wyobrazeniach Krystyny, zabierając czas przeznaczony na zapadanie w sen, kiedy mózg wysyła fale alfa. Był to rodzaj transu, w którym zbliżała się do niej coraz bardziej, powracała do zaczarowanego czasu dzieciństwa, do malinowych soków wyciskanych przez gazę, do kromek chleba posmarowanych gęstą śmietaną i posypanych cukrem. Zagubione wspomnienia czepiały się pamięci jak rzepy i nie można ich było oderwać. W snach powracała altana stojąca w najbardziej ocienionej części ogrodu - miejsce tajemnicze i dziwnie niepokojące mroczną aurą. To właśnie tam Krystyna zobaczyła ich razem: Emilię i ojca. Jego ręka władczo obejmowała skulone ramiona dziewczynki, drżące z niewiadomych powodów. Włosy zakrywały jej twarz. Krystyna chciała coś powiedzieć, ale pochwyciła wściekłe spojrzenie ojca i szybko się wycofała z altany. Emilia milczała, chyba nawet jej nie zauważyła. O co chodziło? Co ojciec tłumaczył jej przyjaciółce? Obudziła się spona. To nie tylko sen. Co było dalej? Potem wrażenie, jakiego Krystyna doznała w ogrodzie trochę zbladło, bo ojciec na długo wyjechał, chyba szukać pracy. Jeszcze

później pod wpływem obejrzanego filmu koleżanki ogarnęła gorączka złota: poszukiwanie skarbów ukrytych w ziemi, kopanie głębokich dołów, którymi Krystyna i Emilia szpeciły bukowy lasek za wsią. Z głębi szerokiej szczeliny, wrytej z wielkim mozołem patrzyły na dziewczynki przepastne oczodoły ciemnych i zmurszałych ze starości czaszek. Wydawało się, że sterczące ostro w górę kości nagle ożyły i korzystając z okazji, chciały się wydostać na zewnątrz. Dziewczynki szybko przysypały je ziemią, na wszelki wypadek z naddatkiem, tak że powstało wzniesienie, mogiła, którą usypały niechcący. Nikomu o tym nie wspomniały, choć ksiądz proboszcz zawsze zapewniał dzieci, że można z nim o wszystkim porozmawiać. Niektóre dzieciaki rozmawiały, ale nigdy nic dobrego z tego nie wyniknęło.

Dopiero po latach pomiędzy Krystyną a jej matką zrodziła się niema umowa, coś w rodzaju układu o wzajemnym nieprzeszkadzaniu. Dziewczynka starała się być przeźroczysta, nie wchodzić matce w drogę i nie denerwować jej, gdyż rodzicielka nie znała innych metod wychowawczych niż różga. Dyscyplinę jako argument przeciw nieposłuszeństwu Krystyna przejęła jako spuściznę po swojej matce. Nie rozumiała napadów wściekłości. Miało się wrażenie, że pomimo mocnych uderzeń jest bezsilna. Złość bez jawnej przyczyny, chyba dlatego że musiała żyć. Świszcząca w powietrzu dyscyplina i zło-wrogie błyski w oczach kobiety powoli zatracają ostrość, piekące uderzenia po palcach nie bolały już tak bardzo - sprawiła to pogarda, a potem litość jaką Krystyna od-

czuwała wobec matki. Bo jak tu się nie litować nad istotą zdradzoną i wyśmianą przez pół wsi? Kobieta zaczęła podejrzewać, że coś jest nie tak, gdyż córka już nie krzyczała tak jak dawniej, choć razy wcale nie były lżejsze. Potem zauważyła niepokojącą zmianę w Krystynie, w jej spojrzeniu: zamiast bezsilnego gniewu pojawił się w nim wyraz pogardy i wtedy matka już wiedziała, że ktoś wtajemniczył jej córkę w tę skandaliczną historię. Dziewczyna poznała jej tajemnicę i to straciło kobietę z piedestału. A tam powinna stać matka. Przewagę nad córką zyskiwała z coraz większym trudem: za pomocą upiornych wprawek fortepianowych, niewykonalnych dla dziecka pasaży. Od tego czasu dyscyplina zelżała, uderzenia były słabsze, zadane trochę onieśmiałą ręką. Później wyraz twarzy dziecka znowu się zmienił: pogarda przeszła we współczucie i litość. Wówczas różga stała się nieprzydatna. Wisiała beczynn timer na ścianie, przyglądając się dziewczynce, która powoli wyrastała z wieku, kiedy jeszcze można ją było wychować.

Na piętrze Krystyna spotkała sąsiadkę: uszmkowaną Kolombinę ze sztucznym kwiatkiem we włosach. Czy starej babie wypada wpinać sobie taką ozdobę we włosy? Co to miało być? Spóźniona kokieteria? Krystyna pozdrowiła kobietę, stosując metodę unikania kontaktów. Kolombiny jednak nie dało się uniknąć, choćby ze względu na obfitość jej ciała, którym ocierała się o innych mieszkańców mijanych na schodach. Sąsiadka życzliwie przyglądała się milczącej Kamilce, zagadując nienaturalnie cienkim głosem wydobytym z głębokich czeluści

gardła. „Jeszcze nie mówi?” - dziwiła się nieodmiennie od dwóch lat. Krystyna już od dawna nie odpowiadała na takie pytania. Kręciła tylko przecząco głową albo szła dalej, jakby nie słyszała świdrującego powietrze głosu. Prostowała sylwetkę i stawiała zamaszyste kroki, zbyt głośne, wręcz aroganckie, jak gdyby zamierzała odstraszyć Kolombinę. Dopiero w mieszkaniu czuła się bezpieczna, odgradzona murami od spojrzeń, pytań i porad sąsiadki. Posadziła Kamilkę przed dużym łożeniowym lustrem o owalnym kształcie i wygrawerowanych po bokach ornamentach. Dziewczynka od razu zaczęła robić grymasy, wykrzywiać usta, marszczyć lekko zadarty nosek i wydymać policzki. Czas ćwiczeń, czas ukradziony duszy, która rwała się do pędzla i farb.

Mąż uważał te zabiegi za zbyt liczne, bo przecież Kamilka w końcu nauczy się poprawnie mówić, jak każdy człowiek. Teściowa popierała syna, potakując wysuszoną głową. Czasem dorzucała wiejskie mądrości, że wszystko się ułoży, tylko trzeba wierzyć; kalendarzowe sentencje i zdroworozsądkowe rady, że trzeba zaakceptować to, co jest. Krystynie nie chodziło o akceptację. Nie chciała, żeby Kamilkę tylko zaakceptowano lub tolerowano. Chciała czegoś więcej: podziwu, zachwytów, zazdrosnych spojrzeń innych kobiet. Nie wyobrażała sobie jednak, że to dziecko mogłoby ją napawać dumą, skupiać na sobie uśmiechy gapiących się na nią przechodniów. A co z chrześcijańską pokorą, którą Krystyna pragnęła reprezentować lub wręcz uosabiać? Powinna się cieszyć tym, co ma, bo przecież mogło być dużo gorzej. Mogła urodzić dziecko z wodogłowieciem, zespołem Downa, oligofrenią lub jeszcze z czymś innym, więc raczej należy być

zadowolonym, a nie wybrzydzać. Trzeba się wziąć w garść! Kobieta uciekała wzrokiem od dłoni dziewczynki, ale nieposłuszne oczy nieustannie powracały do dwóch pagórków na lewej ręce Kamilki. Niewielkie wzniesienia wypełnione tłuszczem, opięte różową i wilgotną skórą budziły w matce wstręt. Obawiała się ich, jakby były dowodem na pozaziemskie pochodzenie człowieka. Czasami, płynąc pod falę obrzydzenia, przyglądała się im, odkrywając nowe szczegóły: cienkie kruche włoski i mikroskopijne przebarwienia wokół dwóch wzniesień. Ręka dziecka powinna być nieskazitelna, gładka, rafaelowska, doskonała w każdym detalu. Krystyna nie umiała sobie wytłumaczyć, dlaczego właśnie te dwie niewielkie wypukłości niewiadomego pochodzenia tak bardzo wyprowadzały ją z równowagi: złościły lub smuciły - zależnie od nastroju.

Krystyna podświadomie czekała na jakąś pozytywną zmianę w swoim życiu. Właściwie miał to być cud, prawie namacalny, bliski. W czwartek wypatrywała nadejścia weekendu, a w sobotę niecierpliwie oczekiwała poniedziałku jako początku czegoś nowego. Cały czas miała nadzieję, że w najbliższy poniedziałek wydarzy się coś, co gruntownie zmieni jej życie. Ale kolejne poniedziałki mijały i nie przyniosły żadnej zmiany. Każdego ranka starała się przewidzieć, jak przebiegnie dzień. Napięcie związane z oczekiwaniem ciągle rosło, a wraz z nim strach, że do niczego nie dojdzie. Krystyna spodziewała się cudu, bo przecież codziennie się o niego modliła. Paliła ją niecierpliwość, a czasem wręcz znie-

cierpliwienie, że wszystko trwa tak długo. Pomijając udział Boga, już same tylko starania Krystyny: uciążliwe ćwiczenia i studiowanie fachowych książek, powinny zostać nagrodzone, więc kobieta czekała na nagrodę, coraz bardziej zaniepokojona jej brakiem. Modliła się teraz natarczywiej, dosadniej akcentując swoje prośby lub powtarzając je kilkakrotnie, żeby nie zagięły w zalewie innych, mniej ważnych modlitw. Rano z nadzieją szła do pokoju córki i ostrożnie podchodziła do łóżka, gdzie leżała uśpiona Kamilka. Przyglądała się dziewczynce przez chwilę, szukając oznak poprawy jej wyglądu, lecz buzia dziecka nie stawała się ani trochę mniej puciołowata, przeciwnie, podczas snu wydawała się jeszcze bardziej zaokrąglona i różowa niczym ryjek prosiaczka. Krystyna wychodziła zawiedziona, ale już następnego dnia ponownie wypatrywała przemiany, bo wierzyła, że kiedyś coś się zmieni.

Kiedy była małą dziewczynką, matka wpoila jej wiarę w cud, we wszechmocną wolę Boga, który w dowolnej chwili może wszystko odmienić. Nieraz wystarczy tylko czekać i błagać Go o cud. Matka Krystyny chyba całą młodość wyczekiwała takiego właśnie wydarzenia, że córka poprawnie zagra Chopina, jej ulubionego kompozytora, ale do niczego takiego nie doszło. W końcu kobieta przestała chciwie wpatrywać się w palce Krystyny i szeptać błagalne modlitwy. Nawet ona już nie wierzyła w cud. „Brak talentu” - Krystyna usłyszała surową ocenę, która zabrzmiała jak wyrok śmierci, bo właśnie wtedy umarła resztką miłości, jaką być może darzyła ją matka.

Robert snuł się po mieszkaniu bez celu, bez nadziei na znalezienie jakiegoś zajęcia, które przerwałoby nudę deszczowego popołudnia. Próbował napisać wiersz, przynajmniej kilka krótkich zdań, ale słowa nie współgrały ze sobą, zgrzytały i sens strof umykał spłoszony niefortunnymi sformułowaniami. Mężczyzna ze wstrętem spojrział na kolumny cyfr, na konta bankowe, debety i superaty, którymi miał się zająć, bo po to przyniósł papiery z biura do domu. Całe dorosłe życie cierpiał z powodu nieodpowiednio wybranego zawodu. Nie pojmował, jak mógł wpaść na pomysł zostania księgowym, stróżem porządku cyfr i kont, wiernym kontrolerem przelewów, wpływów i odpływów. Całkiem chybiona decyzja była nieodwracalna, gdyż prowadzenie księgowości stanowiło jedyną godną możliwość zarobkowania w Austrii. Jako alternatywa pozostawała praca na budowie, noszenie drabin i farb, bo Robert nie miał ani wykształcenia, ani zacięcia, które predestynowałyby go do kładzenia parkietów i przyklejania tapet. Pragnął czegoś, co przetnie nudę podliczania cyfr, wyniesie go na inną orbitę i uskrzydli.

Przed oczami stanęła mu Beata. Często o niej myślał: o ciepłej jej ręk, o spojrzeniu przepełnionym nieudawaną dobrocią, o nazbyt widocznej gotowości do poświęceń. Dokładnie tego potrzebował, ale właśnie to go u Beaty denerwowało: ta oczywistość jej uczuć, prostota i otwartość. Gdyby mógł dojrzeć w niej chociaż trochę wyrafinowania, szczyptę finezji czy tajemniczości, może pragnąłby jej tak, jak pragnie Krystyny. Beata nie rozumiała, że robi z myśliwego hodowcę bydła. Niewybaczalne! Gdyby ukrywała swoją miłość, może bardziej by się o nią starał. Nie można zabiegać o coś, co się należy. To,

co nie zostało wywalczone, traciło na wartości, a zyskiwało to, co wydawało się nieosiągalne. Dlatego zwyciężyła Krystyna, zdystansowana i zimna, nie zawsze gotowa go pocieszyć, zresztą przed nią Robert ukrywał swoje słabości. Sztucznie wesoły musiał grać rolę wiecznie zadowolonego kochanka, odpornego na życiowe burze sternika własnej kariery i pewnego siebie artysty. Krystyna nieświadomie budziła w nim pragnienie powrotu do dawnej butności, do czasu bez lęku, do luzackiej postawy, którą siostra zawsze mu wypominała z macierzyńską pobłażliwością. Gdzie była wtedy jego poezja? Nigdy wcześniej o niej nie myślał. Wiersze zrodziły się dopiero później, po wypadku.

Krystyna stała w progu pustego pokoju. Za jej plecami piętrzyły się porozrzucane zabawki i opróżnione kubki po sokach. Dwa rozbebeszone prezenty bez wstążek leżały na brzegu stołu. Tylko dwa, nie licząc podarków od rodziny. Kobieta pomyślała, że powinna być wdzięczna Bogu, bo w końcu dwoje dzieci przyszło na urodziny. Dwoje dzieci - zbawienie dla samotnej Kamilki. Dwa aniołki o blond włosach, które nie kręciły nosem, nie wruszały obojętnie ramionami i nie krzywiły się, słysząc sepleniące zaproszenie. Krystyna nie czuła smaku tortu, zbyt była zajęta obserwowaniem zabaw maluchów w ogrodzie. Właściwie to przyglądała się tylko Kamilce: jej kanciastym, niezgrabnym ruchom i nadaśanej minie, jeżeli coś nie było po jej myśli. Córka powinna się cieszyć, że nikt jej nie odrzuca, przyjąć to jak jałmużnę, giąć się w podziękowaniach, nie wymagać, nie obrażać się.

„Głupie dziecko” - myślała matka zaskoczona zachowaniem dziewczynki, która nie okazywała wdzięczności, i zamiast bezwarunkowo przyjąć ofiarowaną jej uwagę, boczyła się i stawiała warunki. Krystyna skupiła całą złość na córce, bo z trudnością pozyskała te dwie dobrze wychowane koleżanki z sąsiedztwa. Kosztowało ją to niemało zachodu i czasu: godzinne stanie przy płotach sąsiadek, potem upieczenie jabłecznika, odwiedziny, wypicie kawy z matkami, rozmowy o dzieciach, praniu, gotowaniu i niewdzięcznych mężach. Męczyły ją te kobiety całe w pretensjach, udręczone nadwagą i cellulitem, ale zachowała się bez zarzutu. Była z siebie dumna, bo zazwyczaj nie znosiła pogłębiania sąsiedzkich znajomości. Znowu kolejne poświęcenie z jej strony, którego Kamilka nie umiała docenić. Matka z gniewem obserwowała córkę bawiącą się z psem, zupełnie niezainteresowaną prezentami i nieobecnością dzieci. Może nawet nie zauważyła kiedy odeszły.

Dlaczego Krystyna nie umiała pokochać tej miłej dziewczynki? I dlaczego w takim razie nie potrafiła traktować jej z obojętnością? Chciała, żeby jej dziecko było piękne i mądre, jak chce tego każda matka, ale od innych matek różniło ją to, że nie potrafiła zaakceptować córki takiej, jaka jest - niedoskonałej. Jak dokonują tego inne matki niedoskonałych dzieci? Może widzą je inaczej niż postronni obserwatorzy, urabiają ich obraz na własne potrzeby? Krystyna widziała Kamilkę z przerażającym realizmem, jak nieudane dzieło malarskie. Niestety, nie mogła przykryć jej prześcieradłem, jak to zwykle robiła w przypadku kiepskich obrazów. Wstydziła się za nią jak za nieudany produkt, chybiony projekt, w którym pokładała wielkie nadzieje. Kamilka mówiła coś do pieska,

który tarzał się po podłodze i rył pyskiem w stercie klocków. Z kącików ust dziecka kapnęła kropla śliny, a za nią druga, większa i zawisła na krawędzi podbródka. Kobieta odwróciła głowę. Nie widzieć, nie patrzeć - było to pewnego rodzaju tymczasowe rozwiązanie. Czy warto w to dziecko inwestować siły i czas? Ćwiczenia logopedyczne ani trochę nie wzmocniły mięśni wokół ust, chociaż ćwiczyły codziennie, tak jak trzeba, wedle wskazówek. Krystyna wahała się pomiędzy zupełnym zarzuceniem terapii a zwiększeniem jej intensywności, bo coś musiało się zmienić. Życie wydawało jej się jednostajnym kołysaniem, które ją usypiało i męczyło jednocześnie.

Zdecydowanym ruchem, prawie nerwowo wstała z bujanego fotela, który pusty kolebał się jeszcze przez kilka sekund. Dziewczynka pojęła, o co chodzi, i odwróciła się z grymasem na twarzy w kierunku ojca. Marek protestował w imieniu swoim i córki, bo przynajmniej dzień urodzin Kamilki powinien być wolny od tej wariackiej pracy, od mielenia językiem, dmuchania i młaskania. Złościły go ćwiczenia, które Krystyna przeprowadzała z coraz większą zaciętością, wręcz agresją ściągającą jej twarz. Bał się tych chwil nabrzmiałych pretensjami, niecierpliwością, brakiem akceptacji ze strony żony. Mężczyzna nie mógł zrozumieć, dlaczego od tej głupiej głoski miało zależeć szczęście jego córki? Kamilka jest miłym, dobrym i inteligentnym dzieckiem, trudno jej nie kochać. Co ma do tego jakieś cholerne „s” wypowiedane nie tak, jak trzeba. Krystyna bez słowa wzięła opierającą się dziewczynkę za rękę i weszła z nią do łazienki. Drzwi zakołysały się na zawiasach i z hukiem przypieczętowały koniec niedzielnego wypoczynku.

Życiem Krystyny zawładnęła bezsilność. Kobieta szamotała się jak uwięziony ptak, który chce się wydostać na wolność choćby ze złamanymi skrzydłami. W nocy, czekając na sen, długo leżała z otwartymi oczami, choć wiadomo, że to nie pomaga zasnąć, i wpatrywała się w odbicie lustra na ścianie. Był to złowieszczy błysk. Pokój pochłaniała ciemność mniej groźna niż ta srebrna poświata na przeciwległej ścianie. Krystyna czuła nieuchwytnie, niezdefiniowane zagrożenie i miała pewność, że przypadnie, że nie da sobie rady. Nigdy nie sądziła, że niewyznana tajemnica, niepowierzone nikomu myśli rozrosną się jak drożdże, samoistnie, aż w końcu staną się nie do zniesienia. Kilkakrotnie podchodziła do męża z miną, która powinna go zastanowić, i chciała zacząć rozmowę. Jak mu wyjaśnić, że nie kocha ich córki i że chętnie pozbyłaby się jej na zawsze? Jak należy mówić o pragnieniu uwolnienia się od dziecka? Nie umiała przeprowadzić takiej rozmowy, ale wiedziała, że koniecznie musi oddać to dziecko, które przysparza jedynie kłopotów, kradnie czas i radość życia, wysysa z Krystyny energię i pompuje ją w siebie, aby potem cały dzień niestrudzenie skakać z psem i bez żadnego celu biegać po pokojach z szaleńczym tupotem. Ćwiczenia z Kamilką zniechęcały ją. Były to bezowocne wysiłki zmierzające w niewiadomym kierunku, bez happy endu i wygranej, bez triumfu nauki i sumiennosci nad wybrykiem natury. Nie przynoszący postępu trud wyzwalał w Krystynie egoizm i po kilkutygodniowej walce kobieta poddawała się. Następowala przerwa w niedorzecznym wykręcaniu języka, plu-

ciu na świecie i dmuchaniu w kogutki, a nadchodził czas myślenia wyłącznie o sobie, jakby wada córki przestała być kluczowym problemem. Dostyc poświęceń. Krystyna otrzepywała z kurzu stare szkice zrobione jeszcze w Polsce, związała je w rulon i szła na wystawę, bo wydawało jej się, że siedząc w domu, traci tę ważniejszą część życia. Nagle szala z malarską karierą na wadze życia zdecydowanie opadała, a problem Kamilki, jakby nadmuchany, unosił się w górę. Dziewczynka mogła na krótko odetchnąć.

Krystyna krążyła po wernisażach i szukała mecenasów, pośredników czy innych malarzy, którzy katorgę debiutu mają już za sobą i mogliby pomóc. Już tyle lat nie słyszała słów zachęty, pochwał ani rzeczowych uwag fachowców. Każda wystawa to nowa szansa na sukces, bo przecież ktoś wpływowy mógł malarzkę zagadnąć, potem zachłusnąć się jej obrazami, które zwinięte w rulon miała zawsze przy sobie tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś chciał je obejrzeć. Na wernisażach Krystyna na ogół całkiem świadomie milczała. Zdawała sobie sprawę z tego, że ktoś, kto nic nie mówi, roztacza wokół siebie aurę tajemniczości - nic o nim nie wiadomo, nikt nie znajego myśli. Poza tym na podstawie milczenia trudno nawet w przybliżeniu określić czyjeś IQ. Milczenie w połączeniu z nieobecną miną łatwo zinterpretować jako zadumę. Krystyna wolała więc milczeć, bo czuła się niepewnie wśród artystów: malarzy, rzeźbiarzy i innych przedstawicieli sztuk plastycznych. Nikt zresztą jej nie zauważał, była przezroczysta. Dopiero pierwsza własna wystawa sprawia, że twórca przebija powłokę, która czyni go niewidzialnym, i wtedy bracia artyści zaczynają go dostrzegać. Na razie Krystyna siedziała cicho w kąci, zastana-

wiając się, po co właściwie tu przyszła. Nieświadomie podrzucała rulon z obrazami. Była zupełnie zbita z tropu, bo przecież ktoś powinien ją zagadnąć choćby ze względu na jej urodę. Upłynęło tyle lat - ponad dziesięć - i Krystyna już dawno przestała się interesować swoim wyglądem. Chyłkiem wymknęła się do toalety, chociaż i tak nikt nie zwrócił uwagi na jej zniknięcie. W lustrze odbijała się pociągła twarz z głęboką zmarszczką niezadowolenia między jasnymi brwiami. Twarz rozmyta, 0 niewyraźnych konturach, bez wyrazu. Kobieta na próżno dopatrywała się ukrytego piękna, którym kiedyś wszystkich zachwycała. Gdzie się podziała ta uroda zakłęta w proporcji, kolorze cery i błękicie oczu? Jak mogła tak ulecieć? Co sprawia, że twarz wydaje się młoda? Czy miękkość rysów, niczym niezaburzona harmonia kształtu podbródka? A może to jasne i głębokie spojrzenie, którym dawniej zwałała z nóg? Teraz Krystyna oszałamia jedynie Roberta. Czują niedosyt. Wróciła na salę po rulon z obrazami i przez nikogo niezatrzymywana opuściła wystawę.

Jechała samochodem oślepiająco jasnymi od świateł ulicami lecz o tej porze opuszczonymi przez kierowców i przechodniów. Neony wyzywająco kłuły w oczy, narzucały się natarczywą czerwienią, mrugały głupimi sloganami, które mimo woli wbijały się w pamięć. Krystyna lubiła prowadzić po pustych drogach o lśniącej powierzchni, zaraz po deszczu, kiedy w powietrzu unosił się jeszcze delikatny zapach rozgrzanego mokrego asfaltu. Dopiero co zapalone latarnie uciekały na boki spłoszone światłem reflektorów. Kobieta myślała o córce, którą porzuciła dla chęci pokazania swych obrazów.

Czasami chciała się ukarać za brak uczuć do tej miłej dziewczynki o twarzy prosiaczka. Kiedyś wykona na sobie wyrok, tylko jeszcze się zastanawiała, jak wysoki powinien on być. Kara śmierci za brak miłości - to wydawało jej się sprawiedliwe. Samochód zbliżał się do białych barierek autostrady, które przyciągały auto jak magnes, kusiły obietnicą spełnienia. Krystyna nie mogła oderwać wzroku od pobielonych betonowych słupków, które choć na pozór nijakie i bez wyrazu, miały w sobie potencjał zabijania, tak jak wiele innych przedmiotów. Samochód podjeżdżał do barierki i znowu się od niej oddalał - Krystyna już kilkakrotnie prowadziła taką grę ze strachem i poczuciem winy, nadal jednak brakowało jej tych kilku rozstrzygających centymetrów. Może tak odrobinę w prawo, nieznaczny skręt kierownicy, ale taki, żeby jeszcze zapanować nad pojazdem? Wciąż nie mogła się ostatecznie zdecydować, a jednak auto pędziło niebezpiecznie blisko wzdłuż krawędzi autostrady. Życie od śmierci oddzielało raptem kilka niewinnych centymetrów, tylko niewielki kąt, o jaki należałoby skrócić kierownicę. Kobiecie szumiało w uszach, ale mózg nadal rejestrował pojedyncze obrazy: krzaki jaśminów za barierkami, tuż przy rowie, z tyłu kilka drzew liściastych, po lewej stronie jakieś zabudowania, baraki. Gdyby Krystyna chciała, mogłaby to być ostatnia rzecz, jaką by zobaczyła w życiu - wszystko zależało od niej. Czoło malarki pokryły krople potu, serce pracowało w oszałamiającym tempie, pompując krew do mózgu. Czuła ją wszędzie, jak żywy strumień przebiegający przez całe ciało. Znowu zabrakło jej odwagi. To tylko pierwsza przymiarka.

Zbyt bliskie podejżdżanie do barierek było grzechem. Może nie samo podejmowanie ryzyka, ale myśli, które temu towarzyszyły. Z zadumy wyrwała Krystynę bełkotliwa mowa córki, bawiącej się w kącie pokoju. Głos Kamilki, choć znany i oswojony, zawsze otrzeźwiał matkę, jakby ktoś znieńacka polał ją zimną wodą. Najpierw reagowało ciało Krystyny - kurczyło się, potem podążała za nim świadomość, wracając do rzeczywistości. Czy związałyby się z Robertem, gdyby miała takie dziecko, o jakim marzyła? To ułomne uczucie, jakim darzyła Kamilkę, popychało ją do zaspokojenia potrzeby kochania. Córka bezwiednie skłaniała matkę do robienia rzeczy, które wcześniej nawet nie przyszłyby jej do głowy. Ale co z Bogiem? Wpojona w dzieciństwie wiara zawsze była częścią codzienności Krystyny, wtopiona w każdą czynność i każdą myśl. Czasem kobieta myślała, że wiara to tylko przyzwyczajenie, sposób na życie, ale wieczorem znowu się modliła, bo bez tego nie mogłaby zasnąć. Następnego dnia chęć pozbycia się dziecka lub jechania bliżej krawędzi autostrady rosła od pierwszego łyku porannej kawy i tak codziennie, więc malarka sądziła, że coś musi się zmienić. Kamilka powinna zniknąć bez jej udziału, żeby Krystyna mogła żyć dalej ze spokojnym sumieniem, niczemu winna. Nie chciała, żeby dziecko cierpiało. Nie powinno chorować, zmagać się ze strachem i bólem. Najlepiej, gdyby odeszło nagle, nie zdając sobie z tego sprawy, ale nie mogłaby to być śmierć. Skoro Bóg dał nam wolną wolę, to tym samym zwolnił nas z dobroci i pokory. Poza tym pozbycie się Kamilki nie należało do grzechów śmiertelnych i to wydało się Krystynie naj-

istotniejsze. Nie zamierzała przecież zabić córki, tylko usunąć ją ze swojego życia, bezkruwawo, bez złych myśli, bez bólu. Chciała nawet polepszyć los dziewczynki - w końcu jest tylu ludzi gotowych ją pokochać.

Kobieta bezwiednie podeszła do pustych sztalug, niezachęcająco odwróconych w stronę ściany. Co planowała namalować? Wydrażoną z pomysłów głowę oparła o framugę okna. Przecież była artystką, mogła stworzyć wszystko: nowy dom, nowy ogród, ładniejszy niż ten wynajęty, nową córeczkę... Kamilka byłaby wtedy wymarzona, idealnie piękna, ta sama, która teraz naciąga psu uszy, a jednak inna. Krystyna przyjrzała się córce pochylonej nad pupilem zdyszany od jej pieszczot. Z policzków dziewczynki musiałyby usunąć nadmiar tłuszczu, bardziej podkreślić oczy, a koniec nosa skierować w dół, żeby nie sterczał zadziornie. Nie zauważyła, kiedy wieczór wcisnął się do pracowni, malując wszystko na szaro. Włączyła lampkę i z zacięciem kontynuowała pracę. Wzrok Krystyny tonał w złotych włosach wymarzonej Kamilki. Naprawdę piękna! Płacz córki przywrócił kobietę do rzeczywistości. Znowu ten sam realny świat, ta sama pracownia i szloch dziecka z byle jakiego powodu oraz głos teściowej. Krystyna wsunęła jeszcze wilgotny obraz pod szafę. Kiedy wysechł strzepnęła z niego kurz, który przywarł do mokrej farby i przykryła go narzutą. Część ręki i włosy rozmazały się, ale to nie miało znaczenia, i tak nikt nie może zobaczyć jej dzieła. Od tego czasu było to najlepiej strzeżone płótno Krystyny, jakby kryło jakąś tajemnicę. Malarka jeszcze nie wiedziała, dlaczego obraz jest dla niej tak ważny. Czego oczekiwała? Co jakiś czas wyciągała go spod szafy, podchodziła z nim do okna

i patrzyła, czy coś się nie zmieniło na płótnie. Jakie to miały być zmiany? Obraz jako zwierciadło marzeń, posłuszne jej wizjom? Absurdalne. Jednak coś niewytłumaczalnego popychało Krystynę w jego stronę. Co najmniej raz w tygodniu delikatnie odchyłała narzutę i przyglądała się swojej pracy i czasami wydawało jej się, że twarz Kamilki wykrzywiła się nieznacznie, ale może to tylko złudzenie spowodowane kątem padania światła. Kobieta chciała doświadczyć choć odrobiny cudu. Tym większe było jej rozczarowanie, gdy postać na obrazie jaśniała dawną urodą. Krystyna znowu musiała zaszcześcić w sobie nadzieję, że kiedyś wszystko się odmieni. Nie mogła pojąć, jak to się dzieje, że twarz na płótnie raz jest piękna, to znowu traci subtelne rysy i wydaje się pucołowata i pospolita - wtedy buzia rzeczywistej Kamilki zyskiwała nieuchwytny urok. Krystyna liczyła na cud, na powtórzenie przemiany Doriana Graya.

Robert bezmyślnie naciskał klawisz „wyślij/odbierz”. Początkowo tylko się nim bawił, potem zaczął uderzać z narastającą złością. Robił to miarowo, tak jakby wystukiwał jakiś dziki rytm i jednocześnie się w niego wsłuchiwał, odkrywał jego naturę. Przycisk odpowiadał cichym jednostajnym klekotaniem i nie miał nic do zaoferowania swojemu prześladowcy. Żeby chociaż jakaś krótka informacja, jakiś drobny znak życia ze strony siostry i szwagra. Kolejna niedziela na obczyźnie spędzona samotnie w małym mieszkaniu do remontu, na jadownicy czerwonej kanapie. Na ciągłą obecność Krystyny Robert nie mógł liczyć; zbyt zależało jej na konserwatywnych war-

tościach: niedzielnych obiadkach, marszu do kościoła, spacerze z teściową i mężem. Nie chciała podjąć żadnego ryzyka, czym deprecjonowała ich miłość. Mężczyzna nie rozumiał, jak to możliwe, by artystka była tak przyziemna, wzorowa, mieszczańska, spętana skrupułami. Każde święta spędzał przy jednoosobowej zastawie, oderwany od reszty świata, przeźroczystry dla rodziny, nudny dla znajomych, a dla Krystyny spowszedniały. To, że ich związek był utrzymywany w tajemnicy, dodawało mu pikanterii, ale Robert nagle zapragnął mieć Krystynę tylko dla siebie i już nie robił miny zwycięzcy, kiedy ukradkiem wymykała się z domu, żeby spędzić z nim pół godziny. Beata była na wyciągnięcie ręki, zawsze gotowa przebaczyć, ofiarować siebie bez zastrzeżeń, ale Beata nie stanowiła dla Roberta wyzwania. Przypominała raczej spokojną taflę wody, w której wszystko tkwi w bezruchu aż do zmętnienia, w której brak świeżości i nowych prądów. Wieczne uwielbienie ze strony niebrzydkiej przecież kobiety początkowo męczyło poetę, a potem zaczęło go nudzić. Krystyna była dla niego jakby niedokończonym wierszem, jego wierszem, trudnym, ambitnym, niezrozumiałym nawet dla samego twórcy. Wiedział, że i nią kiedyś się znudzi, bo nawet tajemnicza i nieodgadniona Krystyna pewnego dnia da się do końca poznać. Zaufa mu, odkryje karty, przestanie go zadziwiać i poruszać, a wtedy Robert ją odrzuci. Już się cieszył na myśl o tej chwili, bo był człowiekiem mściwym. Chciał odpłacić kochance za brak oddania, za ciągłe pretensje i wymagania, za brak uwielbienia dla jego wierszy i za to, że sprowadziła go do roli swego satelity.

Podczas niedzielnego obiadu po raz pierwszy przyszło Krystynie do głowy, że Kamilka nie jest jej córką. Może odezwało się w niej pragnienie duszy skrywane i tłumione przez rozsądek. Łyżka z zupą zawisła nad talerzem, zadrżała i kilka kropli kapnęło na biały obrus. Teściowa zmarszczyła brwi. Znowu będzie musiała pracować, wywabiać, prasować i wygładzać. Powinna się cieszyć - ma kolejne zadanie, dzięki któremu może zdusić czas do mniejszych rozmiarów. Myśl o noworodku podrzuconym w czeskim szpitalu od razu wydała się Krystynie genialna. Gdyby okazało się, że nie jest rodzoną matką Kamilki, wtedy z kobiety o złych genach nagle stałaby się osobą miłosierną, zasługującą na uznanie i podziw za to, że wychowuje cudze dziecko, i to takie dziecko! Kto wie, co się wydarzyło w czeskim szpitalu? Wszystkiego można się spodziewać! Obcość kliniki i jej zimna postkomunistyczna architektura wywarły na Krystynie jak najgorsze wrażenie, ale sprawa nie podlegała dyskusji - zbliżał się poród. Może tam wśród dziesiątek maleńkich istotek została jej prawdziwa córeczka? „Kim jest Kamilka? - kobieta pytała samą siebie po kilka razy dziennie, chmurnie spoglądając na rozbawioną córkę. - Czeszką?” Obok rodziły się inne dzieci, czerwone i śliskie, trudno je było odróżnić. Jej córka miała na głowie niewielką plamkę, która potem zniknęła. A może to dziecko zagięło i przynieśli jej jakieś inne, podobnie czerwone i tak samo wrzeszczące? W szpitalu panował tłok, malarka widziała noworodki leżące w koszykach, bo nie starczyło dla nich łóżeczek. Mąż też to widział i z pewnością sobie o tym przypomni. Tylko dlaczego miałyby to robić?

Krystyna nie wiedziała, jak zacząć rozmowę z Mar-kiem. Nie mogła się zdecydować, czy powinna podzielić się z nim swoimi podejrzeniami. Wiedziała, co odpowie mężczyzna. Uśmiechnie się tylko i zdziwi, że można mówić takie rzeczy, bo przecież to jest ich Kamilka, ich wymarzona córeczka, podobna do ojca, babki i ciotek z całej rodziny. Grzech tego słuchać. A jeżeli gdzieś tam w Czechach mieszka skarb Krystyny: śliczna jasnowłosa dziewczynka z oczami w odcieniu głębokiej akwamaryny? Można sprawdzić - wtedy będzie miała pewność. Kobieta bała się jednak ją uzyskać - nie pozostałoby wtedy nawet najmniejsze pole do przemyśleń. Może się okazać, że ta pulchna i niezgrabna osóbką to właśnie córka Krystyny i nie można tego zmienić nawet w myślach. Dopóki matka nie miała gwarancji, mogła sobie wyobrazić swoją córeczkę, kreować ją w myślach, bo istniała tylko w jej głowie jako idea a idea była piękna.

Wieczorem Krystyna nie potrafiła przełknąć kolacji, którą Marek przygotował, chcąc uczcić kolejną rocznicę ślubu. Zmuszała się do połykania małych kawałków mięsa duszonego w musztardowym sosie i rzucała ukradkowe spojrzenia na roześmianego męża. Gdzieś z głębi drugiego pokoju dobiegały wrzaski Kamilki bawiącej się z psem. Krystyna niezbyt dyskretnie pokręciła głową ze zniecierpliwieniem i to wystarczyło, żeby mężczyzna wreszcie zapytał o to, o co powinien zapytać dużo wcześniej. Zakłopotany toczył wewnętrzną walkę, a zanim się zdecydował, poważnie spojrzał na żonę. Wahał się jeszcze przez chwilę, ale kobieta patrzyła mu w oczy przenikliwie i wyczekująco. Nie było odwrotu. „Czasami zachowujesz się tak, jakbyś nie kochała Kamilki” - zawiesił

głos, który na końcu zdania przeszedł w szept pełen trwogi i niepewności. Krystynie przemknęło przez głowę, że powinna się oburzyć, zrobić kilka dramatycznych gestów, wybuchnąć płaczem lub wybiec z pokoju albo wszystko na raz. Siedziała jednak, milcząc, porażona trafnością jego podejrzenia. Nie mogła zebrać myśli, żeby odpowiednio zareagować. Pokręciła tylko przecząco głową, jakby się dziwiła, że mógł wpaść na coś takiego. Mąż zauważył tłumiony często wyraz zniechęcenia na twarzy żony, niecierpliwe gesty, ostre słowa, zimne spojrzenia, w których trudno się doszukać iskierki sympatii. Może inni też to dostrzegli? Na przykład teściowa, do upadłego kochająca swego jedynego syna - dumę całego rodu zacnych rzemieślników.

Krystyna wyszła z pokoju z bolesną miną, ale właściwie czuła tylko zakłopotanie, jakby ktoś przyłapał ją na kłamstwie. Bała się, że te podejrzenia wkrótce przybiorą formę konkretnego oskarżenia. Musiała bardziej nad sobą popracować, ujarzmić zdradliwe gesty i słowa brzmiące fałszywą nutą. Rozmowę z Markiem odebrała jako ostrzeżenie. Zdwoiła wysiłki, żeby nadal zachować w tajemnicy swoje niezdefiniowane uczucia w stosunku do Kamilki.

Wiosną plac zabaw przed blokiem powoli ożywał: wypełniał się głosami troskliwych mam, słodkim gaworzeniem maluchów i krzykami nieokiełznanych przedszkolaków, na które pohukiwała znudzona wychowawczyni. Jeszcze gdzieś na liściach błyszczały ostatnie krople deszczu, czekające na wzbierającą falę gorąca. Krystyna odważnie usiadła na ławce i niezręcznym ru-

chem ręki lekko popchnęła Kamilkę w stronę piaskownicy, którą dzieci obsiadły jak chmara krzykliwych i zadziornych wróbli. Kobieta wiedziała, co nastąpi, a jednak potakująco kiwnęła głową, kiedy dziewczynka niepewnie spojrzała na matkę. Kamilka powoli podeszła do piaskownicy, czujna jak skradający się kot i gotowa w każdej chwili uciec. Już sam sposób zbliżania się do innych dzieci programował niepowodzenie. Obnażając niepewność i nieśmiałość Kamilki, prowokował agresję wobec niej. Krystyna zamknęła oczy. Lepiej nie widzieć. Może tym razem będzie inaczej niż zwykle? Tylko dlaczego coś miałoby się zmienić? Matka łowiła nieprzyjemne dźwięki, pomruki niezadowolenia, wreszcie zobaczyła kłębowisko dziecięcych rąk wypychających Kamilkę z piaskownicy. Dziewczynka zaparła się nogami o drewnianą obudowę i z całej siły walczyła o kilka centymetrów piasku, o prawo do wspólnej zabawy, o akceptację. W końcu się poddała i z twarzą mokrą od łez i brudną od piasku stanęła przed Krystyną, wlepiając w nią proszące spojrzenie. Wychowawczynie dla przyzwoitości znowu huknęła tubalnie na podopiecznych.

Kamilka oczekiwała od matki pomocy jak zawsze, kiedy nikt się nie chciał z nią bawić. Ten błagalny wzrok wytrącił Krystynę z równowagi, bo przecież nie mogła zmusić dzieci, żeby polubiły jej córkę. Dziewczynka nie rozumiała relacji uczuciowych między ludźmi. Nie wiedziała, jak zdobyć sympatię rówieśników, jak skłonić ich do zabawy czy do przyjaźni. Czy można w ogóle sprowokować przyjaźń? Nie da się jej wyprosić ani kupić lodami i pizzą - te metody Krystyna już wypróbowała. Teraz tylko nie patrzeć Kamilce w oczy, lepiej przyjrzeć się po-

dartej i brudnej sukience. Nagle kobietę przepełniła złość, ale nie na dzieci z piaskownicy, tylko na Kamilkę bezradnie stojącą przed nią z umorusaną twarzą niczym chłopka z obrazu Breughla. Czasem się zastanawiała, czy córka potrafi rozszyfrować mowę jej ciała, gesty rąk nieprzyjaźnie wyciągniętych w jej kierunku, chłód uczuć przebijający spod ciepłego spojrzenia, uśmiech gładki i lśniący, który tylko jednym nieznacznym skrzywieniem zdradza niezadowolenie. Czy dziewczynka wiedziała, że matka jej nie kocha? Krystynę przerażała ta myśl. Musiała pracować metodycznie, stworzyć system zwodzenia Kamilki i całej rodziny. Przede wszystkim Krystyna uśmiechała się do córki, zwłaszcza, gdy chciała odwrócić uwagę Kamilki od zbyt widocznych na jej twarzy rozczarowania i złości. W napiętych sytuacjach obejmowała ją i przyciągała do siebie, bo wtedy córka nie mogła widzieć jej miny. Przytuleniem można wiele zatuszować, ukryć prawdziwość uczuć - to najbardziej zwodniczy gest. Dziewczynka dostawała teraz więcej zabawek i ubrań. A Krystyna tęskniła do swojej prawdziwej córki. Goniła w myślach fantom znikający pod powiekami, kiedy zasypiała.

Marek położył rękę na jej plecach. Dłoń wydawała się Krystynie potwornie ciężka, niezdolnie ciepła, zbyt penetrująca, niecierpliwa. Kobieta w popłochu zamknęła oczy, chociaż mężczyzna nie mógł tego widzieć, bo leżała odwrócona do niego plecami. Był to tylko nieprzemyślany odruch obronny, reakcja na zaborczość tej ręki, której dotyku ciało Krystyny kiedyś tak pożałowało. Przejście od pragnienia do odtrącenia odbyło się powoli,

niezauważalnie, jakby malarka nie mogła jeszcze pojąć, że uczucia potrafią być dwulicowe. Mąż ostrożnie przytulił się do jej pleców, które nagle zeszywniały pod wpływem muśnięć jego palców. Jeszcze rzucił w senne powietrze pytanie, na które nie otrzymał odpowiedzi, więc wywnioskował, że Krystyna śpi. W swojej poczciwości nie dopuszczał żadnych innych możliwości. Nigdy by nie uwierzył, że żona tylko udaje, że chce się wykręcić, a jej ciężki oddech jest wystudiowany i tchnie nieszczerością. Kobieta nie wiedziała, jaki będzie dalszy ciąg rodzinnego serialu, jak długo będzie mogła udawać i odwzajemniać pocałunki Marka uśmiechem. Musiała być bardzo ostrożna, przebiegła i sprytna, bo uczyła się najtrudniejszej ze sztuk - sztuki udawania miłości, i to podwójnej. Do męża i do córki. Bała się rozszyfrowania. Kluczyła i zacierała ślady obojętności jawnie występujące na jej twarzy, kiedy się nie kontrolowała. Jej dusza naznaczona była piętnem zdrady, nawet kiedy nie spotykała się potajemnie z Robertem. Marek zdawał się nie zauważać zmian w zachowaniu żony albo tłumaczył je sobie po swojemu, zawsze z pozytywnym zakończeniem, zawsze ją usprawiedliwiając. Podpierał się swoim uczuciem i wiedział, że starczy go dla dwojga. Od pewnego czasu jednak widział, że Krystynę coś dręczy i że to nie jest tylko rezultat kiepskiego dnia, nieprzespanej nocy, niepowodzenia w malowaniu - to coś znacznie poważniejszego.

Zmęczony upałem i pracą nad rachunkami Robert położył się na czerwonej sofie, twardej i niewygodnej, ale za to modnej i pasującej do przestronnego pokoju

O dużych oknach. Chciał tylko na chwilę zamknąć oczy i o niczym nie myśleć, oderwać się od korowodów liczbowych, kont i sald, lecz jego głowę wypełniały taśmencowe ciągi cyfr bez początku i końca. Jakże ich nie nawidził, on - poeta, piewca ulotnej urody świata, zamiatwany w labiryncie liczb. Gardził też pieniędzmi, które musiał zarabiać jako księgowy, bo nie mógł wyżyć jedynie ze sztuki. Promienie południowego słońca przesywały przybrudzone szyby czteroskrzydłowych okien i rozlewały się po pokoju żółtym ciepłem. Robert znalazł się pomiędzy jawą i snem, jak w hipnozie i kiedy się zasypia. Powieki mężczyzny opadły ciężko. Oczom ukazał się rześki wiosenny dzień zanurzony w odgłosach budzącej się przyrody. Droga, w zasadzie wyboista i wąska ścieżka. Roześmiana twarz chłopca. Kosmyki lnianych włosów uporczywie opadały na jego rozbawioną twarz, kiedy siedząc na starym motorze, pochylał się do przodu. Pędził z zadziwiającą prędkością, omijając koleiny wyżłobione przez wodę i wystające z gliniastej ziemi ciemne, nakrapiane jak jaja strusia kamienie. Chłopiec spojrział w dół na wgłębienie w drodze wypełnione wodą. Chciał ominąć kałużę i nagle niebo spadło mu na głowę, drzewa zawirowały i obraz ścieżki rozmył się w ciszy. Robert zerwał się gwałtownie wyrwany z drzemki, która go nie pokrzepiła, i usiadł na sofie. Na siatkówce oka zostały jeszcze przez sekundę twarz chłopca, drzewa, przewrócony motor i szpiczasty głaz, który wbił mu się w brzuch. Mężczyzna bał się tego wspomnienia. Pocił się na samą myśl o polnej dróżce wtopionej w leśną głuszę, skąd dochodziło stukanie dzięcioła. Kiedyś wybrał się na spacer, by obejrzeć to miejsce w nadziei na odzyskanie

spokoju, tak jakby sam widok drogi miał go uleczyć z koszmarnych snów i lęków.

Robert wstał i podszedł do komputera. Kilkoma wprawnymi ruchami giętkich palców otworzył skrzynkę mailową i zamknął oczy w oczekiwaniu na odbiór poczty. Poruszał szybko ustami, tak jakby odmawiał pacierz. Wokół zaciśniętych powiek utworzyła się siateczka drobniutkich zmarszczek. Mężczyzna dostrzegł kątem oka, że przyszły nowe wiadomości. Lubił dostawać listy, obojętnie w jakiej formie. Zawsze kiedy otrzymywał pocztę, gdzieś w zakamarkach jego duszy rodziła się nieśmiała nadzieja, że może między nieistotnymi często informacjami czy reklamami znajdzie się choćby kilka słów od siostry. Chciwie, z wypiekami na twarzy chłonał strumienie wyrazów, które nie miały dla niego żadnego znaczenia. Znowu nie nadeszło to, na co czekał od roku - znak od siostry, choćby jedno banalne zdanie albo urodzinowe życzenia. Wśród niepotrzebnej korespondencji dostrzegł mail od wydawnictwa, do którego przed miesiącem wysłał swoje wiersze. Drżącym z niepewności palcem wcisnął odpowiedni klawisz i otworzył list. Krótkim spojrzeniem objął treść otrzymanej wiadomości. Jego mózg zarejestrował radosne słowa: „wydanie tomu wierszy...”, „zainteresowani...”, a wyparł ze świadomości inne, może ważniejsze informacje i zgodnie z oczekiwaniami Roberta pozwolił mu zachłysnąć się radością. Mózg potrafi być cholernie złośliwy, jakby żył własnym życiem i chciał się pozbyć uciążliwego ciała. Nieoczekiwane szczęście ogłupiło mężczyznę do tego stopnia, że Robert stanął przed lustrem i donośnie śmiał się sam do siebie, odślaniając przekrwione dziąsła. Nareszcie! Szansa

po tylu latach. Poeta znowu się roześmiał i zaczął podskakiwać ze szczęścia. Natarczywy dzwonek telefonu gwałtownie przerwał euforię Roberta i przywrócił go do rzeczywistości. Dopiero teraz dotarło do niego, że w tym pięknym zdaniu, które przeczytał kilka minut temu, ukryło się jedno skromne, lecz wiele znaczące słowo. Nie zauważył go wcześniej, nie przyjął do wiadomości, podświadomie broniąc się przed rozczarowaniem. Wyraz potężniał w jego myślach i mężczyzna był już prawie pewny, że znajduje się także w wiadomości od redakcji. Robert podbiegł do komputera, potykając się o leżącą na podłodze drukarkę, której nie zdążył jeszcze podłączyć. Teraz na ekranie zobaczył słowo w całej jego marnej postaci, sztywnie z niego trzema literami, karłowate, lecz potężne „nie”. Upadek był bolesny, z dużej wysokości, na którą poeta wzniósł się początkowo, błędnie odczytując mail. Teraz spadł z piedestału, na którym zdążył się już postawić w pozie zamyślnego wieszca.

Mężczyzna poczuł skurcz w żołądku i kłucie w zębach. Zaschło mu w ustach, a język przykleił się do podniebienia. Zjedzona wcześniej golonka zawirowała w trzewiach, jakby nie mogąc się zdecydować, którą stroną opuścić przewód pokarmowy Roberta. Poeta bezmyślnie kołysał się nad klawiaturą, jakby odprawiał jakieś magiczne obrzędy, które i tak nie pomogą. Komputer milczał obojętnie, chociaż Robert kilka razy walnął w niego dłonią zwiniętą w pięść. Cierpiał już na sporą depresję, a teraz sięgnął dna. Wiedział, że przeżyje w tym stanie jakiś czas, aż w głowie zaświta mu nowy pomysł, który zupełnie nieoczekiwanie przyniesie pozytywną energię. Wtedy mężczyzna ponownie stanie w szranki.

Powracał plan opłacenia publikacji tomiku. Robert oswajał się z nim powoli, jak z dziką bestią.

Krystyna przyglądała się coraz ciemniejszym włosom Kamilki, które z każdym miesiącem traciły złotawy pszeniczny odcień, przechodzący nieubłaganie w brudną żółć. „Kłosa zboża zbite deszczem i gradem, zmieszane z moką ziemią” - myślała matka, zaplatając córce warokocze. Ratowała złoto i żółć, myjąc dziewczynce włosy w rumianku z dodatkiem wody utlenionej. Uśmiechnięte dziecko patrzyło ufnie na Krystynę i z naiwnością poddawało się jej woli, nawet gdyby matka chciała ogolić Kamilce głowę. Skąd u niej ta bierność? Dziewczynki w tym wieku są bardzo przekorne, uparte i zadziorne! To chłopcy zachowują się czasem, jakby się najedli estrogenów. Kobieta wolałaby, żeby córka nie kochała jej tak bardzo. Byłaby jej nawet wdzięczna za nienawiść lub chociaż obojętność. Jak na złość im bardziej Krystyna - oczywiście dyskretnie i z wyczuciem - odsuwała małą od siebie, tym bardziej dziecko do niej lgnęło. Zrezygnowana przytulała wtedy Kamilkę pełną złości na siebie i wstydu, że kieruje nią egoizm i że nie potrafi dać córce nawet namiastki miłości. Kobieta uważała, że pozory by wystarczyły, bo przecież wielu ludzi się nimi zadawała i myśli, że ktoś ich kocha. Niektórzy na takich złudzeniach budują nieraz całe życie. I dobrze. Bywa, że do śmierci nie poznają prawdy.

Krystyna chciała natychmiast okupić swój chłód jakimś prezentem i długo chodziła po sklepach w poszukiwaniu nowej sukienki dla Kamilki. Zakupy jej nie cie-

szyły, mimo to przykładała się do tego zadania. Dżinsy dla córki musiały dobrze leżeć, nie opinać zbyt ud, nie podkreślać tłuszczu na brzuchu i biodrach dziecka, a jednocześnie optycznie wydłużać nogi. Kupowała dziewczynce wiele niepotrzebnych ciuszków, tak jakby chciała odwdziaczyć się nimi za miłość. Tylko tyle mogła jej ofiarować. Zainteresowanie zamiast kochania. Jednak w zamian za miłość można podarować jedynie miłość - nie ma żadnych wymienników. Matka wzięła do ręki szcztokę Kamilki, w której pozostało kilka ciemnoblonde pasm. Wyjęła z niej jeden długi włos i przyjrzała mu się uważnie. Ona w tym wieku miała zdecydowanie jaśniejsze włosy. Długie za ramiona miękkie loki małej Krystyny napawały jej matkę dumą. „Krystyna ma takie piękne włosy” - mawiała kobieta do sąsiadki, a dziewczynka słuchała tej pochwały jak najpiękniejszej muzyki i tylko to utkwilo w jej pamięci. Włosy Kamilki były zbyt ciemne, słabe, o brudnym kolorze. Krystyna długo wpatrywała się we włos córki. Mocno zacisnęła na nim palce, jakby się bała, że go zgubi. Następnie wyszła z łazienki i jak w transie przeszła obok męża, palmy w doniczkach i śpiącego na podłodze psa. Pokój tonał w porannym świetle; wchłonał całą jasność czerwcowego dnia. W porównaniu z nim pracownia wydawała się ponura i smutna: sztalugi przykryte były prześcieradłem, a zapomniane kwiaty dawno zwiędły. Wbrew logice Krystyna dokładnie wyczuwała cienki włos zwinięty w jej zamkniętej dłoni, jego kruchą strukturę. Włożyła go do koperty. Byłby to ostateczny krok, bez możliwości odwrotu, bez szansy na złudzenia i nadzieję. Nadzieja, że Kamilka nie jest rodzonym dzieckiem Krystyny, łagodziła nieco

wstyd kobiety, ale jednocześnie powodowała tęsknotę za prawdziwą córką i lęk o nią. Malarka jeszcze przez moment trzymała kopertę w ręku i rozważała wszystkie za i przeciw. W końcu schowała ją do szuflady. Odsunęła od siebie na czas nieokreślony wyjaśnienie największej tajemnicy, bo nie wiedziała, czy prawda ją uszczęśliwi. Kiedy będzie pewna, zmusi Marka, aby oddał dziecko do adopcji.

Krystyna weszła rano do pokoju Kamilki - jak zawsze ostrożnie, żeby móc przyjrzeć się córce kiedy śpi, krytycznie ocenić nieszlachetność rysów twarzy i mocno zaróżowione policzki. Cała ta lustracja możliwa była tylko rano przed przebudzeniem dziewczynki, kiedy jasne światło padało przez okno prosto na łóżko. Kobieta mogła wtedy dokładnie zapoznać się z geografią jej buzi, poszukać pozytywnych zmian, których oczekiwała codziennie z niesłabnącą nadzieją. Uchyliła drzwi i zobaczyła, że córka już nie śpi, więc nie mogło być mowy o oględzinach. Kamilka przywitała matkę promiennym uśmiechem i wyciągnęła do niej rączki. Krystyna podeszła do dziecka i objęła je delikatnie, beznamiętnie, ledwie go dotykając. Przez chwilę miała wrażenie, że jest zwyczajną matką, która z radością wita się z córką o poranku. Poczowała nawet coś w rodzaju wzruszenia i odruchowo pogłaskała dziewczynkę po głowie. Kamilka popatrzyła na nią ciepło, a jej twarz rozszerzyła się jeszcze bardziej pod wpływem uśmiechu, który rozciągnął i rozpląszczył niezgrabny nosek. Matka pochyliła się i pocałowała małą w policzek i ten pocałunek wcale nie

był nieprzyjemny. Zdziwiła się. Czyżby wreszcie obudzili się w niej tak upragnione uczucia do dziecka? Krystyna chciała kochać córkę, tak jak inne matki kochają swoje dzieci, ale czy to było jej dziecko? Codziennie rano sprawdzała, czy zmienił się jej stosunek do Kamilki, tak jakby w nocy ktoś mógł zdjąć z niej zły czar. Nie potrafiła jednak wyobrazić sobie takiej sytuacji. Po raz setny brała do ręki włos córeczki, patrzyła na niego uważnie, a potem znowu chowała go do szuflady - jeszcze nie czas. Nie wiedziała, jak długo koperta z włosem pozostanie na swoim miejscu, jak długo genetyczne powiązania będą stanowiły nieodkrytą tajemnicę.

Od sąsiadki z naprzeciwka usłyszała o strasznym przypadku porwania dziecka, które nigdy nie wróciło ze szkoły do domu. Krystyna oswajała taką myśl. Po kryjomu wcielała się w rolę matki, której córka zaginęła. Nie było w tym nic dziwnego; zwykły eksperyment myślowy, niewinny, bez głębi i podtekstów. Jednak w ośrodku mózgowym odpowiedzialnym za emocje szalało morze szarych komórek, napięcie rosło, napinało mięśnie aż do bólu. „Jak wyglądałoby moje życie, gdyby Kamilkę porwano?” - pytanie to zawisło pośrodku pustego atelier, zmieniło je w przytłaczającą przestrzeń wypełnioną złymi emocjami. Znowu strach przed Bogiem, bo tym razem to już zbrodnia. Porwanie to dla dziecka stres i cierpienie, więc zupełnie nie pasuje do planu Krystyny. Czy naprawdę chciała, żeby Kamilka zniknęła w ten sposób? Czy byłaby wtedy szczęśliwsza? Na początku nie, ale później, kiedy minęłyby pierwsze wyrzuty sumienia, kiedy rozmyłoby się wspomnienie wspólnych wieczorów i miłych chwil w ogrodzie, może wówczas Krystyna zna-

lazłaby spokój. Wtedy mogłaby zacząć wszystko od nowa. Nowe dziecko, nowa szansa. Przez chwilę wyobrażała sobie swoje życie bez córki, ale nieistnienie dziecka to nie to samo, co jego zniknięcie. Najlepiej, żeby Kamilka w ogóle nie istniała.

Wszystkie oszczędności, jakie Robert planował ofiarować siostrze w akcie zadośćuczynienia, teraz przeznaczył na wydanie książki. Ostatnia odmowa ze strony wydawnictwa sprawiła, że zmienił dotychczasowe priorytety. Bał się jedynie, że Krystyna dowie się kiedyś, jak doszło do publikacji tomiku Roberta. Pełen odrazy dla swego czynu zdecydował się na rozmowę z wydawcą, wiedząc, że odtąd przestał sam dla siebie istnieć, że stracił to, co go kiedyś cechowało - dumę. Potem tłumaczył sobie, że jest zwyczajnym klientem płacącym za usługę, taką samą jak uszycie garnituru. To porównanie wydało się mu doskonałe, bo dlaczego miałyby sam sobie szyć garnitur? Wystarczy, że wie, jak powinien wyglądać. Najważniejszy jest projekt, myśl, a ta pochodzi od Roberta. Resztą niech się zajmą rzemieślnicy. Opłata za wydanie własnych wierszy to nic innego jak drobna inwestycja, zanim wszyscy przekonają się o jego geniuszu, a na to trzeba czasu.

Jakaś wstrętna ciecz cisnęła się mu do gardła. Już czuł jej potworną kwaśność, ciężar, jakby w żołądku tkwiła ołowiana kula. Wstyd, ale nie przed ludźmi, bo ci się nie dowiedzą; najgorszy był wstyd przed samym sobą. Jednak zapłacenie za publikację tomiku to czyn może nie chlubny, lecz też nie poniżający. Tak uspokojony Robert

zasnął, ale już po kilku godzinach zerwał się dręczony przez zmorę senną. Ścieżka, piasek, wielki kamień pośrodku drogi i chłopiec pędzący na motorze z ogromną prędkością. Od tego momentu wszystko się zmieniło. Ta jedna chwila - żeby jej nie było! Mężczyzna spojrzął w lustro; odbijało jego nędzną postać, jego obnażony i porośnięty sztywnymi włosami tors. Robert podniósł rękę i z całej siły uderzył się pięścią w brzuch, aż go zatknęło na chwilę. Potem ponownie się zamachnął i jeszcze raz. Skóra na brzuchu poczerwieniła, ale poeta nie ustawał. Rozciągał i tak już sflaczałe od ciągłego siedzenia przed komputerem ciało, maltretował tkanki, miążdżył je, wbijając w nie rękę, tak jakby chciał poczuć swoją dłoń w żołądku. Wyrwać z jego wnętrza to, co zatrzymał, bo przecież należało do niego. Musiał się ukarać, na nic innego nie zasługiwał.

Emilia oddychała ciężko. Chłoneła słowa Krystyny - na początku z radością, potem z rosnącym niepokojem. Wiedziała, co usłyszy, i chciała bronić swego niewtajemniczenia, sprowadzając rozmowę na inne tory. Jednak Krystyna z uporem powracała do tematu, tak jakby nie mogła poczekać, aż się spotkają. Co za nieprzyzwoita nachalność, niedyskrecja, jak można przez telefon! Emilia czuła jedynie dławiącą złość. Nawet teraz po latach przyjaciółka nie da jej spokoju. Są takie natury, które nieustannie drażą, do końca życia, dopóki nie wywleką z człowieka całej prawdy. Krystyna wiedziała, że to niezbyt odpowiedni moment na zwierzenia, nie przez telefon. Inaczej wypadłaby ta sama rozmowa w ciepłe jej rąk

obejmujących Emilię. Teraz zamiast rąk tylko milcząca zimna słuchawka aparatu, przenosiła ich ciężkie oddechy. Emilia nie potrafiła skomentować tej wiadomości. Zaskoczyła ją jej bezpośrednia forma, brutalność. Jako młoda dziewczyna czuła ciężar dotyczącej ich tajemnicy, ale nie znała szczegółów, a to właśnie szczegóły czasami modelują historię tak, że staje się nieznośna, nie do przyjęcia. Emilii wystarczyłoby jedno krótkie zdanie na potwierdzenie jej domysłów. Nie chciała wiedzieć, jak było naprawdę, zresztą po latach nie miało to żadnego znaczenia. Obawiała się też, że Krystyna wie również o drugiej mrocznej sprawie, tej strasznej, dopiero później zrozumianej przez Emilię. A może przyjaciółka chciała tylko ponownie ją do siebie przywiązać, tym razem więzami krwi? Zawładnąć Emilią tak jak kiedyś w dzieciństwie, uzależnić od siebie? Emilia była ostrożna, bała się, że znowu ją pokocha.

Kamilka zapadła w głęboki sen, coś pomiędzy życiem i śmiercią. Krystyna nigdy wcześniej nie zastanawiała się nad taką ewentualnością. Studnia - głupi dół, nawet niegłęboki - rozwiązała problem, zadecydowała o losie jej dziecka. Córka istniała, ale jednocześnie zniknęła z życia kobiety, cicho, wyjąwszy ostami krzyk. Powinno to Krystynę zadowolić, bo wreszcie mogła cieszyć się swobodą. Dni miała teraz tylko dla siebie, i to bez wyrzutów sumienia. Skończyły się uciążliwe ćwiczenia, opluwanie piszczałek i lusterek, uleciały przykre tony fałszywej głoski. A jednak Krystyna nie potrafiła w pełni odczuwać spokoju, a tym bardziej szczęścia. Czasami

była nawet zła na siebie za tę niekonsekwencję, bo przecież marzyła o takiej sytuacji. Kamilka nie umarła, nie cierpiała, nikt jej nie uprowadził i nie maltretował, a jednocześnie nie stanowiła więcej problemu dla matki. Kobieta mogła zacząć wszystko od nowa, już bez obciążeń. Mogła przestać cierpieć z powodu nieudanej córki. Teraz wszystkie niepowodzenia wolno było przypisać złemu losowi. Wypadek, choroba - trudno, trzeba to zaakceptować, łatwiej o tym rozmawiać. Jej materiał genetyczny pozostał nieskazitelny, nie musiała się więcej wstydić. Nikt nie będzie mógł jej zarzucić, że urodziła upośledzone dziecko. Wszystkiemu winne to nieszczęśliwe wydarzenie! Świetne rozwiązanie - Krystyna mogła odejść. Robert przyjął smutną wiadomość z lekkim płaczącym skrzywieniem warg, ale tak naprawdę nie poruszył go los pulchnej dziewczynki z wadą wymowy. A co go to obchodzi?! Czy nie dość ma własnych kłopotów? Przecież kochanka sama wyznaczyła granicę ich związku, więc niech jej nie przekracza. Uczucia Marka zastygły od tamtej chwili, kiedy Kamilka zasnęła głębokim, studziennym snem. Mąż żył jak w transie: chodził do pracy i jak dawniej kupował w narożnym sklepiku świeże bułki, ale ich nie jadł. Cichy i milczący stawał przed oknem, zapatrzony gdzieś w betonowe podwórko. Teściowa chlipała po kątach, wypełniając pusty pokój Kamilki płaczem i wzdychaniem. Krystynę denerwowało to wieczne biadolenie, wycieranie nosa rękawem bluzki, kiedy matka Marka po raz setny ustawiała zabawki wnuczki. Porządkowanie pokoju dziecka stało się codziennym rytuałem, którym teściowa pragnęła przywołać Kamilkę z powrotem. Krystyna łudziła się, że rodzina

w końcu zapomni. Liczyła na niedoskonałość ich pamięci.

Nareszcie zrobiło się miejsce na nowe wyzwanie, niezwykła sposobność, żeby radykalnie wszystko zmienić. Takie sytuacje trzeba wykorzystywać, bo mogą się nie powtórzyć - nikt nie wpada do studni dwa razy. W głowie Krystyny natrętnie pojawiała się myśl o drugim dziecku, ale już lepszym, wypieszczonym jeszcze zanim się urodzi, doskonałym, bo przecież pech nie może jej ciągle ścigać. Nowe dziecko jak nowy samochód? - Marek uznał rozmowę na ten temat za świętokradztwo i dla pewności opuścił wspólną sypialnię rzekomo dlatego, żeby nie przeszkadzać żonie swoją bezsennością. Spoglądał na Krystynę zbolałym wzrokiem i nie potrafił zrozumieć, że coś tak potwornego jak zastąpienie jednego dziecka drugim mogło jej przyjść do głowy. Jednak prawdę mówiąc, wiele osób tak robi. Szybko płodzą następnego potomka, żeby zagłuszyć rozpacz po tym utraconym. Drugie dziecko działa jak terapia i nie wie, że już zawsze będzie rywalizować z wyidealizowanym obrazem zmarłego brata czy siostry. I nawet jeśli okaże się lepsze, to będzie gorsze. Krystyna patrzyła na blat kuchennego stołu przykrytego ceratą w grzybki, nienaruszalną, bo to prezent od teściowej. Grzybki denerwowały, kusiły, żeby je trochę pociachać nożem, to szybciej będzie można ceratę wyrzucić. Wszystko przemija, jedna myśl przegania poprzednią, nowe istnienie wypiera stare. Czas się nawarstwia, pokrywa stare wspomnienia. Do Marka nie przemawiały żadne filozoficzne argumenty.

Nigdy się nie pogodzi z utratą dziecka. Dla niego Kamilka żyła i była całkiem realna. Mężczyzna czekał po prostu, aż córka się obudzi i wszystko będzie jak dawniej. Nigdy o niej nie zapomni; będzie odświeżał myśl o Kamilce dopóty dopóki dziewczynka będzie cieleśnie obecna na ziemi, a nie pod ziemią.

Krystyna wcale nie chciała, żeby było jak przedtem. Obawiała się tych samych myśli, tych samych sytuacji, tego, że wszystko wróci do punktu wyjścia. Co z opieką boską? Czy tak miało wyglądać spełnienie jej prośb? Ale jak tu się obruszać na Boga? Co miał oznaczać ten wypadek? Przecież musiał mieć jakieś znaczenie, bo w boskim planie wszystko ma sens i cel, choć nie zawsze rozumiemy jaki. Może Bóg sobie wymyślił, że teraz kiedy Kamilka leży w śpiączce i nie wiadomo, czy się w ogóle obudzi, Krystyna nagle ją pokocha, doświadczy matczynych uczuć! Kobieta najchętniej wydełaby pogardliwie wargi, ale w stosunku do Boga jakoś nie wypada. Jedno jest pewne - była rozczarowana, bo wypadek córki nie do końca ją uszczęśliwił. Miała się zachłysnąć wolnością, taki był plan. Dni wolne od lęku, zwyczajne, nieskrępowane żadną złą myślą, lekkie, jakie istnieją tylko w wyobrażeniach. Jednak Marka i teściowej nie mogła zmusić do radości, a cieszyć się samemu to jakby połowa szczęścia.

Krystyna spotkała się z Robertem bardziej z potrzeby udowodnienia sobie własnej atrakcyjności niż z racji zaangażowania uczuciowego. Właściwie już jej się nie podobał, ale wcześniej też jej nie oszałamiał wdziękiem ani

intelektem. Potrzebowała kogoś, kogo mogła zauroczyć, zniewolić swoją charyzmą, a kochanek celował w tej roli, przynajmniej na początku. Z czasem coraz mniej wielbił, chciał za to, żeby jego wielbiono, aż w końcu z pochlebcy stał się poławiaczem pochlebstw. Kobiety jednak od tysięcy lat ciągle wpadają w te same pułapki, bo każdy jest łasy na pochwały, na dowody oczarowania ze strony płci przeciwnej. Kiedy feromony przestają tak mocno oddziaływać, pojawiają się komplementy, które z powodzeniem spełniają swoją misję. Po wypadku Kamilki Krystyna szukała zrozumienia u Roberta. Był jedynym człowiekiem, który nie robił jej wyrzutów. Wzrok teściowej sugerował, że matka nie dopilnowała, oczy Marka pytały, czy nie można było zapobiec. Kolombina lekko przekrzywiła głowę, z trudem wspinając się po schodach. Nie patrzyła na Krystynę i nie zaczepiała jej. Beata mruknęła, jak to trzeba nad dzieckiem czuwać i jak ona sama wciąż kontroluje swoją pociechę. Po co ta uwaga? Czy to znaczy, że Krystyna nie uważała? Najgorsze są nieme wyrzuty, bo nie można się przed nimi bronić ani na nie odpowiedzieć.

Robert nalał kochance wina i zrobił nierozważny ruch ręką, który Krystyna odebrała jako chęć objęcia jej lub przytulenia. Odsunęła się nazbyt gwałtownie, nie uświadamiając sobie tego, że przecież może go urazić. Mężczyzna nie zareagował. Dziecinne zachowanie kobiety pominął milczeniem i nieznacznym wydęciem i tak już zbyt pełnych warg. Zwróciła na nie uwagę, że za grube, niemęskie, przynajmniej z punktu widzenia malarzki. Po co właściwie przyszła? Robert nie miał ochoty na zabawę w uwodzenie, a Krystyna najwyraźniej tego

oczekiwała: długich wstępów, zalotnych spojrzeń i ciepłych słów, którymi powinien powoli rozpalać jej zmysły. Tylko po co, kiedy można inaczej? Odstawił kieliszek. Nie spodziewał się po kochance takich ceregieli. Sądził, że Krystyna wie, co robi, więc skoro do niego przyszła, to w wiadomym celu. Cały ten romantyzm uważał za zbędny i kłopotliwy, zwłaszcza po tylu miesiącach romansu. Uznawał to za stratę drogiego czasu. Myślał, że jako artyści rozumieją się bez słów, bo łączy ich ta sama pasja tworzenia, pasja chwytania życia w każdej chwili, wszystkimi zmysłami. Jednak teraz po wypadku córki kobieta nabrała dziwnego dystansu, jakby byli jedynie przyjaciółmi, a nie kochankami. Znowu wymagała od niego tych samych uwodzicielskich zabiegów jak na początku ich związku. Znowu tylko przytulanki, krygowanie się, schlebianie jej, a na to Robert nie miał już ochoty. Nie można tego samego romansu przeżywać na nowo, z tą samą ekstatyczną aurą, tym samym zachwytem i uniesieniem. Z Beatą mężczyzna miał zdecydowanie łatwiejszy kontakt: niewymuszony, bez sztucznych moralnych zapór hamujących spontaniczność i radość. Jednak pięknej Beacie - kobiecie z krwi i kości, uosobieniu wdzięku i bezpretensjonalności - brakowało treści, artystycznego wnętrza, dlatego nie mógł jej pokochać, bo nie można pokochać samej obudowy.

Krystyna pławiła się w rozkosznych nicnierobieniu. Nie musiała rano wstawać, żeby wyprawić Kamilkę do przedszkola, ani sprzątać w jej pokoju. Nie trzeba było prać i prasować spódniczek i koszulek z nadrukami, które

dziewczynka tak chętnie nosiła. Cisza w pokoju córki przyciągała Krystynę i kobieta wchodziła do niego wielokrotnie w ciągu dnia, jakby chciała się przekonać, czy Kamilka rzeczywiście zniknęła. Czasem wydawało jej się, że słyszy nieudolnie powtarzane dziecięce piosenki, tańczące głoski, pomruki przed zaśnięciem. W pokoiku czuła ciepło dziewczynki, miękkość jej kształtów, uśmiech zawieszony w powietrzu. Popatrzyła na zdjęcie Kamilki i stojącą obok niego jej własną fotografię. Porównała. Ani odrobiny podobieństwa, tylko ramy takie same. Nieudacznica. Czy może kochałaby córkę, gdyby sama nie była tak ładna i zdolna? Przecież każdy chce, żeby jego dziecko było udoskonaloną kopią jego samego, a nie kiepską podróbką. Nieudacznica. To prawda, ale tylko Krystynie wolno było tak mówić o córce. Słowa innych tak samo myślących o Kamilce bolały.

Beata pewnie już dawno zapomniała o jednej z ich rozmów, bo dla niej była to tylko banalna i nic nie znacząca wymiana zdań. Koleżanka powiedziała wówczas za dużo o jedno małe słowo, które jednak nie umknęło przeczulonej matce. Beata opowiadała o innej kobiecie i o innym dziecku, ale krótkie i wymykające się uwadze „też” natychmiast przeszło Krystynę jak piorun, aż się otrząsnęła. Nie wiadomo nawet, czy Beata zdawała sobie sprawę z popełnionego nietaktu. Przecież wszyscy widzą, że Kamilka jest trochę opóźniona, więc porównanie było zupełnie na miejscu. Nie robiłaby z tego takich ceregieli. Krystyna nie była pewna, czy zabolało ją to z powodu miłości czy wstydu, że tak ładna kobieta może mieć takie nieudane dziecko? Raczej czuła wstyd, a może jednak odrobinę miłości do córki? Od czasu niefortunnej wypo-

wiedzi Beaty Krystyna konsekwentnie nie chciała uwolnić Roberta od siebie. Czysta złośliwość. Beata musiała zapłacić za słowo, które nieopatrznie jej się wymknęło, musiała cierpieć tak jak przyjaciółka. Obie więc czuły się zranione: jedna z powodu miłości do Roberta, druga z powodu miłości własnej. Krystyna na powrót stała się wobec Beaty dokuczliwa. No cóż, człowiek jest ułomny i nikt nie może wymagać od niego doskonałości, dlatego malarka pozwalała sobie czasem na mniejsze grzeszki.

Każdy nowy dzień był jak obietnica, nadzieja na spełnienie marzeń, a przynajmniej przybliżenie się do nich, muśnięcie ich delikatnych skrzydeł. Krystyna stała przed zagruntowanym płótnem, palcem badając jego lnianą powierzchnię. Czuła, że obraz, który powstanie w ciągu kilku kolejnych dni, będzie inny, chyba najlepszy ze wszystkich, jakie do tej pory wyszły spod jej pędzla. Wolna od kłopotów malarka mogła tworzyć, nie słysząc w tle seplenienia ani dzikich okrzyków córki. Sytuacja wyjątkowa, więc obraz też. Cisza uspokajała kobietę, nareszcie mogła się w pełni skoncentrować. Jaki motyw? Raczej nie pejzaż, już wystarczy tej zdeformowanej natury, chociaż jeszcze niedawno chciała utrwalić starą lipę pochyloną nad tą nieszczęsną studnią w ogrodzie. Ale Marek by jej nie darował tej studni!

Za oknem szarzało. Błede promienie słoneczne pełzały po pustych ulicach, roznosząc cienie jak u Giorgia de Chirico. Może coś w tym stylu? Jakaś metafizykę? Nie, bez chamskiego ściągania! Malarka wpatrywała się w białe płótno, jakby chciała dojrzeć w nim kształty i ko-

lory. Może kwiaty lub pachnące i soczyste owoce, które kusiły szaleństwem barw i możliwości plastycznych? Nie lubiła motywów vanitas, a szczególnie martwej natury, gdzie dojrzałość i piękno sąsiadują z przejrzałością na krawędzi obumierania. Faj! Krystyna nie będzie utrwałać rozkładu, o nim najlepiej zapomnieć. Tematy ziały nudą, grzeszyły typowością. Chwyciła szkicownik i wprawnymi ruchami stworzyła zarys mysiego ciała z rozłożonymi ogromnymi skrzydłami i ludzką twarzą, brzydką i skrzywioną, ale nie z powodu nieudolności artystki.

„Nietoperz - pomyślała - ale jakiś dziwny, straszny nocny, zmora senna, która uleciała z płótna Goi”. Właśnie to chciała namalować: coś dziwnego, obcego, nowego, niepokojącego jak dręczący sen. Nietoperz patrzył ludzkimi oczami. W czarnych źrenicach Krystyna umieściła białe punkciki, które imitowały odbite światło. Mysie ciało nabierało coraz bardziej kobiecych kształtów i w końcu - ku zdziwieniu malarki i wbrew jej oczekiwaniu - powstała nieodgadniona postać z rozłożonymi skrzydłami. Erynia, wyrzut sumienia, złościwość losu zawisła w przestrzeni obrazu, na niezwykle niebieskim tle, jakby urągającym demonom nocy. Skąd się przyplątało to paskudztwo?

Dzień był dżdżysty i zimny, schowany w szarej mgle. Wiatr przeganiał z ulic zziębniętych i przemoczonych przechodniów. Krystyna była jedyną osobą maszerującą przez osiedle. Nie przeżywała podniecenia ani rozkosznej niepewności, właściwie nic nie czuła, tak jakby zamierzała odwiedzić sąsiadkę z drugiego piętra, a przecież

szła do Roberta. Czy tego doświadcza kobieta idąca do kochanka? Krystyna dziwiła się temu brakowi emocji, jaki towarzyszył ich coraz rzadszym spotkaniom, nieco wymuszonym przez Roberta. Często już od samego początku schadzki żałowała straconego czasu opakowanego w nudę. Jedyne, co wynosiła z tych spotkań, to przekonanie o własnej atrakcyjności seksualnej. Widziała w oczach Roberta isierki podziwu, którego daremnie szukała w spojrzeniu męża. Marek patrzył na nią jak na każdą inną istotę żyjącą - z szacunkiem i akceptacją. Wycofał oskarżenie przeciwko żonie o braku miłości wobec córki, co trochę poprawiło ich wzajemne bytowanie. Próbowali wieść normalne małżeńskie życie, jakby nic się nie stało, ale funkcjonowali raczej obok siebie, niż razem. Marek nawet nie zauważył, że Krystyna znika gdzieś na długie godziny, że przychodzi do domu z wypiekami na twarzy i zupełnie rozkojarzona. Darzył ją zaufaniem dziecka niewiedzącego jeszcze o nikczemności świata. Patrzył na żonę łagodnym wzrokiem spaniela i pozytywnie interpretował jej nieobecność. Czasami Krystyna chciała powiedzieć mu prawdę, ale nie wiedziała, jakie imię nadać temu wyznaniu. Miłość do Roberta, nuda dnia codziennego, siła przyciągania nowości? Wcześniej coś skłaniało ją do wymykania się z pracowni, coś rozdmuchiwało w jej ciele falę gorąca. Teraz kobieta nie potrafiłaby odpowiedzieć na pytanie, co ją trzyma przy kochanku. Może nadzieja na powrót zawirowań aury? Labirynt emocji. Pogubiła się w nim, bo doszło jeszcze nowe nienazwane uczucie do Kamilki. Coś pomiędzy sentymentem i ciepłym wspomnieniem z perspektywy czasu, kiedy wszystko wydaje się inne. Perspektywa to

sedno wszystkiego - od niej zależy odbiór dzieła, jego interpretacja, pierwsze wrażenie, które zostaje na zawsze zapisane w pamięci oglądającego. Krystyna przeraziła się, że dotąd widziała Kamilkę jak dzieło sztuki - stąd jej krytyczne nastawienie do oglądanego obiektu, spojrzenie znawcy. Teraz nagle zyskała świadomość, że przez minione sześć lat szukała w córce tylko piękna, nieskazitelnej posagowej urody, idealnych proporcji i umiaru. Nie było to spojrzenie matki, lecz malarki, rzeczowej znawczynie przedmiotu, surowej w ocenie, dlatego Kamilka nie miała żadnych szans, żeby spodobać się Krystynie. Teraz kiedy dziewczynka leżała w szpitalnym łóżku, jej twarz nadal nie podobała się matce. Kobieta wciąż nie odczuwała matczynej miłości, najwyżej akceptację rzeczy ułomnych. Ale od tego się zaczyna - od akceptacji.

Robert często spotykał się z Beatą. Jego uczucia do niej oscyływały między przyjaźnią i czymś więcej. Wszechobecność Beaty była dla mężczyzny niebezpieczna, gdyż kobieta w każdej chwili mogła odkryć jego trzymany dotąd w tajemnicy romans z Krystyną. Beata stanowiła wcielenie dyskrecji i nigdy nie zapytała, kim jest nieznajoma, z którą Robert się spotyka, i dlaczego nikomu jej nie przedstawi. Poeta czasem się zastanawiał, czy by się nie przyznać, z kim romansuje, tylko po co? Beata pewnie znieawidzi go za to i odbierze Robertowi przyjaźń, na której mu zależało. Porywcza, płomienna miłość do Krystyny zaczęła szarżeć, od kiedy malarka lekceważąco wyraziła się o jego poezji. Nie powinna była

tego robić. Wyczuł nawet lekką nutę ironii, a przede wszystkim niedowierzania, kiedy dopytywała się o wydawcę Roberta. Z czasem pogubiły się słowa szczerego uznania oraz spojrzenia pełne akceptacji i podziwu, którymi Krystyna raczyła go nie tylko w chwilach czułości. Pomiędzy kochankami zapanował chłód. Kobieta okazywała pozorne zaciekawienie tematem, jej uprzejme wypowiedzi brzmiały fałszywie, a przeźroczyście słowa nie miały ciężaru emocjonalnego. Czyżby chciała tym dziwnym zachowaniem dać Robertowi do zrozumienia, że uważa jego poezję za byle jaką? Zgroza zasznurowała mu usta. Mężczyzna patrzył jak otępiały na klasyczny profil Krystyny, na nos jak z marmuru stworzony ręką mistrza. Nos ani drgnął, jedynie górna warga przesunęła się nieco wyżej, nadając profilowi wyraz powątpiewania. Bogini pędzła, której obrazów nikt nie oglądał, odważyła się drwić z wierszy Roberta, tworców jego duszy raz roztopionej jak płynne żelazo, to znów zimnej i twardej jak stal. Poeta jeszcze się nie znudził kochanką, ale czekał na ten moment - wtedy jej za wszystko odpłaci. Tymczasem musiał wymyślić sposób, żeby zaimponować Krystynie, przywrócić podziw w jej oczach, które nie błyszczały tak mocno, gdy czytał jej swoje wiersze. To przez nią narodził się pomysł kupna łask wydawcy, zapłacenia za względy i za zainteresowanie, pomysł wkroczenia na drogę ułudy i pozorów. Robert nie mógł dłużej czekać, bo blask uznania w oczach Krystyny niknął z każdym spotkaniem. Znalazł więc wydawnictwo i uregulował koszt publikacji. Ale zamiast odetchnąć, zaczął wątpić we wcześniej podjętą decyzję i popadał w odrętwienie. Nawet Beata nie znała jego tajemnicy,

tylko że dla niej nie musiałyby nikogo okłamywać. Beacie imponował zawsze niezależnie od pogody, stanu konta i odniesionych sukcesów. Walczyć musiał o Krystynę i o uznanie siostry. Ta druga powinna wreszcie ujrzeć w nim wielkiego twórcę, nie tylko tchórza; człowieka sukcesu, nie skromnego księgowego z nosem zatopionym w księgach rachunkowych. Obok takiej sławy, jaką sobie wróżył, jego siostra nie będzie mogła przejść obojętnie.

Wbrew sobie i swoim postanowieniem każdego ranka niezależnie od pogody Krystyna zmierzała w stronę kliniki. Kilkakrotnie przystawała, potem znowu robiła parę kroków. Wpatrywała się w latarnie, drzewa, ławkę, na której siedziała młoda dziewczyna z wyciągniętymi do słońca chudymi nogami. Krystyna nie znajdowała żadnego wytłumaczenia dla tej długiej i uciążliwej codziennej wędrówki pieszo przez pół miasta. Wyglądało to tak, jakby zamierzała dać sobie czas na zastanowienie. Nie zmuszała się, nie narzucała sobie niedorzecznych obowiązków, po prostu chciała tam pójść i bez słowa siedzieć przy łóżku córki. Tylko po co? Patrzyła chciwie na bladą twarz dziecka, szukając oznak powrotu do życia. Początkowo nawet nie wiedziała, czy chce przebudzenia Kamilki - oznaczałoby ono ponowne nastanie znienawidzonej rzeczywistości sprzed wypadku. Może lepiej niech dziewczynka śni dalej swój sen, niech szczęśliwa nadal tonie w zamrożonym czasie. Bywało, że Krystyna siedziała w szpitalu tylko kilka minut i odchodziła pośpiesznie, jakby o coś zapomniała. Innym razem

trwała sztywno na krześle jak posąg bez czucia, niezdolna do opuszczenia tego miejsca. Jej oczy pasły się widokiem uśpionej Kamilki. Kobieta chłonęła oddech córki. Może to bezbronność dziecka wpłynęła na rozbudzenie w matce zupełnie nowych uczuć? Krystyna dotąd nie lubiła wszędobylskich rączek Kamilki. Teraz, kiedy córka leżała spokojnie i nie wyciągała dłoni do matki, malarka nie musiała się bronić, uciekać przed natrętnymi uściskami. Mogła spokojnie położyć swą dłoń obok małej rączki i wystające guzki nie wzbudzały w niej odrazy, były nieruchome, nie mogły jej zaskoczyć, kiedy czytała gazetę lub oglądała film.

Krystyna zawsze miała wrażenie, że jest do czegoś przymuszana, i to przerażało ją najbardziej. Był to strach przed koniecznością kochania córki - bo matka musi kochać swoje dziecko. Tak jest od zarania ludzkości, tak robią miliony rodziców. Matczyna miłość została usankcjonowana, a jej brak jest nieakceptowany. Jako matka, rodząc dziecko, kobieta jest niejako zobligowana do kochania tego wrzeszczącego maleństwa kierującego się odruchami i instynktem, zachwyków nad kupkami, sa-dełkiem i nóżkami jak świeże zawijane rogaliki. Słodycz i bezbronność niemowlaka i ten mleczny zapach powinny każdą kobietę zachwycić i rozczulić.

Brak przymusu wpłynął pozytywnie na uczucia Krystyny do dziecka. Matka coraz chętniej kładła dłoń na nieruchomej twarzy córki, obojętnej i nie z tego świata. To zaborczość Kamilki skłaniała Krystynę do ucieczki na oślep i do obrony własnej niezależności. Wieczorami kobieta stawała przed szafą w pokoju dziewczynki i z namaszczeniem otwierała podwójne drzwi. Dziecięce

ubranka wiszące na wieszakach pozbawione jej ciała przybierały upiorne kształty - straszyla bez duszy, które Krystyna oglądała z dziwnym uczuciem niepokoju. Porządne drogie sukienki, bez dziecięcej figlarności wystawionej na pokaz w postaci zakładek, kokardek i falbanek, surowe pomocnice w ukrywaniu niedoskonałości ciała Kamilki, by zbyt nie odróżniała, by nie przyciągała uwagi. Kobieta dbała o to, żeby ta dziecięca garderoba w żaden sposób nie prowokowała innych do zaczepek, nie była przyczyną żartów i pretekstem do wyśmiewania. Strój musiał być nienaganny. Teraz te ciche posłusznie wiszące ciuszki przerażały Krystynę. Widziała w nich własne wysiłki, żeby ukryć brak miłości do córki. Były świadectwem wstydu i cierpienia z powodu „wadliwego” dziecka. Jednym zamaszystym ruchem zerwała je z wieszaka i rzuciła na łóżko. Wszystko oddać biednym. Gdyby Kamilka obudziła się ze śpiączki, gdyby... wybierałaby dla niej inne sukienki.

Krystyna wymknęła się z pracowni pod pretekstem kupienia nowej farby. Złościło ją, że Marek wierzył we wszystko i zdradzanie go nie dostarczało dodatkowego zastrzyku adrenaliny, tego podniecenia i napięcia, jakie powinna nieść ze sobą ryzykowna gra. Niewierność tylko wtedy ma sens, jeżeli wiąże się ze strachem, przyspieszonym biciem serca, niebezpieczeństwem zostania przyłapanym. A może to wcale nie była zdrada ze strony Krystyny, a jedynie romans za niemym przyzwoleniem męża? Chciała tej gry, zwodzenia, szukania wykrętów, inaczej zdrada nie miała w sobie pikanterii, ale Marek

odebrał jej całą radość z kluczenia i zacierania śladów. Krystyna miała duszę harcerki. Celowo nie poprawiała źle zapiętej bluzki, rozwieszała na krześle nową koronkowa bieliznę, ale na próżno czekała na oznaki podejrzliwości ze strony męża. Patrzył na nią tym samym beznamyślnym wzrokiem i o nic nie pytał, nie kontrolował, nawet niczego nie podejrzewał. Kobieta zdradzała coraz jawniej, prowokacyjnie, nie siląc się na wymówki, jakby badała granice, do jakich może się posunąć. Granice te zdawały się nie istnieć, bo Marek akceptował nagłe wyjścia żony do koleżanek, noce spędzone u Beaty, ciągłe zamyślenie Krystyny i podejrzane telefony późno wieczorem. Czujna jak chart teściowa wyjechała do Polski. Kiedy Marek wreszcie zrozumie? Oszukiwanie męża wolne od ciężaru podejrzeń z jego strony wzbudzało w Krystynie jeszcze większe wyrzuty sumienia. Bogu przestała tłumaczyć, dlaczego to robi. Już nie błagała o przebaczenie. Cóż, ludzka słabość, Bóg musi to zrozumieć. Marek reagował dokładnie tak samo - obojętnie, czy wracała z wystawy albo spotkania w klubie polonijnym, czy ze schadzki z kochankiem. Wtedy narodziła się w jej głowie perwersyjna myśl, żeby wprowadzić Roberta do ich domu - jako znajomego Beaty, kolegę poetę, przyjaciela rodziny. Była to próba wytyczenia ostatecznej granicy, do jakiej może się posunąć. Krystyna szybko jednak zrezygnowała z tego pomysłu, bo nie chciała mieć potem kłopotu z pozbyciem się Roberta. Marek nigdy nie sprawdzał żony, co ją gniewało. Mógłby pilnować, tropić, szpiegować, ale on wierzył, a jego wiara graniczyła z naiwnością. Wiara jest formą naiwności, nawet jeżeli nie zdajemy sobie z tego sprawy.

Ciało Roberta wydawało się Krystynie obce, jakby przedtem nie zauważyła owłosionych ramion, nieapetycznie porośniętych gęstą i szorstką szczecina. Po raz pierwszy zadała sobie pytanie, którego się obawiała, bo oznaczało koniec romansu. „Po co to robię?” Nagle ich uduchowione rozmowy o poezji wydały się jej tylko bełkotem. Wiersze - linijki nierównych myśli i pogmatwanych związków frazeologicznych wrywających się z więzów logiki. Kobieta dostrzegała dziwny niepokój Roberta, jakby mężczyzna coś ukrywał i to coś często zmieniało jego twarz w nieodgadnioną maskę. Krystyna czuła, że kochanek ma przed nią tajemnice, i była zła, że nigdy się jej nie zwierzał. Może tylko Beata wiedziała o nim wszystko? Nadal w nieuchwytny sposób wpływała na ich związek. Krystyna miała wrażenie, że Robert żałuje swego wyboru, że pewnie lepiej byłoby mu z nieskomplikowaną Beatą. A co z sekretem Krystyny, który też należał tylko do niej i Robert nie miał o nim pojęcia? Przestał ją pociągać i kochanek, i jego sztuczna egzaltacja, która na początku tak ją zauroczyła jako przeciwieństwo zwyczajności Marka.

Malarka postanowiła wycofać się z tego związku. Nie dlatego, że przestała kochać Roberta, bo chyba nigdy go nie kochała. Po prostu znudziła się nim, odkryła jego niedoskonałości. Wady mężczyzny były odpychające, przekreślały szansę na zdobycie jej serca, które dla kochanka zupełnie ostygło. Poza tym ciało Roberta nie skrywało już żadnych tajemnic, nie kusilo niezbadanymi obszarami. Świeżość, zdziwienie, niespodzianka uleciały, zos-

tał jedynie zdobyty nieciekawy ład. A dusza zdobywcy w Krystynie pragnęła nowych wyzwań. Kobieta zatapiała się w ciało Roberta, nie czując nic oprócz niesmaku. Uczucie uleciało, jakiegokolwiek było, musiała się więc śpieszyć z podjęciem decyzji o zerwaniu. Jeśli to Krystyna porzuci Roberta, nie ucierpi na tym jej samoocena. Artystka szybko wyszła z mieszkania kochanka i truchtem przebiegła poszarzałą od zmroku ulicę pełną niewytłumaczalnych cieni i załamania, takich jak na jej pierwszych obrazach, kiedy jeszcze bardzo nieumiejętnie operowała światłem. Na klatce schodowej zobaczyła jednonogiego sąsiada, który właśnie wsiadał do windy. Źle dopasowana proteza lewej nogi odcinała się na gładkiej powierzchni spodni. Ich spojrzenia spotkały się. Mężczyzna błysnął szerokim uśmiechem, ale Krystyna odpowiedziała tylko krótkim skinieniem głowy. Pomyślała, że teraz już nie zje kolacji, bo widok protezy i wyobrażenie obciętej nogi leżącej obok pacjenta na stole operacyjnym odebrały jej apetyt. Jakie były dalsze losy amputowanej kończyny? Czy wyrzucili ją na śmietnik, czy może włożyli do formaliny? Po operacji sąsiad powoli zaczął tracić uczucie swojej żony. Miłość wysączała się z jej serca dzień po dniu, aż w końcu nie została nawet jedna kropla, jedna drobina, która mogłaby zatrzymać kobietę przy mężu. Noga odcięta tuż nad kolaniem zmieniła status człowieka - mężczyzna stracił na wartości jak uszkodzone arcydzieło. Krystyna mimowolnie odwracała wzrok, żeby nie patrzeć na wystającą spod nogawki protezę. Budziła w niej równocześnie odrazę i żal. Sąsiad już nie usiłował ukryć swego klectwa. Wchodził w fazę obojętności - nie dostrzegał

ciekawskich spojrzeń, raniących coraz płycej, łagodniej, bezkrwawo.

Może kolejny dzień przyniesie zmianę? Już sam fakt, że wydarzyłoby się coś odmiennego, wydawał się Krystynie czymś pozytywnym. Znowu poczuła nudę.

Co właściwie było jej marzeniem? Wcześniej wiedziała - marzenie miało kształt nienarodzonego dziecka, uroczego jasnowłosego aniołka ze śliczną buzią. Teraz dawny kontur, rozmył się w codzienności, chyba już tego nie chciała. Z czasem Krystyna stwierdziła, że właściwie najbardziej pragnęłaby tego, co do tej pory miała bez większego wysiłku. Paradoksalna idea zaczęła kiełkować, przebijać się powoli podczas porannego picia kawy, wieczornego dreptania ze szpitala po betonowych uliczkach czy w kolejce przy kasie. W końcu całkowicie zawładnęła kobietą. Pożądać dokładnie tego, czego się bardzo nie chciało, pragnąć bardzo niechcianej Kamilki - Krystyna nie mogła pojąć zawiłości własnych uczuć, nieprzeniknionej pracy mózgu. To dlatego ludzie pukają się w czoło, kiedy ktoś zrobi coś wbrew rozsądkowi, i słusznie, bo właśnie tam, w płacie przedczołowym siedzi winowajca, który zarządza naszymi emocjami, nie zawsze dobrze. W tej sytuacji Krystyna powinna się porządnie walnąć w głowę, może nawet obuchem, bo wiadomo, że drgania mają wpływ na pracę mózgu. Może coś by się odmieniło? Początkowo odgradziła się od tych myśli murem logiki, odepchnęła je jak coś absurdalnego. Czasem jednak z niemądrych pomysłów wysnuwa się cienka nić sensowności, którą należy pochwycić i rozbu-

dować. Inne spojrzenie, świeże, nowe, nieoczekiwane, może zmienić zapatrywania i przydać im trafności. Odpychać coś po to, żeby potem wyciągać po to ręce. W życiu człowieka jest wiele takich ucieczek i wybiegania naprzeciw i nie można tego zmienić.

Kamilka już od miesiąca leżała w śpiączce i nadzieja na obudzenie się dziewczynki gasła z każdym długim jednostajnym dniem w sterylnej bieli. Matka spędzała przy szpitalnym łóżku całe godziny, nucąc piosenki i czytając córce różne opowieści fantastyczne. Aparatura medyczna syczała, bulgotała, czasem mruczała jak zadowolony z życia kocur i sztucznie utrzymywała Kamilkę przy życiu. Krystyna dziwiła się sama sobie, że przychodzi tu nie z obowiązku i że przebywanie z dzieckiem sprawia jej przyjemność. Czytając monotonnym głosem książkę, uciekała myślami do wydarzenia sprzed miesiąca. Wpatrywała się w litery, ale widziała tylko wyschniętą studnię. Ciągle się zastanawiała nad znaczeniem wypadku Kamilki. Był ostrzeżeniem, karą czy może nagrodą? Nie spodziewanym zwrotem w życiu, po którym nic już nie jest takie jak przedtem? Każda ważniejsza myśl zostaje przewartościowana, każdy kolejny ruch na szachownicy życia nabiera innego sensu. Kobieta machinalnie gładziła włosy córki. Jej myśli coraz częściej zabarwiały się nieznanym dotąd uczuciem dla tej bezbronnej dziewczynki. Ale chyba nie była to miłość, do cholery! Czy tak wygląda miłość matki do dziecka? Krystyna nie była pewna.

Po powrocie ze szpitala rzuciła się ciężko na łóżko; pościel zaboląła zimnem. Wtuliła twarz w lodowatą poduszkę, która natychmiast przyjęła gorąco płonących po-

liczków. Bóg i wielkie pytania, na które Krystyna nie uzyskała odpowiedzi. Nieuświadomiona, nieoświecona przez Boga, sama szukała rozwiązań. Rodziła się w niej pretensja do milczącego Stwórcy. Co teraz począć z chorym dzieckiem, na które nie miała już wpływu? Nie mogła z Kamilką ćwiczyć, formować jej, nauczać, pouczać - była bezsilna. Nie istniała już najmniejsza szansa, że Krystyna może coś zmienić na lepsze. Dopóki mogła kształtować córkę, wpływać na jej rozwój, nie miała takiego poczucia bezsilności jak w tej chwili. Teraz może być jeszcze gorzej, kiedy Kamilka się obudzi, więc może lepiej niech się nie budzi, bo dopiero wtedy jej świat wywróci się do góry nogami. Przecież dziecko nie cierpi, niczego mu nie brakuje. Niech tkwi dalej w tym przejściowym stanie, przynajmniej dopóki Krystyna nie ułoży sobie życia na nowo. Niestety Marek nie patrzył w przyszłość. Dla niego wszystko, co nie było związane z Kamilką, nie istniało. Twierdził, że przeszłości nie można wyłączyć czy skasować, by zacząć życie od nowa. Jego podejrzenie, że Krystyna nie kochała córki, a może Marka też, często dawało o sobie znać, chociaż mąż starannie sobie tłumaczył, że jest inaczej. Przywoływał tylko pozytywne odczucia i fakty przemawiające za tezą, że Krystyna jest wspaniałą kochającą matką. Czasami jednak chciał, żeby odeszła i nie zmuszała go do porzucenia córki. Kobieta nigdy więcej nie podjęła tematu drugiego dziecka, ale mężczyzna nie wiedział, co myśli. Nigdy nie znał myśli żony, ale wcześniej mu to nie przeszkadzało.

Robert szedł wąską ulicą w stronę parku niedaleko domu. Teren zielony nie był wprawdzie tak piękny jak Stadtpark, ale leżał blisko i dla wygodnickiego i leniwego poety była to odległość w sam raz. Mężczyzna usiadł na ławce i popatrzył na sosny. Czekał aż w myślach ułoży mu się wers, tak po prostu, bo przecież przebywał na łonie natury, więc powinien tworzyć prawie automatycznie. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy. Na skwerku obok ratlerek na trzęsących się nogach załatwił swoją potrzebę, napinając marne mięśnie tylnych łąp. Robert obserwował właściciela - świadomego obywatela Austrii, który sięgnął po wiszącą torebkę i zgarnął do niej psie odchody. Potem gówienko wylądowało w specjalnie przeznaczonym do tego celu pojemniku. Poeta patrzył z podziwem za odchodzącym grubym jegomościem, któremu na zasadzie przeciwieństwa towarzyszył ratlerek. Słońce przypiekało, a ławka była niewygodna, ale Robert nie ruszał się z miejsca. Bawił się w studium psychologiczne właścicieli piesków, bo potem przyszły inne czworonogi: rasowe i kundle, takie, które szybko załatwiały, co trzeba, i już biegły dalej, i takie, które długo szukały odpowiedniego miejsca, bo były wybredne i wymagające. To trawa za wysoka, to zbyt wysuszona, kłująca, bez trawy też niedobrze. Gówienka były różnych rozmiarów i maści, tak samo jak pieski - większe, mniejsze, kolorystycznie różnorakie. Nie wszyscy właściciele czworonogów należeli do tych uświadomionych i choć niektóre kupy były bardzo okazałe i cuchnące, nie sprząтали z trawnika produktów przemiany materii swych podopiecznych. Odwracali głowy, udawali, że niczego nie zauważyli, i szybko oddalali się z miejsca socjalnego

przestępstwa. Jeżeli zaś kupa nie wystawała spośród trawy, stali bezczelnie jeszcze chwilę przy gówieńku albo nawet zapalali papierosa. Robert obserwował te scenki początkowo znudzony, potem coraz bardziej zaintrygowany. Usiłował po wyglądzie właściciela psa odgadnąć, czy jest to porządny obywatel, czy z tych nie-sprzątających. Wkrótce Robert zapomniał o wierszach, zresztą w takiej sytuacji i tak by nic nie wymyślił. Zadzwoiła Beata. Robert nie umiał jej wytłumaczyć, czym się teraz zajmuje; napomknął coś o studiach socjopsychologicznych.

Przepastne i niegościnnie sterylne małżeńskie łóżko mogłoby pomieścić jeszcze jedną nie kochającą się parę. W puchowych poduszkach i kołdrach ginęły dwa od dawna obce sobie ciała. Dwie głowy zaprzątnięte sobie tylko znanymi myślami odcinały się ciemną plamą na tle staroświeckiej półwiekowej poszewki, której Krystyna nie miała siły wyrzucić. Ciągłe jeszcze teściowa decydowała o jej pościeli, serwetach, bieżnikach, ręcznikach i obrusach. Przepaść między Krystyną a Markiem zdawała się rosnać z każdą nieprzeprowadzoną rozmową, tak jakby łóżko rozdymało się niczym przestrzeń kosmiczna. Nie poruszali już tematu przyszłości, a mówienie o teraźniejszości też okazało się za trudne. Kobieta obserwowała śpiącego męża - początkowo z nudów, bo nie mogła zasnąć, potem z rosnącą ciekawością, jakby patrzyła na kogoś nieznanego. Na twarz śpiącego Marka wypełzła dziecięca niewinność schowana w ciągu dnia pod warstwą mniej lub bardziej udawanej męskości.

Zaróżowione policzki i lekko rozchylone usta zdziwiły Krystynę i rozśmieszyły, bo wydawało jej się, że patrzy na wielkie grube niemowlę z rzadką brodą. Zgasiła światło. Znowu nie mogła zasnąć. Co jakiś czas ogarniała ją nieokreślony strach, ale nie wiedziała - o siebie czy o Kamilkę? Może wszyscy ludzie się boją? Może Beata też się boi? Oswaja strach żartem? Nie, to niedorzeczne, bo czego Beata miałaby się bać? Warzywniak świetnie prosperował, syn ucęszczał do gimnazjum i okazał się zdolnym uczniem. Nie, Beata się nie bała, nigdy nie czuła nad sobą czarnych skrzydeł zagrożenia.

Ostry dźwięk dzwoniącego telefonu ranił uszy. Wy-rwał Krystynę z puchowego gniazda i kobieta od razu wyczuła napięcie ze strony telefonującego. Wiedziała, że ten ktoś ma dla niej ważną wiadomość, raczej radosną, jak wywnioskowała z brzęczenia aparatu. Marek poruszył się lekko, otulił się ciasniej kołdrą z pierza i spał dalej. Krystyna usłyszała w słuchawce przyśpieszony oddech i zanim zdążyła się przedstawić, do jej ucha wpłynęła radosna fala upragnionych słów, które powtórzyła sobie kilkakrotnie, tak jakby bała się zapomnieć. Zdecydowanym ruchem ręki wyszarpnęła męża z głębokiego snu. Potrząsnęła nim energicznie w nadziei, że w ten sposób szybciej dotrze do niego nowina. Marek popatrzył półprzytomnie, ale w mig pochwycił sens wypowiedzianej drżącymi ustami informacji. Krystyna próbowała prosto i klarownie przekazać mężowi wiadomość ze szpitala, ale wyrzucała z siebie jedynie bezładne zdania pozbawione gramatycznego porządku, chaotyczne i pełne nadziei. Jeszcze tylko pół godziny potrzebne na dotarcie do szpitala, pół godziny niepełnego, ostrożnego szczęścia.

Słońce wschodziło powoli, jakby niechętnie i ospale. Wynurzało się z szarości miasta, ukazując coraz wyraźniejsze kontury strzelistych biurowców i wież kościołów skrytych jeszcze w ciemnościach. Ulice błyszczały w drobnej mżawce, a drzewa i kwiaty na klombach wyrażały niewzruszoną obojętność dla reszty świata. Radość Krystyny nie ożywiła ich przybrudzonej zieleni, nie zmieniała twarzy pierwszych zaspanych przechodniów. Światu było wszystko jedno - radość czy żałoba. A człowiek chciałby, żeby przyroda współgrała z tym, co przeżywał, jak w filmach.

Szpitalna salka pachniała życiem i świeżą kawą, którą młody lekarz sączył drobnymi łyżkami, czekając na Krystynę i jej męża. Rozpromieniony podniósł się z krzesła i podbiegł do rodziców Kamilki z wyciągniętą ręką. Wzruszenie rozświetliło jego twarz emanującą czystą radością z cudzego szczęścia. To dziwne, jak można się tak cieszyć czyimś powodzeniem? Tak bezinteresownie? No bo co on z tego miał? Krystyna rzuciła niespokojne spojrzenie w stronę szpitalnego łóżka, na którym zauważyła nieznaczny ruch dziecięcej rączki. Podbiegła do córki i ostrożnie pogładziła jej dłoń, delikatnie, jakby w obawie, że zniknie, rozpułynie się. Kamilka uśmiechała się zwyczajnie zdrowym uśmiechem radosnego dziecka, które wypoczęte obudziło się z długiego snu.

Czarnoskóry chłopiec utracił żartobliwe ogniki w oczach, ale może to dlatego, że wydorósł. Nosił teraz duży tornister z Harrym Potterem i worek na kapcie

z takim samym nadrukiem. Jeszcze się uśmiechał, ale uśmiech wypadał blado, bo unosiły się tylko kąciki ust, a oczy pozostawały obojętne, nieruchome jak ciemne gwiazdy. Może ktoś szepnął mu do ucha, że jest znajda, małym kłębkim łachmanów porzuconym na afrykańskim ładzie, nawet nie wiadomo dokładnie gdzie. W końcu dotarło do niego, że mama jest biała, tak samo jak siostrzyczka, i to dało mu do myślenia. Czy przybysz nieznanego pochodzenia ma w Austrii takie same prawa co uroczy austriacki chłopiec z naprzeciwnka, mniej więcej w tym samym wieku? Może nawet się zaprzyjaźnią. Mają takie same prawa i te same obowiązki zapewnione konstytucją, wszystko nieodwołalnie i na piśmie. Ale każdy obywatel będzie się trzymał przepisów i przestrzegał nadętych pouczeń pod paragrafem? Ludzie kierują się w życiu uczuciami i oficjalnym pismem nie można niczego zmienić, a już najmniej przekonania. Krystyna zastanawiała się, jakie będą losy chłopca, jak długo jeszcze będzie żył w tym społeczeństwie bez poranionej duszy? Kiedy osiągnie punkt, który stanie się początkiem buntu? Kiedy poczuje się odrzucony? Kobieta zapytała go kiedyś, czy gra w piłkę, i ucieszyło ją, że odpowiedział twierdząco, żywo, z dumą, co mogło oznaczać, że jest dobrym piłkarzem. Może ta umiejętność okaże się dla niego błogosławieństwem. Utalentowani gracze zwykle szybko zyskują akceptację, więc chłopiec jakoś przebrnie przez okres dzieciństwa. Potem może znajdzie dziewczynę o takim samym kolorze skóry i o takich samych przekonaniach.

Robert żył jeszcze w transie i wydanie tomiku własnych wierszy wydawało mu się nierealne, ale przecież trzymał w rękach pachnącą farbą drukarską książkę. Okładka była dziełem Krystyny - wymuszonym podarunkiem, o który musiał błagać i zabiegać. Zamglone maki, rozlana czerwień jej ust w okręgu, który był pomysłem Roberta, bo jako najbardziej idealna figura geometryczna, najlepiej wyrażał pełnię jego poezji. Mężczyzna mógł wreszcie podsunąć komuś pod nos dzieło swego życia, zrodzone w bólu i strachu, opublikowane za ostatnie pieniądze poety. Pieniądze, które należały się jego siostrze i których się wstydził. Tylko komu miał pokazywać to dzieło życia? Kogo zadziwić? Krystyna pozostała obojętna. Beata entuzjasmowała się jak zwykle, więc nie przywiązywał wagi do jej zachwyków.

Mimo że Beata była jego przyjaciółką, nie zamierzał wyjawiać jej swojej tajemnicy, tak głęboko tkwił w nim wstyd z powodu opłacenia wydawcy. Beata pewnie uznałaby to za dobry pomysł, bo przecież trzeba pomagać losowi. Łagodnym głosem wypowiedziałyby jeszcze kilka tego typu mądrości i zadowolona zabrałyby się do przygotowywania kolacji. Krystyna nigdy nie zaakceptowała takiego rozwiązania.

Pozostała jeszcze jedna, najważniejsza osoba, na której Robert pragnął zrobić wrażenie. Siostra. Podsunąć jej pod nos, podstawić pod oczy, niech widzi, co osiągnął. Nagle przepłynęła przez niego fala złości na tę upartą, zaciętą istotę, która rujnowała mu życie, przez którą musiał opuścić rodzinę, wyemigrować, samotnie spędzać święta, wpatrując się w drugi pusty talerz. Na czym polegała jego wina? Czy nie miał prawa walczyć o siebie,

o swoje zdrowie? Dlaczego miałyby się poświęcać? Altruizm jest przereklamowany, a bezinteresowność nie istnieje. Nawet jeśli dobroczyńca niczego w zamian nie żąda, jego ośrodek nagradzania w mózgu uwalnia dopaminę i już robi się altruście lepiej na duszy.

To nie druga osoba, ale własny mózg wynagradza człowieka za szlachetny uczynek. Robert wtulił twarz w poduszkę. Pragnął, żeby coś się wydarzyło, bo nie mógł już dłużej znieść milczenia siostry. Dużo łatwiej byłoby mu przyjąć karę, obojętnie jaką. Niechby coś wymyśliła jak w dzieciństwie, kiedy nie chciał jej słuchać. Musiał godzinami siedzieć w ciemnym kurniku, gdzie go zamykała, albo wdrapywać się na dach stodoły, gdzie pod wystającym okapem jaskółki lepiły sobie gniazda. Siostra stała na dole i komenderowała bratem. Zawsze lubiła narzucać swoją wolę. Wtedy, przed dwoma laty też nie zapytała, lecz nakazała. Uznała swoją prośbę za tak oczywistą, że nawet nie oczekiwała od Roberta odpowiedzi.

Krystyna dziwiła się, że córka leży na wspólnej sali z innymi dziećmi. Ale właściwie dlaczego miałoby ją izolować? Obok czuwały matki chorych maluchów, cierpliwie czekając na ich wyzdrowienie. Austriacy coraz częściej wykupywali prywatne ubezpieczenie zdrowotne i otrzymywali pojedyncze sale, bo tak wygodniej. Taki pacjent miał w szpitalu inny status. Teoretycznie każdemu należała się taka sama opieka medyczna, różnica miała polegać jedynie na tym, że prywatnym pacjentom przydzielano osobny pokój, w którym stał telewizor. Ale

to nie do końca była prawda. W szpitalu Krystyna czuła się gorsza, równa tym wszystkim obcokrajowcom, których dzieci leżały na sali. A przecież zawsze uważała się za kogoś lepszego. Nagle wszystko zaczęło jej przeszkadzać: dziwne obyczaje cudzoziemców, zbyt głośne zachowanie, pielgrzymki całej rodziny, od których kotłowało się przy łóżku chorego. Kobieta chciała pobyc z Kamilka sama, bez konieczności słuchania natrętnych rozmów w niezrozumiałym języku i ciągłego szurania krzesłami, bez walki o jedyny stolik, przy którym można było coś zjeść. Nieprzytomna radość Marka zastanowiła Krystynę. Nie spodziewała się po mężu tylu emocji, tak widocznej miłości do córki. Teraz zrozumiała, dlaczego się wypalił, dlaczego dla Krystyny już nic nie zostało, i przez moment czuła zazdrość, że to nie ją tak bardzo kocha. Ale za co miałby kochać żonę? Kobieta próbowała zdobyć się na obiektywność.

Marka czekała długa noc przy łóżku Kamilki, gdyż nie chciał już opuścić córeczki. Przysunął się z krzesłem do jej łóżka i odwrócił się do żony szerokimi plecami opiętymi jasną koszulą. Krystyna mogła wyjść niezauważona. Nie była ważna ani dla męża, ani dla dziecka. Nadciągająca noc powoli obejmowała salę, ale nikt nie pomyślał o zapaleniu światła. Wszyscy siedzieli w mroku i w skupieniu, jakby na coś czekając. Krystyna czuła się niepotrzebna, wykluczona i nie mogła sobie poradzić z uczuciem wyobcowania. Tych dwoje wyeliminowało ją ze wspólnego życia. Zrezygnowana opuściła pokój. Nikt się nie obejrzał, a przecież drzwi zaskrzypiały żałośnie. Dookoła kłująca w oczy sterylna biel, nieprzyjemna, zastraszająca; tylko na drzwiach izolatek szczyrzyły się

krasnale i prosiaczki. Nagle Krystyna usłyszała dość głośne krzyki i hałas właściwy raczej karczmie, a nie porządnemu szpitalowi. Z niechęcią zawróciła. Zarośnięty po uszy Turek stał pośrodku sali w bojowej pozie i wymachiwał pięścią. Marek skoczył w stronę przysadzistego mężczyzny, butnego i agresywnego. Gotów był się zamachnąć i rąbnąć go na odlew, gdyby nie Krystyna i jej dar perswazji oraz dwie pielęgniarki o krótkich nogach, przypominające kuropatwy. Obcokrajowiec nie ustępował. Podskakiwał jeszcze, ale na szczęście tylko w miejscu, jakby udeptywał kapustę. Kobięcina w chustce pochlipywała, ale nie odważyła się włączyć do kłótni. Teraz dopiero zaczęły Krystynę denerwować te posłuszne bezwolne kobiety, dla których mąż to pierwszy po Bogu. Powód całego zamieszania nie był całkiem jasny i trzeba było powtórzyć Krystynie dwa razy, zanim zrozumiała, o co chodzi. Trudno o bardziej absurdalną sytuację: Marek nie mógł zostać z Kamilką na noc, bo przy innych dzieciach siedziały tureckie kobiety, a to się nie godzi, żeby mężczyzna spędził noc w jednej sali z Turczynką. Nie wiadomo było, czy się śmiać, czy zareagować tak samo jak Marek, czyli skontrolować sprzeczkę prawym prostym. Dyrekcja kliniki przyzwyczajona była do takich żądań, bo to nie żaden precedens, i Marek musiał opuścić salę. Nikt nie ośmielił się wyrzucić Turka, żeby potem nie posądzono szpitala o rasizm. Do jakich jeszcze absurdalnych sytuacji dojdzie w przyszłości? Krystyna usiadła przy łóżku Kamilki, obojętnej na całą tę wrzawę i zamieszanie. Nie wiadomo, co w ogóle z tego rozumiała.

Kamilka mówiła zdecydowanie gorzej, z jeszcze większym mozołem niż przed wypadkiem. Niezręcznie gestykułowała prawą rączką, wykrzywiając usta z wysiłku. Krystyna patrzyła na nią spokojnie, bez śladu zdenewrowania, ale nie obojętnie, raczej z rosnącym smutkiem, że wszystko musi zacząć od nowa. Wiedziała, że teraz będzie jeszcze trudniej, chociaż w związku z chorobą szkoła podarowała Kamilce dodatkowy rok, by mogła się lepiej przygotować do rozpoczęcia nauki. Wspaniały dar - przez jeden długi rok wszystko się może wydarzyć.

Twarz dziewczynki się zmieniała. Jej rysy złagodniały, tak jakby dziecko wypoczęło po wielu trudach. Marek wierzył, że wszystko się ułoży. Powtarzał to jak refren, codziennie, od kiedy Kamilka wróciła do domu. Przed śniadaniem, przed wyjściem do pracy, przed pójściem do łóżka. Wszystko go cieszyło i widział tylko cukierkową stronę życia, wszystko na różowo, aż Krystynę mdliło. Na żonę nadal patrzył ciepło, bez podejrzeń, z psią ufnością - i za to chciałyby go ukarać, zburzyć jego poukładany świat, w którym nie było miejsca na obłudę i kłamstwo, na zdradę też nie. Chyba by nawet nie uwierzył, że Krystyna zdolna jest do takiego czynu, że może ze świadomością swojej niewierności spokojnie popijać rano kawę i dzielić się z nim rogalikami. Zazdrościła mu tego świata, który był tak odmienny od jej własnego, jakby żyli na innych planetach. Jego świat był piękny i chciała się do niego dostać, choć to właściwie jej świat był tym boskim, w którym powinna odnaleźć porządek i sens. Kobieta powoli traciła nadzieję, że Bóg

uporządkuje jej życie. Nabierała przekonania, że musi zrobić to sama. Powrót Kamilki był jak cud, więc znowu częściej myślała o Bogu, z dawną pokorą i bez pretensji. Każdy się przed Nim ugina, kiedy zobaczy Jego wielkość, kiedy On da znak. Najtrudniej wierzyć, kiedy Bóg milczy. Marek dawno zauważył zmianę w zachowaniu żony: jej ciągły pośpiech, roztargnienie i częste znikanie na długie godziny nawet teraz, kiedy córka była już w domu. Nie wiedział, czemu to przypisać, ale jak zwykle wszystko tłumaczył sobie zmienną naturą artystki i niespokojnym geniuszem jej umysłu. Ze stoicyzmem przyjmował największe nawet dziwactwa i zmiany nastroju Krystyny. Chciał wierzyć, że to tylko jej niespokojna artystyczna natura, że nie kryje się za tym nic złego, czego nie umiałyby zaakceptować.

Powoli i z ociąganiem Robert zbliżał się do szarej kamienicy na przedmieściach Wrocławia. Nocna podróż wycisnęła z niego życiodajne soki i ledwo dowlóknął się pod dom, spocony i z piętami obtartymi przez eleganckie nowe buty. Ostrożnie i cicho zapukał do drzwi pomalowanych czarną farbą, na których powieszono ozdoby ze słomy. Nikt nie odpowiadał. Mężczyzna nacisnął dzwonek. Trzymał palec na przycisku długo i pewnie, bo wiedział, że nie odstąpi od swego zamiaru. Z całej siły ścisnął pod pachą tomik swoich wierszy. Czekał, pocąc się ze strachu. Po chwili w drzwiach stanęła ponura postać w dresowych spodniach i z papierosem w ręku. Jakże się zmieniła, postarzała, wychudła. Zapadła się w sobie jak wypalona gwiazda.

- Czego chcesz? - odezwała się siostra.

Nie zamierzała się zgodzić na rozmowę, bo nie miała mu nic do powiedzenia. Na jakiegokolwiek wyjaśnienia było już za późno.

Robert patrzył na nią wyczekująco. Bezgłośnie błagał o przebaczenie. Niezmiennie od dwóch lat chaotycznymi gestami i gorączkowymi spojrzeniami pytał, kiedy wreszcie go rozgrzeszy. A może nigdy nie otrzyma absencji? Nie od niej! Próbował wcisnąć nogę między drzwi a futrynę, ale Grażyna jeszcze zmniejszyła szparę w drzwiach, tak że teraz widział tylko jej oczy i fragment nosa.

- Wynoś się! - syknęła przez zęby.

Pełen bólu i nienawiści głos siostry świdrował uszy Roberta z całą brutalnością. Słyszał go jeszcze, idąc samotnie przez park. Patrzył na starego bezzębnego gracza przerzucającego sfatygowane karty, wiewiórkę na konarze klonu, chłopca z hulajnogą, ale tak naprawdę ciągle widział siostrę i jej pogardliwe spojrzenie. Gardziła nim, jak się gardzi tchórzem, to jasne. Mężczyzna też sam siebie nie darzył szacunkiem, więc się nie dziwił siostrze. Przeżuwał słowa uwięzłe w gardle, prośby, które sobie przygotował, cały monolog wyciskający łzy z oczu. Nie można oczekiwać od kogoś odpuszczenia, jeżeli nie wybaczyło się samemu sobie - Robert był od tego jeszcze bardzo daleki. Zły na siebie, poruszał ustami, jakby zmagał się z przyklejoną do zębów gumą do żucia. Nawet w samotności nie odważył się uwolnić wszystkich myśli, jakie przez te dwa lata zebrały się w jego głowie. Złość na siebie powoli przeradzała się w złość na upartą i zawziętą siostrę, nie mającą dla brata odrobiny wyrozumiałości czy miłosierdzia. A tyle o nim mówiła. Ludzie

dużo rozprawiają o odpuszczaniu innym grzechów, O zmiłowaniu wobec bliźniego, ale są to tylko słowa, pod którymi chętnie się podpisują, dopóki sytuacja nie wymaga od nich wcielenia deklaracji w czyn.

Metro było zatłoczone, a w wagonie unosił się nieprzyjemny zapach. Krystyna usiadła na miękkim wzorzystym siedzeniu, wdychając przykrą woń potu, a Kamilka usadowiła się na jej kolanach. Stojący pasażerowie pochylali się nad nimi, trzymając się skórzanых uchwytów, zataczali brzuchami półkola i objęli sobie wzajemnie ramiona i biodra. Kobieta cieszyła się, że znalazła miejsce siedzące. Wbiła wzrok w przesuwającą się za oknem ciemność. Odpoczywała, a nogi odpoczywały jakby z osobna, oderwane od jej ciała, i nie czuły ciężaru dziecka. Kamilka wierciła się niespokojnie, aż wreszcie zniecierpliwiona próbowała coś matce powiedzieć swoim gardłowym głosem nie pasującym do małej dziewczynki. Wydobywające się z ust córki dźwięki nie układały się w słowa, lecz tworzyły bezładny bełkot, poparty przesadną gestykulacją. Krystyna zorientowała się, że mała chce do ubikacji i że za chwilę będzie za późno. Pasażerowie dyskretnie omijali je wzrokiem. Ich spojrzenia spoczywały na torbach, poręczach, framugach okien i innych pasażerach, byle nie patrzeć na rozdrażnioną Kamilkę. Jednak kobieta wyczuwała ich zainteresowanie: nieme, ukryte pod maską obojętności. Już zauważyli, że coś jest nie tak. Wystarczyło kilka sekund i przyzwoici ludzie zorientowali się w sytuacji. Dobre wychowanie nakazywało im nie gapić się na bełkoczącą

dziewczynkę, a jeśli już na nią spoglądali, to wzrokiem pełnym akceptacji i zrozumienia. Schowali prawdziwe myśli za parawanem miłego, dobrotliwego uśmiechu. Krystyna wiedziała, że w każdym z nich jest nieodparte dążenie do normalności. Żadnych odstępstw, żadnych pomyłek genetycznych i błędów w DNA. Nabrzmiała myślami cisza w wagonie spowodowała, że powieki matki stały się ciężkie. Nie potrafiła spojrzeć innym pasażerom w oczy, jakby wstydziła się za córkę lub za siebie - nie wiadomo, za kogo bardziej. Dziewczynka kwiliła cicho, wymownie wskazując rączką na swoje krocze, teraz ściśnięte grubymi udami. „Przecież moje dziecko nie jest upośledzone - pomyślała Krystyna. - Nie muszę czuć się upokorzona, a jednak tak jest, bo to ludzie patrzący z niemą ciekawością wywołują u mnie to wstrętne uczucie”. Pasażerowie, rzecz jasna, zachowywali się poprawnie, bo każdy chciał pokazać, że jest tolerancyjny. W takich sytuacjach wszyscy stają się szczególnie uprzejmi, czasem ustępują miejsca, pomagają wsiąść, uśmiechają się. Niektórzy nawet zdobywają się na wspinałomyślność i proponują dziecku cukierka lub czekoladkę. Kamilka jest tylko opóźniona w mowie, ale to przecież nic nie znaczy. Krystyna nie powinna się za nią wstydzić, ale nie umiała być z niej dumna. Szybko wsiąść z metra, zapobiec tragedii! Matka pociągnęła dziewczynkę za rękę, trochę zbyt mocno, ale nie z premedytacją jak kiedyś.

Krystyna bała się rozpoczęcia szkoły. Wiedziała, że wraz z Kamilką będzie codziennie na nowo przeżywać

dramat odrzucenia. Nie umiała być obojętna. Scenariusze przewidywanych wydarzeń miała szczegółowo zapisane w głowie: z dialogami i didaskaliami, jak w prawdziwej sztuce teatralnej. Czas ponaglał, pochłaniał kolejne dni nie przynoszące poprawy ani nadziei. Kobieta zawzięcie wertowała książki, wczytując się w ich skomplikowaną treść, szukała w Internecie artykułów i porad dotyczących seplenienia bocznego. Co za paskudna wada! Krystyna traciła cierpliwość, słysząc jak powietrze konsekwentnie ucieka bokami, współuczestnicząc w powstaniu okropnej głośki niegodnej ludzkiej mowy. Zniekształcone dźwięki męczyły matkę, raniły jej uszy i serce. Nie mogła słuchać dłuższych wypowiedzi córki, dlatego nieraz przerywała Kamilce, czasem zbyt gwałtownie i niecierpliwie. Jak nakierować strugę powietrza na przednie zęby? Nie dawało jej to spokoju, myślała o tym nawet w nocy, kiedy mąż dawno już chrapał, zadowolony z tego, że żyje, że mają co jeść i że zarabiają wystarczającą ilość pieniędzy, by raz w roku wyjechać na zagraniczne wczasy. Potem leżeć na plaży nieruchomo i bezmyślnie, nie słysząc nawet odgłosów morza, szumu głębin kryjących życie i śmierć. Nie zastanawiać się, nie rozmyślać, wyłączyć wszystkie czujniki i tylko leżeć.

Krystyna nie wiedziała, co trzeba zrobić, żeby nic nie czuć. Marzyła o zastrzyku znieczulającym dla duszy, o niewielkiej działeczce, ale zabrakło jej odwagi albo była zbyt dumna, żeby się poddać. Od lat toczyła walkę o wewnętrzny spokój, o zadowolenie z samego faktu istnienia, ale jej początkowo owocne wysiłki szybko przepadły się w niemoc. Rozpaczliwie szukała sensu we

wstawaniu o świcie po to, żeby wieczorem, po całodzienną pracę, znowu położyć się do łóżka. Każdy dzień przybliżał do śmierci. Rano z niesłabnącą energią Krystyna ćwiczyła z Kamilką przed lustrem to samo co kiedyś - wszystko powróciło jak powtórnie wyświetlany film. Kobieta wiedziała, że w pewnej chwili opuści ją energia, że oklapnie jak podeptana purchawka. Moment ten nastąpi niespodziewanie, Krystyna walczyła więc za wszelką cenę do końca. Następnie siadała w atelier i analizowała postępy córki. Obliczała, ile jeszcze czasu potrzebuje, żeby ustawić ten cholerny dźwięk, i czy zdąży do rozpoczęcia szkoły. Czasem ukradkiem, jakby wstydziła się przed samą sobą, zaglądała pod łóżko, gdzie ukryła portret Kamilki. Potem uśmiechem z nutą gorzkości przypieczętowywała zakończone niepowodzeniem próby dopatrzenia się jakichkolwiek zmian w obrazie. Twarz na płótnie nadal była piękna i nieskazitelna i nic nie mogło tego zmienić.

Pierwszy dzień w szkole. Poranek wisiał w ponurym powietrzu. Uroczym dziewczynki w pięknych sukienkach - przyszłe koleżanki z klasy - rzucały na Kamilkę obojętne spojrzenia. Krystyna spodziewała się tego: braku jakiegokolwiek zainteresowania, tak jakby jej córka była drzewem. Dziewczynki szły do szkoły po dwie, trzy, opowiadając sobie rewelacje wczorajszego dnia, powierzając największe tajemnice, chociaż dopiero co się poznały. Przyjaźnie między dziećmi rodzą się w okamgnieniu, by równie szybko przemienić się w nienawiść. Tylko Kamilka kroczyła sama - niezrzeszona, bez przynależności,

bez poparcia, bez miłych uśmiechów z jakiegokolwiek strony. Skąd Krystyna o tym wiedziała - i to dużo wcześniej, zanim córka poszła do szkoły? Co sprawiało, że jakieś dziecko znajdowało się na marginesie, odrzucone przez wszystkich? Jej status outsidera z czasem wyraźnie się utrwalił, był nie do przezwyciężenia i chyba sama Kamilka nie próbowała więcej przylgnąć do żadnej grupy, świadoma swojej odmienności. Krystyna już pierwszego dnia zdawała sobie sprawę z tego, że żadna z uczennic nie będzie chciała usiąść obok Kamilki. Z początku dziewczynka nieśmiało przysuwała się do koleżanek, ale pierwszoklasistki szybko dały jej do zrozumienia, że nie chcą z nią rozmawiać. Właściwie nie była to bezpośrednia odmowa, ale odrzucenie poprzez obojętność, niezwracanie uwagi, niezauważanie, jakby to nie Kamilka stała obok, lecz drewniany posąg. Ten rodzaj odepchnięcia był najboleśniejszy. Córka Krystyny szybko uświadomiła sobie nieprzychylną dla niej aurę i wycofała się z życia klasy, zajmując boczną ławkę z tyłu sali, jakby chciała stać się niewidoczna. Krystyna nie mogła zrozumieć tego mechanizmu, który wyrzuca dziecko poza nawias grupy rówieśniczej. Przecież Kamilka nie była ani najbrzydszą, ani najgłupszą dziewczynką w klasie. Zawsze bardzo miła, dobrze ubrana i wesoła - a jednak coś sprawiało, że nikt nie chciał się z nią bawić. Nawet gruba Lizy z wiecznie rozdziawioną buzią miała koleżanki. Krystyna od razu poczuła dziwną niechęć do tej dziewczynki, dużo gorszej od jej Kamilki. Kobieta już dawno odkryła na twarzy Lizy ślady obcego pochodzenia, bezmyślność, brak jakichkolwiek znamion lotnego umysłu. Nic. W jaki sposób ta tępa dziewczucha

mogła się tak szybko zasymilować? Kobieta obserwo-
wała dzieci, usiłując odkryć przyczynę odrzucenia córki,
bo zagadnienie to nie dawało jej spokoju. Dlaczego
i kiedy zostaje się odepchniętym, wyrzuconym z grona
rówieśników?

Krystyna zupełnie ignorowała fakt, że odbiła ko-
leżance faceta i na siłę chciała widzieć w Beacie przyja-
ciółkę. Tak było do czasu, kiedy przechwyciła jej
powłóczyście spojrzenie przeznaczone dla Roberta. Jego
twarz zabarwiła się purpurowo. W pierwszej chwili ma-
larka nie potrafiła spontanicznie zareagować. Nie wie-
działa, czy się oburzyć, czy wszystko zignorować,
a może rzucić niewinny żart? Przecież Beata jest nie-
świadoma sytuacji, więc Krystyna mogła sobie pozwolić
na jakąś uwagę, ale straciła humor. Wystarczyło kilka se-
kund, żeby dotarła do niej powaga okoliczności. Obu-
rzyła się, że z oszukującej stała się oszukiwaną, a na to
nie była przygotowana. Wtedy zrozumiała, że nie jest je-
dyną, najlepszą, najpiękniejszą, muzą, ideałem kobiecym
wyniesionym na piedestał, tylko zwyczajną kobietą,
którą da się porównać z kimś tak pospolitym jak Beata.
Zdziwienie pomieszane ze wzbierającą falą oburzenia
zmarszczyło zwykle wypielęgnowane i gładkie czoło
Krystyny. Czyżby Beata wiedziała o ich związku i chcia-
ła pokazać przyjaciółce, że teraz nadchodzi jej czas? Coś
musiało się wydarzyć między Beatą a Robertem, ale dla-
czego koleżanka nie rozmawia o tym z Krystyną, skoro
oficjalnie nie wie o jej związku z poetą? Dawno powinna
się pochwalić, że Robert zaszczycił ją gorącymi spojrze-

niami, tymczasem ona milczy. Artystka nie wiedziała, czy tylko ona z Robertem grają komedię przed Beatą, czy też może Robert i Beata knują coś przeciwko Krystynie. Pogubiła się. Ostatnio rzadziej doświadczała adoracji ze strony Roberta, nie wyłapywała jego uśmiechów przesłanych nad głową wiecznie rozbawionej Beaty. Instynktownie czuła, że przegrywa, chociaż wcale nie walczyła i nie miała ochoty nikogo zdobywać. Dopiero to dziwne nieznane uczucie bycia pokonaną sprawiło, że Krystyna pomyślała o Robercie inaczej, niż tylko jako o cichym i pokornym wielbicielu, łasym na każdy znak łaski z jej strony. Artystka przeciw sprzedawczyni warzyw - porównanie to wydało się kobiecie tak absurdalne, że tylko wrzuciła ramionami i w pośpiechu pożegnała Beatę. Czuła niesmak. Ważne jest, z kim się przegrywa, a nie sam fakt, że się doznało porażki. Wiecznie ze wszystkiego zadowolona Beata, zawsze poprawna pod każdym względem, serdeczna i miła, wyraziicielka nieustającego szczęścia na ziemi. Irytujące. Potem, po długich rozmyślaniach w cieniu balkonowego cyprysu Krystyna doszła do wniosku, że tylko ludzie głupi potrafią być szczęśliwi, i takie wyjaśnienie ją uspokoiło.

Emilia nadal milczała po ich ostatniej rozmowie. Krystyna słała kolejne maile, na które przyjaciółka odpowiadała zdawkowo. Rozmowy telefoniczne przekształciły się w pozbawioną emocji wymianę krótkich urywanych informacji. Co się stało? Konieczne było spotkanie, ale Emilka wcale do niego nie dążyła. Zastaniała się innymi planami, brakowało jej chęci. Kry-

styna nerwowo ścisnęła słuchawkę, jakby chciała wydusić z niej oczekiwaną odpowiedź. Planowała spotkanie, by móc podczas niego rzucić na plecy koleżanki część swoich ciężarów, jak to czyniła w dzieciństwie. Wyczuwała lekkie wahanie ze strony przyjaciółki, ale jak zwykle miała pewność, że ją przekona i będzie tak, jak sobie życzy malarka. Tak było zawsze, więc dlaczego teraz miałyby się to zmienić? Krystyna czekała więc na nadejście lata, na wakacje, na urlop Emilii i często przyjeżdżała do Cieplic, jakby chcąc się do tego spotkania przygotować. Dom niewiele się zmienił - trochę podpadł po śmierci matki, bo nikt się nim nie zajmował, a Krystyna nie chciała go sprzedać. Stał więc nieprzydatny, pozbawiony urody, z odrapanym murem, zarosnięty chwastami, tak że z coraz większym trudem można się było dostać do wejścia. Opustoszał, ale nadal należał do Krystyny, nadal w jego wnętrzu ukrywały się wszystkie wypowiedziane tam słowa, uczynione gesty i uронione łzy, strasząc w nocy jak widmo. Kiedy kobieta przyjeżdżała do kraju, nie zapalała światła w salonie. Siedziała w ciszy wieczoru i słuchała muzyki, która wciąż płynęła z fortepianu. Przy odrobinie cierpliwości i wyobraźni mogła usłyszeć ulatujące z klawiatury dźwięki. Melodie przesycone tęsknotą matki za nieosiągalnym pięknem. Poszukując ideału, zrujnowała życie córce, a chciała jedynie uciec od wspomnień bydłących wagonów i nocy spędzonych na obcym dworcu w oczekiwaniu na dalszy transport. Krystyna dopiero teraz próbowała zrozumieć matkę, jej duszę artystki. Dopiero teraz pojęła tragizm jej życia i miejsce złości na rodzicielkę zajął żal. O ojcu nie myślała. Przynosiła kwiaty na jego

grób, bo tak wypadło. Nie mogła kochać kogoś, kto zabronił jej myśleć, kiedy była dzieckiem. Wszystko musiała przyjmować na wiarę, bez protestu i komentarzy, nie dziwiąc się. Nie wolno jej było interpretować, niczego się domyślać. Zachowanie ojca budziło wątpliwości, i może dlatego mężczyzna tak rygorystycznie wymagał od wszystkich domowników bezgranicznego posłuchu.

Krystyna podeszła do szuflady i wyjęła z niej białą kopertę, w której ukryła włos Kamilki. Jeszcze się wahała, ale wysłanie materiału genetycznego do analizy niczego nie zmieni, jest już za późno. Szkoda, że nie zrobiła tego wcześniej, przed chorobą córki, wówczas może udałoby jej się stworzyć dystans do tego dziecka, gdyby się okazało, że to córka nieznanej Czeszki. Jeden włos miałaby rozstrzygnąć o życiu tej cichej, zamysłonej dziewczynki - na to Krystyna nie mogła pozwolić. Żeby tak wcześniej zdecydowała się na badanie DNA, choćby przed obudzeniem Kamilki! Wtedy jeszcze mogłaby zacząć od nowa. Przedała kopertę na pół i wyrzuciła do kosza. Poczowała ulgę i niewysłowioną radość, że zdecydowała się pozbyć kłopotu, zamiast go rozwiązać. Ludzie na własny użytek tworzą problemy, kiedy ich nie mają. Nie mogą bez nich żyć. Każdy chce się czymś martwić, bo posiadanie konkretnego zmartwienia jest dużo lepsze niż lęki o nieznanym podłożu.

Krystyna wyrzuciła kopertę. Był to jedynie symboliczny gest, bo kobieta w dowolnym momencie mogła się postarać o drugi włos. Czyn heroiczny? A może robiąc

to dla Kamilki, kierowała się czystym egoizmem? Chciała poczuć dumę z siebie, ze swojego poświęcenia. Jeszcze moment i dojdzie do wniosku, że każdy przypadek ofiarności to czysty egoizm. Czynienie dobra, empatia, szlachetne działania na rzecz dzieci, biednych czy chorych wywołują pozytywną reakcję otoczenia, jego pochwały i podziw, które przynoszą dobroczyńcy satysfakcję. Przecież to tylko poza, chęć zwrócenia na siebie uwagi. Czy istnieje prawdziwy altruizm? „Dlaczego wyrzuciłaś czystą kopertę? - pytała potem Kamilka - przecież była pusta”. Nieprawda.

Robert wrócił z kolejnej wyprawy do kraju. Znowu chodził pod domem siostry, snuł się jak duch pod jej oknami, uskakując za drzewo przy najmniejszym szeleście. Nie wiedział, co go bardziej martwiło i złościło: niemożność porozumienia się z siostrą czy raporty z księgarni o tym, że jego książka się nie sprzedaje. Stawał przed empikiem i z zazdrością gapił się na rzędy publikacji, budzących zainteresowanie czytelników. Nie cierpiał, kiedy klienci przeglądali inne książki, nie zwracając uwagi na jego dzieło. Wydawca z wielkim trudem wcisnął poezję Roberta do empiku, bo tam miała największą szansę na zbyt. Każda księgarnia stawiała swoje wymogi, ale najbardziej niewiarygodnie i irracjonalnie zachowywał się empik, żądając książek nietkniętych ręką innego księgarza. Zastrzegał sobie prawo pierwszeństwa jak feudalny władca wobec narzeczonej poddanego. Przyjmował tylko książki dziewicze, niewinne, nieświadome swojej roli, głosicielki prawdy o życiu lub tylko

głupoty. Najnowsze woluminy zapełniły półki w salonach, ale jeśli nie budziły niczyjego zainteresowania, były bezpardonowo, bez słowa wyjaśnienia odsyłane do swoich twórców jak zhańbione narzeczone. Poza tym książka musiała być świeżo wydana, najwyżej tygodniowa, jeszcze pachnąca farbą drukarską. Zaborczość empiku szeroko komentowano w kręgach wydawców, ale każdy z nich skwapliwie oddawał swój towar za pół ceny, żeby tylko znalazł się w salonie. Sprzedaż w empiku nobilitowała i książkę, i twórcę - to jakby zaproszenie na paryskie salony literackie. Sprzedawca robił, co chciał chroniony przez prawo i uległość wydawnictw. Nikt nie protestował, nikt się nie zrzesał, nie występował przeciw książkowemu zdierycy.

Robert przyglądał się kobiecie stojącej przy regale. Miał ochotę wytrącić jej z ręki książkę kucharską, którą właśnie zamierzała kupić. Książkę kucharską, kiedy można mieć tomik jego poezji z czerwonymi makami na okładce! Robert nie mógł zrozumieć, dlaczego nawet ten rzucający się w oczy kwiat nie przyciągał uwagi klientów, nie kusił kolorem. Każdy psycholog potwierdzi, że czerwień to kolor przyciągający wzrok. Co się dzieje z polskim społeczeństwem? Trzymając własną książkę w ręce, mężczyzna stawał obok innych poszukiwaczy dobrej literatury. Odwracał tomik tak, żeby można było dojrzeć tytuł, i czekał. Wydawało mu się, że jeżeli ludzie zobaczą, że ktoś z taką ciekawością przegląda publikację, to może sami zwrócą na nią uwagę. Założenie było w gruncie rzeczy logiczne i poparte doświadczeniem. Przeglądając własne wiersze, Robert - niby spontanicznie - pomrukiwał z zachwytem. Niestety, nikt nie reagował na

tę formę prezentacji. W księgarni staruszka sprzedaż też nie ruszyła, nawet po wieczorku literackim, na który przyszły dwie osoby: jedna była znudzona, druga znalazła się tam chyba przypadkiem, z łapanki, bo księgarz stanął przed sklepem i osobiście zapraszał do środka - więcej nie mógł dla Roberta zrobić. Książka odcinała się na półce czerwoną plamą, widoczna nawet dla zmęczonych oczu i dla ludzi ze słabym wzrokiem. I nic. Wspólne poczucie zażenowania zbliżyło do siebie obu mężczyzn, postawiło przed nimi nowe zadanie, jakim było sprzedanie tomiku Roberta. Właściciel księgarni zaangażował się w ten projekt i cierpiał z powodu jego niepowodzenia. Dobra wola okazała się niewystarczająca, aby zrealizować zaplanowane przedsięwzięcie, bo Robert był ze swoim pisaniem niekomercyjny.

Kamilka wychodziła ze szkoły. Pochyliła się do przodu pod ciężarem tornistra, szła powoli ze spuszczoną głową w stronę samochodu. Krystyna zamarła. Zwieszona głowa mogła oznaczać niepowodzenie, smutek i osamotnienie, ale równie dobrze córka mogła się mimowolnie zgarbić z powodu zbyt dużego ciężaru na plecach. Kobieta starała się odczytać nastrój dziewczynki tylko na podstawie ruchów jej ciała, kroków stawianych ciężko i bez wdzięku. Jak wytresowany pies czuła na odległość substancje chemiczne, które Kamilka wydzielalała pod wpływem negatywnych emocji. Wietrzyła zawód, niepowodzenie rozsiane wokół córeczki jak szara mgiełka. Matka nie czekała dłużej. Wysiadła z samochodu i podbiegła do małej, chcąc skrócić chwilę oczekiwania na

wyrok. Dopiero teraz spojrzała z bliska na twarz Kamilki i zobaczyła w jej oczach żal i zdziwienie, które dziewczynka próbowała ukryć lub nazwać na nowo - obojętność. Krystyna nigdy nie wiedziała, jak zacząć rozmowę, bolesną dla obu stron, ostrożną, wyważoną w zamyśle, która jednak po chwili nabierała rozmachu, wymykała się spod kontroli, uwalniając burzę emocji. Kobieta wolała nie słyszeć zbyt wiele. Wystarczyła jej informacja o złej ocenie z niemieckiego, i o tym, że nikt nie chciał usiąść obok Kamilki. Jednak nie mogła uciec przed nagłą rozpaczą córki, wybuchającą coraz większym strumieniem łez, kiedy puściła tama wstydu i zażenowania, bo Kamilka czuła się winna. Przyczyna niepowodzeń zapewne leżała w niej samej i dziewczynka zdawała sobie z tego sprawę. Krystyna słuchała ze spuszczoną głową. Wolałaby, żeby córka część prawdy zatrzymała dla siebie, chociaż nie mogła tego od niej wymagać. W końcu to ona była matką i musiała dzielić ze swym dzieckiem wszystkie przeżycia. Tylko że na razie były to jedynie smutki. Słowa spadały na kobietę, jakby z góry, jak deszcz, zatrzymywały się na jej barkach i tam już pozostawały. Po takiej rozmowie Krystyna czuła przez kilka dni napięcie i ból w karku i plecach. Ciężar informacji był stanowczo za duży. Nie mogła go udźwignąć, więc próbowała uspokoić Kamilkę, uciszyć, zatamować potok żalów, by nie usłyszeć już nic więcej. Nie chcą jej, nie lubią, przezywają, odpychają - dosyć, wystarczy! „Nie dzisiaj - myślała Krystyna. - Najpierw muszę uporządkować to, co usłyszałam. Może jutro będę miała więcej sił”.

Po powrocie do domu malarka niedbale zrzuciła z siebie płaszcz, który upadł na podłogę w przedpokoju. Pobiegła do sypialni i uklękła przed świętym obrazem, tak jak to robiła w dzieciństwie. Czasami tylko klęczała i nic, ale klęczeć musiała, bo matka bacznie ją obserwowała. Krystyna milczała, wpatrzona w wąską uduchowioną twarz Chrystusa. Szukała słów, które chciała skierować do Stwórcy. Tym razem nie była to zwyczajna modlitwa ani też wyszukane, spiętrzone barokowo frazy, jakie nieraz z fantazją wypowiadała, lecz krótka i rzeczowa prośba. Właściwie była to swego rodzaju propozycja układu, z którą kobieta zwróciła się do milczącego Boga. Na początku swego monologu ciężko sapała, gdyż czuła, że jest to kluczowa kwestia, od której wiele zależy. Oddychała więc z trudem, zdenerwowana, jakby miała przed sobą rozmówcę z krwi i kości. Odważyła się prosić, ale prośba szybko urosła do rangi wymogu. Krystyna zaczęła się targować jak na jarmarku, coraz odważniej i zapalczywiej. Ty mi to, a ja ci tamto. Jej uległość uleciała. Kobieta wyobrażała sobie, że Bóg potakuje, zgadza się, żądała więc coraz więcej, a milczenie obrazu uznała za przyzwolenie. Z jej strony ofiara, ze strony Boga pomoc. Coś za coś. Chwilami nawet nie wierzyła, że taki deal z Bogiem jest możliwy. Bzdura, przecież nigdy nie otrzyma odpowiedzi. Nie przybije piątki na potwierdzenie.

Zrezygnuje z malowania. Nie, nie z malowania, potrzebna jest jeszcze większa ofiara, więc zrezygnuje z wystawiania, z dążenia do sukcesu, z szukania protektorów czy sponsorów. Chyba wystarczy? Spojrzała

w twarz Chrystusa. Milczał przyzwalająco. Za własne poświęcenie oczekiwała od Boga nieograniczonego szczęścia dla Kamilki. Pragnęła normalności, zwyczajności, żeby córka była tak jak inne dzieci. Skąd taka prośba? Wcześniej nie wpadłoby jej to do głowy! Coś się zmieniło, obojętnie jak to nazwać. Bywa, że uczuć nie da się jednoznacznie określić. Coś się zmieniło i takie stwierdzenie powinno wystarczyć. Krystyna czuła się dumna jako matka poświęcająca się dla dziecka, jednak szybko zdała sobie sprawę z tego, że to, czego pragnęła miało przecież i ją uszczęśliwić, więc znowu dostrzegła w swojej ofiarności egoizm. To przede wszystkim dla siebie pragnie szczęścia Kamilki, chce mieć powód do dumy. Bóg milczał, ale do tego była przyzwyczajona. Nie prosiła tak jak inni o dawanie znaków czy wskazówek. Zresztą i tak by ich nikomu nie dał. Nie wiedziała, jak przypieczętować deal z Bogiem, przecież nie mogła podać Mu ręki. Poprzestała na kilkakrotnym przeżegnaniu się. Podniosła się z kolan i otrzepała spódnice, chociaż na podłodze nie było choćby drobiny kurzu - zadbała o to teściowa, pogromczyni brudu i bałaganu. Krystyna znowu wierzyła, że odtąd wszystko pójdzie gładko. Wystarczyło czekać na zmiany, obserwować przeobrażenia, które z pewnością nastąpią, tylko nie wiadomo kiedy.

A jednak Beata weszła w orbitę wpływów Roberta i tak już pozostało, ponieważ poeta miał dużą siłę przyciągania. Krystyna niczego nie zauważyła, a mało wymagająca Beata zgodziła się tylko na połowę, choć

pragnęła całości. Można ją było zadowolić odrobiną uczucia, nawet udawanego, ale kto niewiele wymaga, ten niewiele dostaje. Mężczyzna coraz chętniej odpoczywał od obu przyjaciółek i wyjeżdżał do kraju, który stał się dla niego azylem, enklawą bez kobiet i pracy księgowego. Spacerował po ulicach Wrocławia z postanowieniem, że nie będzie więcej interesował się książkami, bez frustracji spędzi mile czas w kraju, wyskoczy na piwo, odwiedzi dawnych kolegów. Miasto wydało mu się nieznane, jaśniejsze, wydobyte z szarości, sztucznie jaskrawe, nieprawdziwe, ale piękne. Długo jednak nie wytrzymał. Już następnego dnia zaczął się obsesyjnie przyglądać księgarniom. Najpierw obserwował je z zewnątrz, śledził ruchy przechodniów zatrzymujących się przed witrynami. W końcu, ulegając nałogowi, z poczuciem winy wszedł do najbliższej z nich i pośpiesznym krokiem ruszył pomiędzy regały. Potencjalni klienci wyglądali na zagubionych wśród stosów publikacji, nęcących łatwizną okładek. Można było stracić orientację w papierowym labiryncie, w którym każdy zakręt przyciąga krzykliwymi obrazkami. Robert obserwował przyszłych czytelników przeglądających książki i nagle przyszło długo oczekiwane olśnienie. Teraz już wiedział, że to nie biedni wydawcy, nie księgarze, którzy nie mieniają się księgarzami, tylko zwykłymi sprzedawcami, a właśnie czytelnik ma decydujący wpływ na jego niepowodzenia. Zaczął więc nienawidzić czytelnika i wyobrażać go sobie jako niechlujną gospodynię domową, która czyta miłosne historjki między krojeniem kotletów a obieraniem ziemniaków albo młodzieniaszka w poszarpanych spodniach, z fryzurą typu cool, pochłaniającego wyłącznie horrory

z fantastyczną fabułą wymyśloną przez znużonego pisarza. Mężczyzna gardził polskim czytelnikiem. Wrzucił wszystkich do jednego wora, przemieszał i wyszedł potworek - konsument gniotów.

Obok Roberta stał młody człowiek z książką w ręce. Chłopak przeglądał ją, podrzucał, jakby sprawdzał, ile waży i czy cena odpowiada kilogramom papieru. Poeta chwycił swój tomik wierszy i kilkakrotnie nim poruszył, żeby zwrócić na siebie uwagę młodzieńca, skierować jego spojrzenie na okładkę z makami. Z własnym dziełem w dłoni mizdrzył się, uśmiechał zachęcająco, podsuwał egzemplarz coraz bliżej w kierunku nastolatka. Tamten początkowo ignorował dziwne zachowanie nieznanego, który przyglądał mu się dość natrętnie. Spojrzenie Roberta było gorące, przepojone prośbą, tęsknotą za czytelnikiem godnym jego wierszy. Młodzieniec nagle poczerwieniał, jakby chwycił go atak apopleksji.

- Kurwa z tymi gejami! - rzucił wściekle i wyszedł, porzucając opasłe tomisko z zezowatym potworem na okładce.

Wieczorem obie pochylały się nad zeszytem z matematyki. Włosy Krystyny spływały na kartki pokryte cyframi i usiane kolorowymi rysunkami, które miały ułatwić zrozumienie zadania. Córka siedziała ze ściągniętymi brwiami, sygnalizując tym grymasem, że nie nadaża za wyjaśnieniami matki. „Ile zmarnowanych chwil, które mogłabym zamienić w piękny obraz. Płatanina słów, nieuchwytnego dla Kamilki sensu” - myślała kobieta, ale myśl ta nie wzbudzała w niej żadnych emocji. Po prostu

trzeba dalej tłumaczyć, nawet gdyby zabrało jej to pół dnia. Dawna niecierpliwość i rozgoryczenie zniknęły, ustąpiły miejsca dotąd nieznanemu uczuciu akceptacji dla niewiedzy Kamilki, dla niemyślącego czoła i niespokojnych rąk bezwiednie wystukujących dzikie rytmy. Gruba noga córeczki ciężko zwisała z poręczy fotela i podskakiwała co jakiś czas poddana nieznanym impulsom. Co dziwne, matki nie denerwowały ani te podrygiwania, ani niezgrabna rączka bawiąca się długopisem, który choć bębnił i groził pęknięciem nadwerężonej sprężynki, wciąż postukiwał w rękach dziecka. Krystyna pogodziła się z faktem, że córka jest mało zdolna, i to stwierdzenie okazało się łatwe do przyjęcia, dlatego że kobieta zawsze właśnie w ten sposób myślała o Kamilce. Wcześniej nie mogła jej po prostu pokochać, ale teraz też nie wiedziała, czy to miłość każe jej marnować tyle godzin na ćwiczenia i naukę. Przecież wszystko było po staremu. To samo słońtątko, ta sama otwarta buzia. „Niekoniecznie rzeczywistość musi się zmienić, żeby zmieniły się nasze przekonania - pomyślała Krystyna. - To my zmieniamy rzeczywistość, kreujemy wszystko, nawet fakty, które z zasady powinny być obiektywne”. Kobieta dostrzegła w tłuściutkiej nóżce dziewczynki niezachwianą proporcję długości uda do długości podudzia. Kamilka będzie miała długie nogi - nasuwał się wniosek. Znowu to spojrzenie malarki, za które najchętniej by się wychłostała.

Robert nalał Krystynie kieliszek czerwonego wina i czekał w napięciu, bo wiedział, że przyszedł do niego

w innym niż zazwyczaj celu. Próbował odgadnąć jej myśli z zachmurzonego czoła i niecierpliwie poklepywał się po kolanie. Zastanawiał się, czy nie powiedzieć prawdy. Po co wkraczać na wyboistą drogę oszustwa, która go męczyła. Chciał zakończyć ten romans, ale wydawało mu się, że Krystyna zmierza do tego samego, postanowił więc dać jej szansę na zerwanie, gdyż tak postąpiłby dżentelmen. Poza tym miałyby wówczas czyste sumienie, a o to zawsze chodzi. Może nie tyle o czyste sumienie, co o świadomość jego posiadania, bo wszystko jest kwestią interpretacji. Krystyna jednak wyraźnie się ociągała, jakby nagle zapomniała, po co przyszła. Mężczyznę ciekawiło, jak przebiegnie ich rozstanie. Zawsze je sobie wyobrażał, odkąd się poznali. Kobieta milczała, ale nic już nie mogło zmienić biegu rzeczy, najwyżej odwlec nieuniknione. Robert cieszył się, że ta smutna chwila na razie została oddalona i że zyska więcej czasu, aby się na nią lepiej przygotować.

Jednak zerwanie było pewne, bo poeta łatwo nie przebaczał, a już w grę wchodziła jego twórczość. Do tej pory nie pojął, jak subtelna, wzniosła i wrażliwa Krystyna mogła sobie pozwolić na taki czyn. Zbulwersowany długo nie mógł dojść do siebie. Próbował sam sobie wytłumaczyć jej zachowanie, zrozumieć motywy. Niestety nie przychodziło mu do głowy nic, co chociaż częściowo złagodziłoby jego gniew i ból. Zdecydowanie sprawa była już przesądzona. Nie mogło być mowy o dalszym wzajemnym uwielbieniu, o miłości, którą kochanka przekreśliła jednym nierozważnym czynem. Zaschło mu w gardle na ten widok i nawet jeszcze tydzień po tym wydarzeniu ciągle widział przed sobą Krystynę jak zjawę,

wychodzącą z ubikacji z plikiem jego wierszy do nowego tomiku. Sprofanowane kartki wysunęły się ze spłoszonej ręki i rozsypały po podłodze. Rozedrgana wyobraźnia Roberta podsuwała mu drastyczne obrazy: jego ukochane utwory czytane podczas oddawania moczu lub - co gorsza - stolca.

Kobieta kręciła się niespokojnie. Jeszcze nie teraz, za chwilę! Wyszła do łazienki, zastanawiając się, jaką formę powinno przybrać ich rozstanie. Z pewnością bez melodramatu, ale też nie całkiem na zimno. Jak doprowadzić do zerwania, nie posiadając najmniejszego pretekstu? Schyliła się po ręcznik, który wypadł jej z ręki.

Kolczyk z błękitnym oczkiem leżał na podłodze tuż obok nogi Krystyny. Między wanną a pojemnikiem na brudną bieliznę, mało widoczny, bo wciśnięty w wiklinowe plecione dno kosza. Malarka podniosła metalową, udającą srebro błyskotkę i przez chwilę trzymała ją na wysokości oczu. Pierwszym uczuciem, jakie nieznamy przedmiot w niej wywołał, był lęk, że Robert zerwie pierwszy. Jakaś nieznana kobieta pozostawiła po sobie ślad swojej bytności - symbol budzących się uczuć albo tylko pożądania. Krystyna zastanawiała się, jak zareagować na dowód obecności w domu kochanka innej kobiety, która z roztargnienia zgubiła kolczyk. Rozważała też możliwość celowego pozostawienia biżuterii, ale w tym przypadku ta druga musiałaby wiedzieć o związku Roberta i malarki. Sama myśl o tym, że ktoś mógłby być poinformowany o ich spotkaniach, sprawiała, że żołądek Krystyny przewracał się do góry nogami. Kobieta zamknęła kolczyk w dłoni, jeszcze nie mając pomysłu, jaki los mu przeznaczyć, i wyszła z łazienki.

Muza nie może być zazdrosna. To o nią można być zazdrosnym, nigdy odwrotnie. Do kogo należało świecidełko, zadziorne w formie, przekorne w treści, zaczepne samym swoim istnieniem? Może Krystyna uda, że go nie zauważyła i zerwie niezależnie od niego? Koleczyk jednak intrygował.

Krystyna dostrzegła subtelną zmianę w zachowaniu Beaty: trochę mniej pokory, szczypta bezczelności, swawolnego humoru. Weszła do pracowni pewniej niż zazwyczaj i rzuciła niedbałe spojrzenie na sztalugi. Na płótnie roiło się od dziwnych stworów z wykrzywionymi strachem lub gniewem paszczami, ziejącymi gorącym oddechem na zwyczajne, całkiem realne skulone ciało małej dziewczynki. Pomimo bajkowej scenerii obraz miał ponury mroczny, surrealistyczny wydźwięk.

- Dlaczego chowasz obrazy? - Beata wskazała ręką na spory magazyn za szafą. - Po co malujesz, skoro nie chcesz nikomu pokazać ani sprzedać swoich prac? Przecież to nie ma sensu!

Krystyna zdenerwowała się na Beatę i jej niezachwianą logikę, choć faktycznie osobie postronnej mogło się wydać dziwne tworzenie obrazów dla schowka za szafą. Płócienn przybywało w zastraszającym tempie, bo wbrew wszystkiemu Krystyny nie opuściła wena, właściwie teraz niepotrzebna. Malarka wolałaby zamienić natchnienie na konkretną wiedzę z logopedii.

Sens? Czy wszystko musi mieć sens? Sama sztuka nie ma najmniejszego sensu. A ty? Po co żyjesz? Żeby

się rozmnażać i wychowywać następne pokolenie? Według teorii ewolucji twoim celem jest przekazanie dalej możliwie jak największej liczby swoich genów. Więc rozmnażaj się, zamiast tracić czas na zbędne dyskusje.

Beata dotykała palcem jeszcze mokrej farby raczej bezwiednie, nie po to, żeby zniszczyć obraz. Jak można mazać paluchem po płótnie? Krystyna stanowczym ruchem przytrzymała rękę koleżanki. Ten melodramatyczny gest zbił Beatę z tropu. Czuła, że za tym dziwnym wybuchem kryje się coś więcej - jakieś uczucie, którego nie pozna, bo jest jej zupełnie obce. Nigdy nie doświadczyła weltszmercu, splinu, bólu egzystencjalnego. I dobrze. Beata wyszła z pracowni bez słowa, zastanawiając się - może pierwszy raz w życiu - nad sensem istnienia. Przerażała ją Krystyna i jej dziwne wizje twórcze, oderwane od rzeczywistości obrazy z domieszką grozy i absurdu. Dla Beaty przyjaciółka była doskonałością, z którą teraz przyjdzie jej się zmierzyć. Zauważyła kolczyk leżący w przedpokoju obok telefonu i słowa zamarły na jej ustach, a język przylepił się do podniebienia i tam pozostał. Może po prostu powiedzieć, że zostawiła u Roberta biżuterię - przecież spotykali się u niego razem, a one są tylko jego znajomymi. Ale dlaczego miałyby to robić? Niech Krystyna wie, że jest inna kobieta! Może uda się wygrać wojnę o Roberta metodą podjazdową. Nawet nie zauważyli, kiedy Beata niespodziewanie wróciła po komórkę i zobaczyła ich przez uchylone drzwi do sypialni. To Krystyna jest tą nieznaną, a więc zdrada jest podwójna. Beata postanowiła czekać, bo związek malarki i poety nie miał przyszłości,

a po dwóch latach przestaje działać chemia mózgu, która odpowiada za stan zauroczenia. Była jedyną, która znała wszystkie układy i powiązania, jedyną, która wiedziała wszystko, nie mówiąc nic nikomu, więc siłą rzeczy musiała wygrać. Zwycięża ten, kto więcej wie.

Osowiały Robert wszedł do mieszkania. W ciemności usiadł w starym fotelu i myślał. Potem zerwał się i zapalił lampę. Stanął przed lustrem i uważnie oglądał swe ciało jak lekarz, który bada pacjenta. Palcami dotknął brzucha w miejscu, gdzie powinna się znajdować wątroba. Pogładził skórę kolistymi ruchami, miękkimi i uspokajającymi. Miał do wątroby szczególny stosunek, bardziej emocjonalny niż do innych swoich organów. Za nic na świecie nie chciał się rozstać nawet z najmniejszą jej częścią, nie zamierzał nikomu użyczać rąbka życiodajnej materii.

Robert pomyślał o siostrze - najdroższej mu istocie, dla której w każdej chwili mógłby poświęcić wszystko. Nie, nie wszystko, bo przecież istnieje granica, po przekroczeniu, której w człowieku odżywa instynkt samozachowawczy. Wówczas kończy się miłość, altruizm i bohaterstwo, a każda komórka ciała walczy o przetrwanie. Tak było i w przypadku Roberta - oładnął nim ślepy strach o życie górujący nad miłością, strach, który odebrał mu rodzinę, wbrew jego woli. Chcieli zrobić z niego cholernego Prometeusza, ale wielki wybawca uciekł, nie dokonawszy heroicznego czynu, na który wszyscy czekali. Mężczyzna coraz częściej rozważał, czy nie zwierzyć się ze wszystkiego Beacie, która wyczuła,

że wróciła do łask. Robert drżał w obawie przed Krystyną, bo Beata w dowolnej chwili mogła się pochwalić szybkimi pocałunkami czy wspólną kolacją. Z klasycznego trójkąta zrobił się dość ryzykowny czworokąt i z każdego kąta groziło poecie zdemaskowanie jego haniebnej gry. Ostatnia sobota przechyliła szalę zwycięstwa na stronę Beaty, która z pełnym zaangażowaniem rozpałała zmysły Roberta burleską własnej aranżacji, trochę nawet wulgarną, ale cóż, taka jej natura! Burleski, oczywiście. Spontaniczny występ nowej kochanki zmusił mężczyznę do weekendowej ucieczki - czuł, że nie mógłby spojrzeć Krystynie w oczy, więc szybko spakował rzeczy i zwiął do Polski. Jadąc siedmioosobowym samochodem, wciśnięty między otyłego robola i wyfiokowaną sprzątaczkę układał plan działania. Jego ciało udręczone przez rozpychającego się zwalistego współpasażera, rwało się do wolności, ale dopiero na postoju Robert mógł zaczerpnąć powietrza i ten głęboki wdech pomógł mu zebrać myśli. Skończyło się skamlenie u księgarzy, literackie uwodzenie potencjalnych czytelników, wieczorki poetyckie z przypadkowymi ludźmi z łapanki ulicznej. Nadszedł czas prawdziwego działania.

Najważniejszy jest plan, metoda, według której powinien działać i którą już następnego dnia wprowadził w życie. Przeczesał miasto z północy na południe i w każdej napotkanej księgarni kupował po jednym egzemplarzu swojej poezji. Jeżeli nie było jej na półkach, to zamawiał tomik ze stanowczym wyrazem twarzy. W małym pokoiku pensjonatu Pod Różą napychał torby nabytymi książkami, a kiedy zapełnił wszystkie, kupował jeszcze reklamówki i ładował do nich kolejne tomy.

Z takim bagażem wracał do Wiednia, a następnym razem jechał do innego dużego miasta. Za cel obrał sobie dawne województwa, które zamierzał obkoczyć w ciągu roku. Systematyczność tej pracy dawała mu zadowolenie, bo lubił planowość i przewidywalność. Część rachunków zabierał ze sobą, żeby w tanim hotelu nadażyć z pracą księgowego, i znowu pękate torby jechały do Wiednia. W kanciapie rósł stos zakupionych egzemplarzy, dla których na razie Robert nie miał przeznaczenia. Zamontował w drzwiach komórki zamek, którego nie powstydziliby się żaden bank, i odtąd było to najbardziej strzeżone pomieszczenie w jego mieszkaniu. Na podłodze leżały stosy niechcianych książek; czerwone maki wyzywały mrok pozbawionej okien nory. Szare ściany tłumiły nieco historyczną barwę kwiatów i podkreślały jej bezsensowność w tym nędznym dusznym pomieszczeniu. Wiecznie zamknięte drzwi sprawiały, że po ich otwarciu ze środka buchała woń stęchlizny pomieszczonej teraz z zapachem farby drukarskiej.

Może to nagłe wyznanie Krystyny zrujnowało dawną przyjaźń? Tak jednym zdaniem? Milczenie było bolesne i niezrozumiałe, tak samo jak ostatnie słowa wypowiedziane przez Emilię, jakby w zamyśleniu, nie do końca świadomie. Bo co mogło oznaczać stwierdzenie, że w pewnym momencie tajemnica przestaje nią być, jeżeli nie ma dla nas emocjonalnego znaczenia? Nie ma sekretów bez emocji, jest tylko nieznanym nam fakt, do którego nie przywiązuje się wagi. Emilia nie chciała o tym rozmawiać, to

pewne. Oddaliła się od tamtych przeżyć w altanie, od wścibskich spojrzeń wiejskich bab, od ich złośliwych uwag, niekompletnych, niedopowiedzianych, ale te są najgorsze - niosą w sobie niepokój. A może ta tajemnica nie była jedyną? Może zdarzyło się coś jeszcze? Jeden sekret skrywał drugi? Emilia milczała, jakby się bała, że w rozmowie niechcący wyjdzie na jaw jeszcze gorsza prawda. Bo prawdy można segregować na lepsze i gorsze, na te smutniejsze i tragiczniejsze, i te, których nikt nie chce wypowiedzieć.

Wieczorem Krystyna wpatrywała się w telefon - milczący czarny przedmiot przynoszący dobre i złe nowiny. Emilia zawsze wiedziała, co czuła przyjaciółka, i reagowała intuicyjnie i zawsze trafnie. Teraz też - nie dzwoniła, nie odbierała telefonów. Jednak w tej samowolnej decyzji Emilii kryła się być może chęć uzyskania przewagi nad Krystyną. Czyżby po latach Emilia nareszcie zapragnęła być suwerenną, niezależną osobą, która może w ostatniej chwili zmienić zdanie? Czyżby odeszła dawna poddańczość, dzięki której dziewczynka bez większych przeszkód przetrwała okres dzieciństwa? A przecież oddanie i uległość wobec rodziny Krystyny uratowały jej dzieciństwo. Emilia powinna powrócić do dawnej roli, a jej miejsce miało być za Krystyną, nie przed nią. W jednym tylko przypadku Krystyna nie miała szans: była tą drugą, zazdrosną o względy ojca, tym bardziej że Emilia obojętnie przyjmowała jego uwielbienie, a nawet zdawała się uciekać przed uczuciem mężczyzny, jakby jej przeszkadzało. Ręce ojca zawsze szukały Emilki: poklepywały ją, głaskały, przelotnie, bezwiednie, niezauważalnie, a jednak Krystyna to do-

strzegła. Widziała wszystko, choć nie powinna. Potem to, co zauważyła, nie dawało jej spokoju. Nie mogła zasnąć.

Światło padało ukośnie z niewielkiej ściennej lampki, oświetlając tylko pół strony książki. Krystynie nie przeszkadzała ta niedogodność, nawet nie zwróciła uwagi na gęstniejący mrok, który wtargnął nagle do jej pracowni. Wertowała kartki, intuicyjnie szukając jakiejś wskazówki, wiedzona przesłaniem z głębin mózgu. Wodziła wzrokiem po nudnych tabelach objaśniających powstanie wszystkich dźwięków mowy. Kobiętę interesowała tylko ta, która miała być kluczowa dla ustawienia tej jednej głoski. Ta na pozór niewiele znacząca głoska, nie wyróżniająca się niczym spośród innych, miała jednak w sobie coś nadzwyczajnego, co ją duchowo łączyło z głoskowym potworem, który dręczył Kamilkę. Było to zbliżone miejsce artykulacji. Niby nic szczególnego, ale właśnie to zafascynowało Krystynę, która już wiedziała, że zwycięstwo jest bliskie i wreszcie będzie można zrezygnować z okrężnych dróg. Nie miała już cierpliwości. Czas nagiął, więc chciała pójść na skróty.

Do domu wszedł Marek. Malarka słyszała szuranie w przedpokoju, a potem szybkie kroki po parkiecie jadalni. Wiedziała, że za chwilę w jej pracowni ukaże się uśmiechnięta, zadowolona twarz męża. Zawsze znalazł jakiś powód do radości, a jeśli nie, to sam fakt, że żyje, stanowił dla niego wystarczające źródło zadowolenia. Krystyna szybko zamknęła książkę i podbiegła do obrazów, by sprawdzić, czy są dobrze ukryte przed wzrokiem

Marka. Chciała uniknąć zbędnych pytań i życzliwego zainteresowania, które drażniło ją szczególnie teraz, kiedy jej kariera ugrzęzła w martwym punkcie. Niechętnie prezentowała mężowi swoje prace w obawie, że się nimi zachwyci i będzie próbował je gdzieś pokazać, że zacznie namawiać ją na wystawę, jak to robił wcześniej. Nie mógł znieść trwającego już od wielu lat bezowocnego malowania, bez żadnej perspektywy. Rezultatem twórczości powinna być wystawa, sprzedaż czy otwarcie galerii. Marek wciąż się dziwił, że Krystyna spędza tak dużo czasu w pracowni, ale efektów nie widać. Gdzie są nowe obrazy, nowe szkice? Widział rozpięte na sztalugach białe płótno, zagruntowane i gotowe na przyjęcie pędzla. Kobieta malowała w nocy przy niewielkiej lampce. Ukradkiem przenosiła na płótno niepokój o przyszłość, strach o Kamilkę. Obrazy oddawały rozchwianie psychiki ich autorki, ale były odważniej sze, wyzwolone. Niedokładność linii, zamazany kształt, jakby widziany w rozgrzanym powietrzu, stały się nowym środkiem ekspresji Krystyny, z czasem ulubionym. Wreszcie mogła sobie pozwolić na fantazję, przecież nikt nie będzie oceniał jej prac.

Leżała obok Roberta, ale jak nigdy dotąd czuła ogromne napięcie między nimi. Dostrzegła nieuchwytną nutę niezadowolenia w jego głosie, i prawie niezauważalny cień przemykający często po jego twarzy, kiedy mówiła o córce, o swoich obrazach. Gładziła mężczyznę po głowie, ale nie oddawał jej pieśczoł. Patrzył w kąt pokoju i milczał. Sposób, w jaki wypowia-

dał kolejne zdania był jakby wymuszony. Jego tors falo-
wał w przyśpieszonym, prawie histerycznym oddechu.
Krystyna nie lubiła hysterii u mężczyzn, co innego u ko-
biet. Chciała go uspokoić, położyła więc rękę na jego
brzuchu, żeby uciszyć falę emocji. Wówczas Robert
gwałtownie odepchnął jej dłoń i usiadł na łóżku. „Nie-
dobrze mi” - powiedział, ale malarka wiedziała, że za tą
reakcją kryje się coś innego. Nie po raz pierwszy miała
wrażenie, że kiedy głaszcze skórę na jego brzuchu, ko-
chanek broni się przed jej dotykiem, automatycznie od-
wraca głowę i delikatnie, prawie niezauważalnie odsuwa
się od niej. Tym razem zareagował tak zdecydowanie, że
przestraszona Krystyna szybko cofnęła rękę. Mężczyzna
uciekł do łazienki, bo najwyraźniej nie chciał z nią o tym
rozmawiać, ale kobieta zapamiętała ten porywczy wy-
buch, zacisnięte usta Roberta i mocny, wręcz niedelikatny
uścisk jego dłoni. Siedziała nieruchomo i milczała po-
nuro. Wtedy usłyszała tłumione odgłosy puszczenia wiat-
rów, a potem cichy jednostajny dźwięk siusiania, jakby
ktoś przyłożył palec do ust i uciszał wymykające się spod
kontroli grzmoty. Poczowała wstręt i złość na Roberta, że
nie domknął drzwi do łazienki, że ściany w bloku są zbyt
cienkie, bo oszczędzano, że mężczyzna nawet nie pró-
buje kaszlem lub chrząknięciem zagłuszyć spływające-
go ciurkiem moczu. Wyszarpnęła spod kołdry ubranie
i naciągnęła je na siebie ze złością i niedokładnie. Nagle
jej wzrok padł na czarną szczelinę, jaką tworzyły nie-
domknięte drzwi do kanciapy, dotąd zawsze zamknię-
tej. Pchnęła je lekko. Z łazienki dochodził teraz od-
głos spływającej wody - Robert brał prysznic, więc
Krystyna miała kilka minut czasu. Jej wzrok powoli

przyzwyczał się do ciemności i po kilku sekundach kobieta wyłowiła z mroku czerwień maków piętrzących się aż po sufit.

Kamilka stawiała pierwsze niepewne kroki w matematyce. Zmęczonymi oczami śledziła kolumny cyfr, które były dla niej nieprzeniknioną zagadką. Krystyna z niepokojem patrzyła, jak córka rozwiązuje zadania, jak mozolnie liczy, pomagając sobie palcami. Wszystkie szkolne przedmioty wydawały się dziewczynce jednako trudne i niezrozumiałe. W zeszytach roiło się od zaznaczonych na czerwono poprawek, które wywoływały u dziecka panikę. Kamilka bała się uwag nauczycielki, jej wskazującego palca, który wędrował po kartkach, aby nieuchronnie wykryć najdrobniejszy nawet błąd. Truchlała zażenowana, sama nie umiejąc sobie wytłumaczyć, dlaczego jej wynik zawsze różni się od uzyskanego przez pozostałych uczniów. Stare banalne powiedzonka w stylu „kto chce, ten potrafi” nie sprawdzały się w przypadku Kamilki. Naprawdę chciała, trudziła się początkowo ze strachem, a kiedy nie dostrzegła gniewu matki - ze skupieniem, ale bez pozytywnych rezultatów. Krystyna szła przez długie zawile korytarze szkoły, potem wspinała się na piętro, i znowu wędrowała długimi korytarzami. Miały one w sobie coś zatrważającego, przytłaczającego, tworzyły klaustrofobiczną przestrzeń, do której lepiej nie wkraczać. Kolejne wezwanie do szkoły, nie dadzą odetchnąć. Nawet gdyby dziecko chciało się rozwinąć, nie nadąży w takim tempie, przy takiej niecierpliwości i konkurencji już od

pierwszej lekcji. Potem rozmowy z nauczycielką, bolesne słowa, kiwanie głową ze zrozumieniem dla matki niezbyt uzdolnionego dziecka i znowu ta sama droga przez jeszcze zimniejsze korytarze. Zupełnie jak wtedy, gdy matka Krystyny szła przez korytarz prowadzący do gabinetu dyrektora szkoły muzycznej. Pewnie usłyszała to samo, co dwadzieścia kilka lat później malarka o swojej córce. Matka szła zgarbiona, a półkoliste korytarze klasztornej szkoły zdawały się nie mieć końca. Milczała i Krystyna nie odważyła się o nic zapytać, zresztą doskonale знаła przebieg rozmowy.

Wieczorem kobieta wracała do sztalug. Przyglądała się swoim płótnom, które wydawały się jej lepsze, dojrzalsze. Zawsze dodawała jakiś szczegół i szybko ukrywała obraz za zasłoną. Między jedną szafą a drugą rozwiesiła kawałek tkaniny z nadrukowanymi makami, aby stworzyć ciepły i przytulny schowek dla swoich nowych prac. Markowi tłumaczyła, że chce zasłonić rupieciarnię, więc o nic nie pytał. Ona chowała swoje obrazy, Robert swoją książkę. Długo nie mogła zrozumieć, co oznaczały te stosy tomików w kanciapie. Mąż dawno już przestał pytać Krystynę o jej prace i zaakceptował fakt, że w jej pracowni znajduje się tylko białe płótno. A może to też rodzaj twórczości? Czyżby nienamalowany obraz był najbardziej wyrafinowaną formą sztuki? Marek nie znał się na nowoczesnej sztuce. A może te obrazy są po prostu beznadziejne i sama Krystyna nie jest w stanie na nie patrzeć? No trudno. Ważne, że ma jakieś hobby, bo do pracy nie chciała pójść, zresztą nie wiadomo, co mogłaby robić. Żadne emigracyjne zajęcie nie było jej godne, więc lepiej niech udaje, że maluje.

Krystyna rozważała zaprzestanie tworzenia, by wreszcie zająć się domem. W każdym kącie pracowni, do której teściowa nie miała wstępu, puszył się kurz, szary wszechobecny wyrzut sumienia. Zbierał się we włochate kłęby przypominające bezlistne krzaki na pustyniach wyrwane przez wiatr i fruwał po całym pokoju. Kobieta zbierała go mokrą szmatką, kiedy był już zbyt widoczny. Nie miała żadnego planu, według którego porządkowała mieszkanie. Dostrzeżony bałagan sprzątała na bieżąco, zawsze ze zniecierpliwieniem, bo mogłaby w tym czasie zrobić coś innego, coś twórczego. Chciała chociaż w niewielkim zakresie zmienić swoje myślenie, włączyć inne postrzeganie, przeprogramować cały swój sposób widzenia świata. To chyba nic trudnego, skoro znajome kobiety: sąsiadki i kuzynki, spełniają się w życiu rodzinnym - przynajmniej tak mówią. A może trzeba się urodzić ze zdolnością do funkcjonowania w piekle domowych obowiązków? Krystyna nie umiała odnaleźć nawet odrobiny zadowolenia w codziennych sprawach, w zwyczajności, która przecież składa się z mikroskopijnych radości i smutków. Nie potrafiła wyłowić szczęścia, tak jakby popsuł się u niej mechanizm broniący jej przed autodestrukcją. Dlaczego matka nie wpoić jej zamiłowania do porządków, prowadzenia domu ani królowania wśród weków i przecierów? Matka jest wszystkiemu winna! Kazała Krystynie jedynie czyścić wyblakły parkiet i pastować, pastować, codziennie, potem froterować, jeździć ze szmatą po całej podłodze, aż zapłonie pięknym blaskiem.

To właśnie tam, w kuchni, po raz ostatni widziała matkę żywą. Stara kobieta siedziała z pochyloną głową i z nieco skreconym tułowiem. Jej lewa ręka bezwładnie opadała na oparcie wózka inwalidzkiego. Ta wszechwładna osoba, wypędzona z Lwowa, zdradzona przez męża, sztywna i nieugięta, tkwiła zagłębiona w fotelu, nieobecna, skostniała z żalu za szczęściem, które nigdy nie nadeszło. Krystyna przechwyciła jej lekko zdziwione spojrzenie, tak jakby matka jeszcze nie wierzyła, że to koniec, i zastanawiała się, dlaczego właściwie ona, a nie ktoś inny, może starszy. Od czasu do czasu rzucała zamglone spojrzenie w stronę milczącego fortepianu, a potem na córkę, ale ta nie chciała grać. Dyscyplina już nie wisiała w tym samym co zwykle miejscu, poszła w zapomnienie, dawno nieużywana. Krystyna nie mogła się zdecydować, co czuje. Żal - tak, na pewno, ale nie z powodu utraty matki, tylko dlatego, że nie były ze sobą szczęśliwe. Miłość do matki - chyba tak. Szkoda, że nie było okazji, by uświadomić rodzicielce, że jest ktoś, kto ją kocha. Zresztą matka nie dopuszczała do siebie żadnych uczuć, była jak posąg. Posagi nie płaczą. Kiedy zmarł ojciec Krystyny, nic nie czuła, bo mąż nie żywił do niej żadnych uczuć. Córce wydawało się, że w ostatnich dniach życia bezwiednie szukał wzrokiem Emilii. Może nie miał świadomości upływu czasu, może nadal żył przeszłością? Dlaczego nie rozglądał się za Krystyną? Stała obok niego, bliska, gotowa odwzajemnić uczucie. Wtedy przekreśliła go na zawsze.

Malarka przyszła tylko po to, żeby wejść do łazienki i obejrzeć miejsce za koszem na brudną bieliznę. Powoli,

ale bez żalu traciła to, co dotąd uważała za pewne - uwielbienie Roberta. Poeta nie wiedział, że kochanka zaglądała do kanciapy, że poznała jego tajemnicę i odtąd nim pogardzała. Kobieta wyszła do łazienki i odruchowo spojrzała na podłogę - najpierw tylko kątem oka, by po kilku sekundach domysłów przyjrzeć się jej dokładnie. Połączana, kiczowata spinka z odpustu, wstrętna, tandetna, taka, jaką noszą wiejskie nimfy na balu w remizie strażackiej, leżała obok kosza - dokładnie tam, gdzie poprzednio kolczyk. Tym razem Krystynie przyszła do głowy tylko jedna myśl - Beata. Widziała już kiedyś u niej takie spinki, a więc była to prowokacja. W szpetnej ozdobie do włosów było coś obraźliwego. Pusząca się brzydota i wyzywający przepych świecidełek dodatkowo drażnił Krystynę. Nigdy by nie podejrzewała skromnej i uległej Beaty o tak wyrafinowaną grę. A może to tylko głupota ze strony koleżanki, bo granica między bezmyślnym postępkami a wyrafinowanym jest czasem bardzo rozmyta. Malarka powinna jakoś zareagować, ale wtedy przyznałaby przed Beatą, że jest zazdrosna o Roberta, lepiej więc zerwać z nim od razu, niezależnie od znalezionej spinki czy kolczyka. Wiedziała, że za jakiś czas znowu odkryje w łazience obok kosza jakiś okropny przedmiot, prowokacyjnie ułożony na posadzce. Od dalszych posunięć Krystyny zależało jej własne dobre samopoczucie, a przede wszystkim poczucie godności. Następny ruch musiał być przemyślany, aby wywieść w pole oboje: niewiernego Roberta i fałszywą przyjaciółkę. Nikt nie mógł się domyślić jaki był prawdziwy powód porzucenia Roberta przez Krystynę, inaczej posądzono by ją o zazdrość, a to uczucie jest

malarce obce. Nawet kiedy się do niej przylepi, Krystyna zaraz się z niej otrzepie, więc marny żywot zazdrości trwa tylko kilka sekund.

Z kuchni dobiegały odgłosy przygotowań do kolacji, którą zamierzali zjeść wspólnie. Długie minuty dawały kobiecie przewagę. Nadal ścisnęła w ręce spinkę, która raniła jej skórę, pozostawiała paskudne pręgi. Potem Krystyna wyszła z łazienki, zostawiając dowód zdrady w miejscu, w którym go znalazła. Nie da się więcej prowokować. Teraz wie, że to Beata, więc zerwanie musi być zręczne. Drzwi do kanciapy, tym razem zamknięte, strzegły tajemnicy, która przestała nią być, bo Krystyna już wiedziała, dlaczego w tej dusznej klitce kiszą się setki egzemplarzy, podczas gdy w innym pomieszczeniu jest wystarczająco dużo miejsca, by poukładać książki na półkach. To oznaczało tylko jedno: nikt nie powinien się o nich dowiedzieć. Czy Robert orientował się, że Beata zostawia swoją biżuterię w łazience? Kiedy ten człowiek czyści podłogę? Może wcale. Kiedyś Krystyna znajdzie tam majtki i biustonosz. Do tak żenującej sytuacji nie wolno dopuścić. Zdrada smakuje cierpko, nawet jeżeli się nie kocha zdradzającego, bo uszczerbku doznaje miłość własna osoby oszukanej. Z tą miłością własną malarzka nie chciała przesadzać, bo to podobno grzech. Ale od miłości własnej do egoizmu droga daleka. Zresztą należy kochać bliźniego jak siebie samego, ale nie można kochać bliźniego, jeżeli się samego siebie nie miłuje, zatem miłość własna jest powinnością człowieka. Wywód całkiem logiczny, trochę nawet sofistyczny. Jeżeli ktoś nie pokocha siebie, nie będzie potrafił kochać innych, więc Krystyna obdarzała samą siebie coraz większą

miłością. Robert siedział spokojnie, przeżuwał, popijał i sądził, że w oczach kochanki jest poeta, ale był jedynie niezdolnym wierszokletą, którego utworów nikt nie chciał czytać.

Zerwanie z Robertem nie mogło przynieść ulgi zdradzanemu mężowi ani dać satysfakcji zdradzającej małżonce, gdyż to wcale nie utwierdziło jej w przekonaniu, że jest dobrą żoną i matką. Marek konsekwentnie nie dostrzegał aż nadto oczywistej prawdy. Skoro nie widział zdrady, nie może się przekonać, że żona zerwała z kochankiem, a szkoda, bo byłaby to bardzo przyjemna chwila.

Marek pozostawał ślepy na dowody cielesnego obcowania żony z innym mężczyzną. Poczciwość kazała mu widzieć Krystynę tylko jako wierną żonę i pełną poświęcenia matkę. Kobietę denerwował ten brak podejrzliwości, który interpretowała jako brak zainteresowania jej osobą. Wymówka czy zazdrość z jego strony, która być może dodałaby całej sprawie pikanterii, zdecydowanie podniosłaby samoocenę malarki. Pozostawało pytanie, czy Beata wiedziała o romansie Krystyny i Roberta, a jeżeli tak, to dlaczego z nią nie rozmawia? Nigdy więcej nie mówiły już o poecie, który nagle stał się tematem tabu. Jedna udawała przed drugą, że prawie wcale go nie widuje, tak jakby przestał być ich wspólnym znajomym. Wszystkie inne podejmowane przez przyjaciółki kwestie miały za zadanie wykluczenie z zakresu rozmowy tej jednej nienaruszalnej.

Beata czekała. Nic się nie zmieniło i miała nadzieję, że ten zniechęcony przez nią romans Krystyny i Roberta

wreszcie się zakończy. Mogła w zasadzie powiedzieć, że kochanek w połowie już należał do niej. Jeszcze się wahał, odmawiał ostatecznego zerwania z Krystyną, ale Beata była cierpliwa. Wiedziała, że ta cecha, tak pożądana w przypadku bycia tą drugą, w końcu pomoże jej zwyciężyć. Czekanie jest najskuteczniejszą bronią - była o tym przekonana, a w poczuciu słuszności utwierdzały ją pierwsze sukcesy. Pozostawienie kolczyka w łazience poety nie było celowe, lecz kobieta po raz pierwszy ucieszyła się ze swego roztargnienia. Teraz musi tylko czekać, milczeć i obserwować. Wiedziała, że jej pozycja u boku Roberta jest coraz mocniejsza. Beata jest wszechwiedząca: wie o romansie Roberta z Krystyną, wie o tym, że Krystyna domyśla się istnienia innej kobiety, wie również, że Robert coraz więcej czasu spędza z nią. Czego chce więcej?

Krystyna obserwowała przyjaciółkę. Nic nie znacząca rozmowa o bazarze, o niedawno otwartym butik, parawan dla ważnych pytań. Nagle poczuła się wykluczona, wypchnięta poza nawias. Zwyciężyła zwyczajność prostej kobiety, jej bezpretensjonalność, szczerłość uczuć. Przeciętna kobieta bez matury pokonała artystkę - nieobliczalną, spontaniczną, uwodzicielską i niekonwencjonalną. Krystyna długo nie mogła zrozumieć, jak doszło do tego, że Robert zmienił swoje upodobania. Może na początku były to niewinne spotkania w knajpie na rogu, wspólne jedzenie makaronu z sosem bolońskim, ale malarka wyczuwała napięcie, kiedy była między nimi przyjaciółka. Beata widziała w Robercie kwintesencję uduchowienia, a jednocześnie genialności. Dla niej mózg poety był wspaniałym mechanizmem kryjącym wiedzę

i uczucia, dla Krystyny - jedynie galaretowatą masą komórek bez szczególnych znamion geniuszu. A niech go!

Robert długo czekał na przyście Krystyny i w rezultacie cieszył się, że się nie pojawiła. Jednak bardziej chodziło mu o fakt, że nawet nie zadzwoniła, że coś było dla niej ważniejsze niż on. Krystyna zaczynała go męczyć, bo dwie chimeryczne natury nałożyły się z czasem na siebie, tworząc wspólne piekiełko, które obfitowało w kłótnie, oskarżenia i pretensje. Trwała rywalizacja o to, kto jest większym artystą, o laur niepowtarzalności, o uznanie, o zazdrość w oczach drugiego. Żadne nie chciało ustąpić i tak walczyli ze sobą: poeta, który nie mógł wydać swoich wierszy, i malarka, która nie wystawiała swoich obrazów. Ten niewypowiedziany spór, pozostający tylko w sferze niewerbalnej zmęczył oboje kochanków, którzy wymagali od siebie nawzajem tego samego - uwielbienia. Krystyna, początkowo wyniesiona na piedestał, powoli z niego schodziła i oczywiście winiła za to Beatę. Te jej dowody zainteresowania wypocinami Roberta, takiej wieczna usłużność! Tu obiadek, tam kolacyjka, wszystko po koleżeńsku, perfidnie. Robert puszył się od tych wyrazów uznania, hardział i w końcu przestał ślepo wielbić Krystynę. Z muzy spadła do roli zwykłej kobiety i wtedy zaczęła jej zagrażać najlepsza koleżanka, Beata, bo dopiero wówczas szanse przyjaciółek się wyrównały. Kobieta przeciwko kobiecie, sprawiedliwie. Z muzą Beata nie miała żadnych szans. Krystyna nie chciała walczyć, bo w związku z kochankiem nastawiona była tylko na branie - pozwalała się uwielbiać i tłumaczyła sobie, że zdradza męża, żeby uczynić innego

mężczyznę szczęśliwym. Miało to być swego rodzaju poświęcenie, bo uszczęśliwianie kogoś wymaga poniesienia ofiary. Malarce wydawało się, że Robert nie może bez niej żyć, i było to przekonanie głębokie i niewzruszone.

Zadzwoniła do kochanka i krótko obwieściła mu swoją abdykację. Skoro nie może być królową, nimfą ani muzą, to nie chce być nikim innym. Nie zastanawiała się, czy Robert odłożył słuchawkę, czy nadal tkwi w tej samej pozycji z telefonem przytkniętym do ucha.

Teściowa znowu przyjechała na kilka miesięcy i rzucała się w wir prania i porządków, zamiatając, wytrze-pując, odświeżając i odkurzając wszystko, co tylko napotkała na swej drodze. Krystyna obserwowała te wysiłki z obojętnym wyrazem twarzy, nie chwając ani nie ganiąc, i szybko wycofywała się do swojej pracowni. Przytapała się na tym, że zazdrości tej zwykłej, prostej kobiecie i chętnie zamieniłaby się rolami. Nikt by nie uwierzył, że młoda i atrakcyjna Krystyna, wykształcona i utalentowana malarka, chciałaby być kimś zwyczajnym, żeby tylko móc się cieszyć z drobnostek, jakie przynosi każdy dzień. Stwierdziła w końcu, że największym darem niebios jest umiejętność cieszenia się życiem, bez wymagań, pretensji do losu, bez filozofowania i wnikania w tajemnice istnienia, których i tak się nie pozna. Radość z drobnostek, które trzeba się nauczyć dostrzegać, stanowi o szczęściu, a nie wielkie sukcesy dające krótkotrwały przypływ dopaminy. Z wielkich osiągnięć płynie nienasycenie - najbardziej zdradliwa cecha ludzkiego charakteru. W życiu chodzi jednak o to, żeby utrzymy-

wać dopaminę na tym samym podwyższonym poziomie, więc potrzebne są, ale niewielkie częste radości. Tylko skąd je wziąć? Krystyna nie wiedziała, z czego można się cieszyć, więc uważniej przyglądała się Markowi wiecznie zadowolonemu z tego, co ma. Udane zakupy, dobra kawa, samodzielnie zrobiony domek dla ptaszków, wycieczka z Kamilką do zoo, znalezione pięć euro - wszystko to stanowiło powód do radości. Tego nie można się nauczyć. Co trzeba przeżyć, żeby pokochać najprostsze przyjemności życia, samo życie? Może należy otrzeć się o śmierć, żeby zaakceptować istnienie? Inaczej przecież się nie da!

Krystyna wyrzała przez okno. Na podwórku czarnoskóry chłopiec bawił się piłką - sam, bez kolegów. Kamilka i czarny chłopiec muszą czekać na dorosłość. W zakłamanym świecie dorosłych łatwo będą mogli odnaleźć swoje miejsce. Pośród dzieci, gdzie słowa dokładnie wyrażają myśli i uczucia, jest to trudniejsze. Dorosłość i wyuczone formy kulturalnego zachowania pomogą im bezboleśnie przejść przez życie. Dorosli pozornie wszystko akceptują. Wiedzą, co wypada powiedzieć, a czego nie. Nikt nie chce okazać się gburem, człowiekiem pozbawionym kultury, więc mówi tylko to, co należy, nie wyśmiewa się z ułomności, z odmiennego wyglądu, akceptuje inny kolor skóry, przynajmniej dopóki mu ta skóra osobiście nie zagraża. Świat dorosłych jest zdecydowanie lepszy, bo nikt nie powie, co tak naprawdę myśli. Do tego wniosku doszła również Kamilka i chciała już być dorosła.

Obrazy Krystyny stawały się coraz bardziej ponure. Przedstawione przedmioty rzucały zbyt długie nienaturalne cienie, a trawy i drzewa rozmyte przez mgłę przypominały skandynawskie pejzaże. Malarka więcej ukrywała, niż pokazywała, powstawały więc płótna przedstawiające samą tylko mgłę i kilka gałązek krzaku widocznego w mlecznej aurze. Czuła się uwolniona od lęku przed krytyką, niezycielwym spojrzeniem innych malarzy i to dawało jej poczucie swobody w używaniu pędzla i rozchapywaniu farby. Była autorem i jedynym odbiorcą swych dzieł, mogła więc bez skrupowania tworzyć to, czego wcześniej nie śmiałyby namalować. Zawsze szukała kontaktów, rozdawała foldery ze swoimi pracami na każdej wystawie, nagabywała znawców, prosiła o chociaż pobieżne obejrzenie jej twórczości. Wszystko na nic - nie było chętnych, nie przebiła muru, za którym była już tylko sama sztuka, żadnych układów, popleczników i niweczających zapał jurorów.

Nieprzyjemne dźwięki dobywające się z telefonu odebrały Krystynę od sztalug. Po raz kolejny pomyślała o zmianie dzwonka na inny. Melodia denerwowała ją od początku, ale nie znalazła lepszej, więc zostawiła tę, a przecież miłsze dla ucha byłoby zwykłe terkotanie. Męski, trochę tubalny głos beznamiętnie coś proponował. Ubezpieczenie, nowy odkurzacz? Nagle kobieta zrozumiała, że do jej świata ponurych obrazów zajrzała szansa, tym razem niepowtarzalna, jedyna w jej artystycznym życiu. W pierwszym odruchu Krystyna rzuciła się do schowka za szafą. Wyciągnęła obrazy, przeglądała je, podchodziła z nimi do okna. Euforia z jaką zaczęła pakować wybrane płótna, była większa niż entuzjazm

przy ich tworzeniu. Malarka badała nieznaczne zmiany w odcieniach kolorów zachodzące pod wpływem jasnego światła, dość niekorzystne w przypadku jej obrazów. Najlepiej wyglądały w głębi pokoju, zanurzone w półcieniu, obok nowoczesnych mebli z elementami metalu i szkła. Przeczując sukces, Krystyna zapakowała kilka najlepszych pejzaży i wyszła z domu niesiona falą zapału. Poruszała się lekko i z gracją, nieznacznie kołysząc biodrami, jakby paradowała na wybiegu modelek. Kiedy minęła ciemne wieże parkowych tui, przystanęła na chwilę, żeby poprawić wysuwający się spod pachy rulon z obrazami, a następnie skierowała się do metra. Schodząc do podziemnego przejścia, poczuła jakąś nagłą niechęć do zaplanowanego spotkania, nieuchwytny kilkusekundowy lęk, który wzięła za sygnał ostrzegawczy. Przystanęła. Kilka metrów od niej pociąg z hukiem wtoczył się na zatłoczony peron, wywołując poruszenie wśród mrowia pasażerów. Krystyna powinna wsiąść, bo inaczej przybędzie na spotkanie spóźniona, a to zrobi złe wrażenie, więc dołączyła do wsiadających, ale z ociąganiem, jakby czekając na kolejny znak, jakby chciała się upewnić co do swojej decyzji. Drzwi wagonu zamknęły się głośno i nieodwołalnie, a ta nieodwołalność miała potrwać przynajmniej kilka minut, do następnej stacji. Stukot kół, lekkie kołysanie, znużone twarze urzędników, mdłe światła w tunelach - wszystko to wdzierало się do świadomości Krystyny. Próbowwała odeprzeć te obrazy, skupić się tylko na krótkim uczuciu lęku, który w jednej sekundzie odebrał jej spokój. Jeszcze dwa przystanki i będzie na miejscu. Do spotkania zostało niecałe pół godziny. Próbowwała o tym nie myśleć. Powiedzmy, że zapomniała - czy to

oznaczało zerwanie umowy z Bogiem, jeżeli się nie pamiętało? Ale przecież teraz, kiedy trochę ochłonęła, Krystyna zdawała sobie sprawę, że właśnie w tej chwili przekracza granicę. Oblała ją fala gorąca. Kobieta najchętniej zatrzymałaby pociąg. Przecisnęła się do przodu w kierunku drzwi, niegrzecznie odpychając pasażerów. Ktoś syknął, bo nadepnęła mu na nogę, ktoś inny pokiwał głową ze złością i niedowierzaniem, że można być tak niewychowanym. Krystyna wysiadła na następnej stacji i nie śpiesząc się, szła ulicą wzdłuż krawędzi chodnika, prowokując kierowców do użycia klaksonów. Poruszała się jak nietoperz, który nie widzi, omija tylko przeszkody.

Czy Bóg rzeczywiście wywiązywał się z umowy? Czy Kamilka robiła postępy? Krystyna analizowała wszystkie ważniejsze wydarzenia ostatnich kilku miesięcy. A może ten cały deal to absurd, bo kto robi takie rzeczy w nowoczesnych czasach? W średniowieczu to jeszcze było zupełnie naturalne, wtedy nazywano to ślubowaniem, przyrzeczeniem, w zamian za łaskę ze strony Boga, bo przecież za wyrzeczenia każdy, nawet podświadomie, oczekuje nagrody. Jednak, chwileczkę, czy nie jest tak, że Kamilka trochę mniej pluje, kiedy dmucha na świecę, i gasi je strumieniem powietrza, a nie śliny, jak przedtem? Czy była to rzeczywista poprawa, czy może tylko pragnienie polepszenia podświadomie wpłynęło na percepcję Krystyny i matka widziała to, co chciała widzieć? Jednak niezaprzeczalne i wymierne było schudnięcie Kamilki, która już od pewnego czasu nie pochłaniała piramidy chipsów i stosu czekoladek nadziewanych karmelem, ukrywanych w pokoiku pod łóżkiem. Krystyna wie-

działa o tej skrytce i bezlitośnie pozbawiała dziewczynkę słodkiej przyjemności, przeszukując każdy zakamarek pokoju na wypadek, gdyby córka ukryła łakocie gdzie indziej. Słodczyce to wymysł męża, który nie mógł się bez nich obyć. Wypychał nimi kieszenie roboczego ubrania i garściami wkładał do szuflady nocnego stolika, żeby jeszcze przed zaśnięciem pożuć słodkie, lepiące się do podniebienia toffi. Krystynę oburzał taki brak dyscypliny, pełne oddanie się pokusom życia, cielesnym uciechom, zainteresowanie jedynie doczesnością.

Kobieta zawróciła i omijając stację metra wróciła do domu na skrót przez miejski park, o tej godzinie cichy i wyludniony. Pomyślała, że powinna zadzwonić i odwołać spotkanie, ale wtedy musiałyby zaproponować inny termin lub przynajmniej wytłumaczyć, dlaczego rezygnuje z życiowej szansy. Przecież nie mogła nikomu wyjaśnić prawdziwej przyczyny swego postępowania, bo uznaliby ją za niespełna rozumu, co może wcale nie byłoby tak dalekie od prawdy. „Jak można pokusić się o deal z Panem Bogiem?” - myślała, rozpakowując obrazy i układając je na stole jeden na drugim. Teraz wydawały jej się piękne, kuszące dystynkcją surowej linii, delikatnością kolorów rozplywających się w ażurową mgłę. Z pewnością chciałyby je wystawić! Na chwilę oddała się marzeniom o sukcesie wernisażu, który przyniósłby jej rozgłos, ale zaraz opanowała pragnienie sławy i pieniędzy, wracając posłusznie do dotychczasowej roli cierpiętnicy. Żeby chociaż można było z kimś o tym porozmawiać, z kimś, kto nie postukałby się od razu palcem w czoło, zaznaczając tym wymownym gestem swój stosunek do omawianej sprawy. Mąż

nie zrozumiałyby Krystyny, poza tym musiałyby mu wyznać, że uważa Kamilkę za niedoskonałą, i dlatego za wszelką cenę pragnie ją zmienić. Pewnie nie mógłby tego wybaczyć żonie, co przyśpieszyłoby rozpad ich małżeństwa, bazującego jedynie na wspólnym i świadomym obowiązku wychowywania dziecka. Dawna zażyłość między Krystyną a Markiem uleciała stopniowo z latami ofiarowanymi Kamilce. Pozostały tylko krótkie rzeczowe rozmowy o posiłkach, zakupie nowego stołu do kuchni, znalezieniu dla córki odpowiedniego przedszkola, a potem szkoły. Krystyna dostrzegała w mężu jedynie opiekuna rodziny, poczciwego dostawcę dóbr i troskliwego ojca uwielbiającego swoje dziecko. Zastanawiała się, kiedy z ich sypialni wyparowały romantyzm i namiętność. Uleciały z pierwszym nocnym krzykiem Kamilki.

Beata czuła, że wygrała walkę podjazdową o Roberta, ale jeszcze się nie nacieszyła zwycięstwem nad wspaniałą i niedościgłą przyjaciółką, jeszcze triumf był zbyt świeży. Nie wiedziała, czy bardziej ją cieszy odzyskanie męczyzny, czy raczej fakt, że odebrała go Krystynie. Czuła słodki smak wygranej pomieszany z lekką nutą goryczy, która przyplątała się tego wieczoru, kiedy kobieta nieoczekiwanie odwiedziła Krystynę. Malarka siedziała otulona w koc, z wyostrzonymi rysami twarzy. Sprawiała wrażenie zagubionej i lękliwej, nerwowo skubała frędzle, dłubała dziury w nadwyrężonej już wiekiem materii. Beata przypisała tę aż nadto widoczną rozpacz rozstaniu z Robertem, choć właściwie zerwanie nastąpiło ze strony

Krystyny. Stało się tak jednak tylko dlatego, że Robert był dżentelmenem. Dał kobiecie pierwszeństwo - jaki rycerski! Poeta w przypływie emocji wyznał nowej kochance prawdę, odsłonił tajemnicę, o której Beata już od dawna wiedziała, ale nie chciała mu odbierać radości. Niech myśli, że jest taki szczerzy i oddany. Postanowiła go rozpieszczać, a lojalne zachowanie zawsze wywołuje u drugiego człowieka zadowolenie, więc niech się cieszy.

„Dlaczego nic nie mówi?” - myślała Krystyna. Takie samo pytanie zadawała sobie Beata, patrząc na bezwładne ciało malarki okryte kocem. Pokorna Beata - pielęgniarka i pocieszycielka, Beata z uszkodzoną częścią kory przedczołowej, która bez zastanowienia i wrodzonego wstrętu wynosi basen spod łóżka matki, jakby niosła półmisek ze smakołykami, z tym samym wyrazem twarzy i brakiem oznak obrzydzenia - zdobyła Roberta lub jedynie jego ciało i uwagę, ale to jej wystarczyło. Beata patrzyła na pokonaną przyjaciółkę, ale nie wiedziała, że to nie ona ją pokonała. To Krystyna zwyciężyła samą siebie, decydując się na wymaginowany deal. Beata paplała, cały czas obserwując koleżankę, która pustym wzrokiem wpatrywała się w płótno na sztaludze. Teraz mogła powiedzieć malarce, że Robert zerwał z nieznaną, i sprawdzić jej reakcję. Krystyna dalej tępo gapiła się w obraz, ale przez jej wargi przemknęło lekkie, trochę pogardliwe, skrzywienie, tego nie mogła sobie odmówić. „Jesteś pewna, że to on zerwał?” - spytała złośliwie. Coś buczało za oknem, jakaś maszyna pracowała zawzięcie, może dźwig na pobliskiej budowie. Kobieta koncentrowała się na dochodzącym hałasie. Nie widziała Beaty, zresztą ostatnio starała się nie patrzeć jej w oczy,

choć właściwie zremisowały: zdrada za zdradę. Małarka czuła się jednak bardziej oszukana, bo osoba zdradzona jako ostatnia zawsze ma większe poczucie przegranej, nie wiadomo dlaczego. Jeszcze chwila i któraś z przyjaciółek nie wytrzyma. Tylko która? Beata milczała uparcie, Krystyna z urazą. Wszyscy o wszystkim wiedzieli, karty zostały odkryte, ale komedia trwała nadal i żadna nie chciała jej zakończyć.

Święta: zapach pieczonego ciasta unoszący się w pokoju, głowa matki pochylona nad tekstem kolędy. Dzieci również powinny śpiewać, ale na tyle skromnie, by nie zagłuszać dominującego głosu ojca - potężnego, basowego, godunowskiego, wysyłanego w przestrzeń poza wsią i lasem, głosu grozy i radości, zależnie od sytuacji.

Głos matki był piękny, wysoki, melancholijny, miękki, wschodni, trochę nawet za słodki, ale tylko gdy śpiewała kolędy. Krystyna poczuła błogość i rozleniwienie. Oddała się myślom o ciepłym jeszcze cieście stojącym na wigilijnym stole. Słuchała, poruszając jedynie wargami. Światło choinkowych świeczek lizało twarz ojca, która teraz wydawała się łagodna, wręcz przyjazna. Często widziała tę twarz wykrzywioną złością, kiedy córka stawiała pytania, analizowała. Krystyna, aby zasłużyć na miły uśmiech ojca, musiała się całkowicie podporządkować woli rodziców, nauczycieli, księdza. Samodzielne myślenie nie przydawało się na nic, można było jedynie zarobić cięgi. Za logikę wyrzucano za drzwi klasy, bo logika często zwana była roboczo wymądrzaniem się, a za to naturalnie groziła kara. Matka najbar-

dziej gniewała się wtedy, kiedy Krystyna zadawała pytania, bo wówczas mogła wyjść na jaw niewiedza rodziców. Lepiej było powiedzieć córce, że zbyt duża ciekawość to grzech, i nie musieć odpowiadać. Grzech to było słowo klucz, którym matka operowała perfekcyjnie: wychowywała dziewczynkę, trzymała ją w ryzach, tłumaczyła świat, wyjaśniała to, czego sama nie rozumiała. Najlepiej za dużo nie wiedzieć - była to myśl przewodnia całego dzieciństwa Krystyny.

Nie było nic nadzwyczajnego w głosce „t” - taka sama jak każda inna, niepozorna, niczym nie wyróżniająca się wśród brząkających okazalej. Takie bezdźwięczne nic, więc trudno wpaść na to, jakie może mieć znaczenie. Była kluczem, punktem wyjścia, tym, od czego należało zacząć, bo miała podobne miejsce artykulacji co wymykająca się spod kontroli głoska „s”. Kamilka stała przed lustrem i przesadnie głośno wypowiadała głoskę zbawicielkę, co brzmiało jak parskanie wściekłego kota. Dziewczynka ćwiczyła sumiennie, bez wcześniejszych wygłupów, świadomie. Jej żelazną wolę wzmacniała zachłanna chęć dopasowania się do innych, nieodstawiania, więc Kamilka walczyła zacięcie z kołkowanym językiem i łykała napływającą ślinę. Krystyna malowała w pracowni, ale jej uszy łowiły odgłosy zmagani dochodzące z drugiego pokoju. Przeciągaj, przeciągaj, wydłużaj „t”, aż samo przejdzie w „c”, z którego da się wreszcie wyniszczyć odporne „s”! „Mocniej, jeszcze mocniej” - mruzczała do siebie matka. Porzuciła niedbale paletę; farby zaraz wyschną i będzie musiała zacząć od nowa. Niech

Kamilka przeciąga, jeszcze dłużej. Krystyna wiedziała, że zaraz usłyszy z sypialni syk, prawdziwy, bezdźwięczny, a potem zobaczy w lustrze zdziwioną twarz Kamilki. Dokładnie tak się stało. Matka i córka patrzyły na siebie zaskoczone, w milczeniu, zalęknione, żeby nie spłoszyć tego syczenia, zbawiennego syku radości. Powietrze przechodziło przez szczelinę między przednimi zębami a językiem tak, jak powinno, posłusznie, poddane naturalnemu układowi narządu mowy. Potwór został unicestwiony. Leżał teraz potulnie między mocnymi białymi jedynkami i syczał.

Krystyna ciągle wracała do myśli o pokusie, bo pokusy zawsze przyciągają, oplatają niewidoczną nicią i już nie można się od nich oderwać. Niby się od nich ucieka, niby nie chce się o nich słyszeć, ale w końcu tak człowieka omotają, że im ulega. Wystawa, zapach farby, tak jakby była jeszcze zupełnie świeża, woń werniksu, na ścianach obrazy Krystyny i ona pośrodku tłumu. Nie potrzebowała wielkiego rozgłosu, zachwytów, wiwatów na swoją cześć, strzelania korkami od szampana, a jedynie trochę akceptacji, spokojnej, kojącej, tylko jeden raz. Kobieta nie miała zamiaru zrywać układu z Bogiem. Jeden krótki wybieg poza oznaczoną przestrzeń nie może niczego zmienić, bo Bóg jest miłosierny. Wybaczał grzesznikom większym niż ona, więc może przymknie oko na chwilę zapomnienia Krystyny. W końcu poświęciła kochanka, ale musiała przyznać, że przyszło jej to bez trudu i nie zrobiła tego dla Marka - wygrał, nie walcząc. Jest to najtrudniejszy sposób walki, tylko dla wyjąt-

kowych, dla nic niewiedzących lub cierpliwych jak Beata. Kobieta znowu sięgnęła po swoje obrazy, oglądała je pod światło i wszystkie nagle wydały jej się dobre, odpowiednie na wystawę. Nawet nie wiedziała, o jaką wystawę chodzi, ale już pulsowały jej skronie, a serce skakało jak gumowa żabka. Jej obrazy! Wszystkie wspaiałe.

Dzwonek telefonu przerwał Krystynie przyjemne rozmyślenia. W słuchawce odezwał się ten sam tubalny, zmęczony głos. Mężczyzna zadzwonił ponownie, chociaż malarka nie przyszła na spotkanie. Dziwne. Kuszenie diabła czy co? Słuchała go w napięciu: najpierw mniejsza wystawa, to w Wiedniu, potem w Londynie. „W Londynie, o cholera” - pomyślała artystka. Diabelska pokusa była zbyt wielka, jak się jej oprzeć? Żaden śmiertelnik tego nie dokona. Krystyna obiecała, że rozważy propozycję, ale nie było co rozważać. Mogła się jedynie zastanawiać w jaki sposób zorganizować wystawę, nie zrywając jednocześnie układu z Bogiem. Niestety, czasem nie istnieje pośrednie rozwiązanie i trzeba podjąć decyzję. Istniało jedynie „tak” lub „nie”, zmuszające do zajęcia stanowiska. Kobieta bała się jak wtedy, gdy nie ćwiczyła wprawek i wiedziała, że matka się rozgniewa. Najlepiej byłoby, gdyby ktoś bez porozumienia z nią wysłał obrazy na wystawę, bez jej zgody, bez jej winy. Wtedy mogłaby spokojnie cieszyć się z sukcesu, jednocześnie za nic nie ponosząc odpowiedzialności. „Że też Marek nigdy nie wpadł na to, żeby zrobić dla niej wystawę niespodziankę” - pomyślała o mężu ze złością. Ale przecież chowała przed nim płótna! Wszystko jedno, nigdy nie był zdolny do nadzwyczajnych gestów, nigdy nie wymyślił niczego, co by ją zachwycało. Najwyżej

przyniósł po pracy czekoladowe ciastka z kawiarenki za rogiem, które po rozwinięciu papieru okazywały się brązową mazią, albo wręczał jej kilka czerwonych róż na dowód ich miłości, a raczej aby przypomnieć czasy, kiedy miłość warta była podarowania kwiatów. Robert kupował Krystynie wyszukane upominki świadczące o dużej pomysłowości ofiarodawcy, ale nie miały one nic wspólnego z uczuciem. „Tak, Robert - zamyśliła się - może do niego wrócić?” Może on coś doradzi? Nie, to niemożliwe. Abstrahując od faktu, że ją haniebnie zdradził, malarka nie mogła znieść jego widoku, widoku jego nagiego ciała. Mężczyzna przyglądał się sobie w lustrze, kiedy myślał, że kobieta nie patrzy, delikatnie dotykał swego ciała, gładził się po brzuchu. Krystyna odebrała to jak autoerotyzm, obrzydliwy w jego wykonaniu, odrażający, bo Robert podczas tych czynności miał poczucie winy. Widać to było na jego twarzy.

Robert przyzwyczał się do ciełej miłości Beaty, łagodnej i nieprzeszkadzającej w życiu, ale też niewnoszącej do niego nic oprócz poczucia wygody i opieki. Wyznając jej prawdę, niejako powtórnie zdradził Krystynę, która znowu znalazła się w zbiorze osób i przedmiotów nieosiągalnych, co prawie automatycznie wywołało u poety dawną tęsknotę. Tęsknota odżywała podczas parzenia kawy, czy robienia sobie kanapek z żółtym serem, bo od niedawna Robert nie jadł mięsa. Przeszedł na wegetarianizm po odejściu Krystyny, choć nie wiadomo, jakie asocjacje łączyły malarkę z połciem świńskiego mięsa. Mężczyźnie nagle zrobiło się żal uśmier-

canych w sposób humanitarny zwierząt, o uśmiercaniu niehumanitarnym w ogóle nie chciał słyszeć. Smarował kromkę chleba grubą warstwą masła, pokrywał ją niepotrzebnymi kaloriami, które zaraz zostaną wchłonięte przez komórki tłuszczowe wokół brzucha. Robert przytył, ale był pewny akceptacji Beaty, nawet gdyby warstwa jego sadełka napęczniała o kolejne dziesięć centymetrów. W radiu był zespół rockowy z lat siedemdziesiątych, ogłuszał go, ale mężczyzna nie ściszał odbiornika, gdyż nie chciał przerywać smarowania kanapek - codziennego misterium, podczas którego myślał o Krystynie, o siostrze, układał w głowie strofy. Radio ryczało, aż wreszcie zniecierpliwiony Robert jednym zamasyzowanym ruchem wymusił na nim milczenie. Uderzenie było tak mocne, że nie wiadomo, czy urządzenie jeszcze się kiedyś odezwie. Jeżeli nie, to mężczyzna nazwie to złościwością przedmiotów martwych i wyrzuci je do kubła na śmieci. Znowu tęsknota, wspomnienie ostatnich chwil z Krystyną, ostatnia wspólnie zjedzona kolacja. Nóż ślizgał się po kromce, potem zbłądził w stronę obnażonego torsu poety, dotknął ciepłej skóry, dość widocznego meszku wokół pępka. Robert przycisnął rękę do brzucha. Ostrze zagłębiło się w fałdzie ciała, odcisnęło na nim czerwoną pręgę. Potem gwałtowne szarpnięcie połączone z krzykiem - nóż przebił skórę na brzuchu. Podobnie chyba musi wyglądać rozcinianie świni. W nacięciu pojawiły się krople krwi, wypływające coraz intensywniej jak bijące źródło. Robert pobiegł do łazienki. Co właściwie chciał zyskać bądź wyrazić, raniąc się, ale przecież nie śmiertelnie, bo na to zabrakło mu odwagi? Zaraz przyjdzie Beata i będzie się nad nim użalać - czy o to

chodziło? O nagrodę czy o karę za to, co zrobił dwa lata temu? Rana krwawiła coraz bardziej. Poeta słyszał klucz ze zgrzytem otwierający stary zamek w drzwiach.

Na murach szkoły rysowały się wydłużone cienie klonów; czubki drzew wyglądały jak rakiety przygotowane do startu. Główną bramą wypłynął barwny tłumek rozśmianych dziewcząt. Krystyna słuchała ich niezrozumiałych rozmów, które przypominały brzęczenie pszczoł w gorącym powietrzu. Nareszcie spośród rozwianych włosów, plecaków i deskorolek wyłoniła się trochę skrzycona w bok sylwetka Kamilki przedzierającej się przez świergoczący rój. Grupa uczniów przystanęła pod gablotką informującą o wszystkich wspaniałościach szkoły. Kobieta w napięciu wpatrywała się w córkę, jej wzrok wlepiony w dżinsową sukienkę towarzyszył dziewczynce aż po gablotę. Tam nerwowo ześlizgnął się na podłogę i zastygł w oczekiwaniu. Kamilka stała pośrodku innych dziewczynek, które zdawały się z nią rozmawiać. Zwykła rozmowa - ale to przecież niemożliwe, to pewnie tylko projekcja marzeń Krystyny, jej pobożne życzenie. Matka podeszła bliżej. Nie było wątpliwości, koleżanki gadały z Kamilką tak po prostu, jakby była ich najlepszą przyjaciółką, i wymieniały między sobą uśmiechy. Ich buzie jaśniały od słońca i radości. Wtedy Kamilka odwróciła twarz w stronę matki - nie było na niej strachu ani niepewności, był tylko spokój i zadowolenie. Krystyna wiedziała, że powinna pozdrowić szkolne koleżanki córki, do niedawna znęcające się nad jej dzieckiem, ale nagły histeryczny skurcz radości zdławił jej słowa. Kiwnęła

tylko głową i stanęła obok dziewczynek. Uraz do nich uleciał, bo w chwilach wzruszenia wszystko się wybacza. O bólu, jak o bólu porodowym, zapomina się, kiedy jest już po wszystkim. Kobietę uderzyła swoboda, z jaką Kamilka wypowiada całe długie zdanie, które jeszcze do niedawna pokroiłaby na części i wysepleniła powoli, opluwając przy tym brodę. Z niemym zdumieniem przeżywała cud, bo właśnie tak powinno się go doświadczać: w milczeniu i skupieniu. Ostrożnie, żeby się nie obudzić, rozejrzała się na boki, ale nic nie wskazywało na to, że śni. Obok Krystyny stali rodzice, dzieci - wszyscy jak najbardziej cieleśni, namacalni, śmiali się i rozmawiali. Odtąd malarka należała do nich, do grona swobodnie rozmawiających rodziców normalnego dziecka. Stała cicho, nie chciała spłoszyć magicznej chwili, pragnęła zaczekać, aż emocje się uleżą, aż widok tego, co dotąd było niemożliwe, stanie się zwyczajny. Zwyczajność okazała się radością. Krystyna miała ochotę upiec ciasto lub posprzątać mieszkanie, tak dokładnie i drobniawo, jak to robiła teściowa, z przekonaniem i bez narzekań. A więc tak wyglądała radość! Kobieta przypominała sobie podobne chwile z czasów przed urodzeniem córki, kiedy wszystko ją cieszyło tak jak teraz. Zwykłe spotkanie pod szkołą, rozmowa z innymi rodzicami, poczucie przynależności, akceptacja - malarka zrozumiała, że właśnie to jest źródłem szczęścia, przynajmniej dla niej. A więc zwyczajność może cieszyć, ale tylko gdy się doświadczy niezwykłości. Jeszcze kilka dni i Kamilka przyniesie do domu świadectwo. Matka wiedziała, że będzie lepsze od poprzedniego.

Sztuka zasadzała się na niedomówieniach, które odbiorca musi zinterpretować według własnego uznania i według wskazówek pozostawionych przez twórcę. Krystyna już od dawna zastanawiała się nad zmianą formy wyrazu, ponieważ jej obrazy były według niej skończone, zapięte na ostatni guzik, hermetycznie zamknięte i nie pozwalały na dopowiedzenia. Wciąż musiała coś zmieniać, niekoniecznie ulepszać. Nie wiedziała, jak odebrać pejzażom skończoną formę, która utrudniała wieloznaczną percepcję. Porosłe długą trawą łąki kryły zasadzki wodne, w które często wpadały po kolana, biegnąc z Emilią za psem leśniczego. Łąki na obrazie musiały chować takie same pułapki jak w rzeczywistości niewidoczne dla widza, ale przedstawione w taki sposób, że można się było ich spodziewać, którymś tam zmysłem rozpoznać czyhająca zasadzkę. Nie wolno ich bezpośrednio pokazać, ale odbiorca musi je wyczuwać. Krystyna przyjrzała się niedokończonemu obrazowi na konkurs, którego w obawie przed konfrontacją nie wysłała. Teraz miałyby więcej odwagi, teraz, kiedy nie wolno jej tego robić. Sylwetka kobiety na płótnie była celowo nieukończona, jakby do jej ciała mogły się jeszcze dostać cały ból i rozpacz świata, zanim malarz ostatnim pociągnięciem pędzla zamknie na zawsze jego kontury. Obraz był gładki, tak jak cała twórczość Krystyny, namalowany równymi pociągnięciami pędzla - to również wydało się jej zbyt banalne. Od pewnego czasu narzucała na jedno miejsce grubą warstwę farby, pod którą umieszczała trochę skręconej waty. Farba przykrywała watę, tworząc na płótnie wypukłość i ciekawy kontrast fakturalny. Dlatego do-

piero teraz przychodziły jej do głowy takie pomysły? Właśnie teraz, na przekór, złośliwie. Krystyna źle sypiała, często budziła się w nocy, płonąc dziwną gorączką, nie fizjologiczną, nie somatyczną, jej ciało trawiła tęsknota, gorączka pragnień. Osiągnąć coś niemożliwego, niedoścignętego! Radość z powodu zwyczajności powoli przysasała. Kobieta znowu pragnęła czegoś więcej niż tylko zwyczajności, coraz więcej surogatów szczęścia, skoro już prawdziwego zadowolenia nie można osiągnąć. Nigdy nie spocznie - każdy kolejny stopień, na który wejdzie, okaże się jedynie podstawą do następnego, a nie sukcesem. Krystyna nie potrafiła myśleć o niczym innym, jak tylko o bliskiej, prawie namacalnej karierze. Wystarczy wyciągnąć rękę, sięgnąć po laur, przeżyć atmosferę upojenia, nawet zaprzedać duszę. Ale dlaczego miałyby sprzedawać duszę? To, czego pragnie, jest takie normalne, ludzkie. Maluje coraz lepiej, jak na złość, chociaż na cholerę jej teraz nowa technika i genialne wizje? Wcześniej, kiedy mogła pokazać swoje obrazy, nie chciały wyjść z ram przeciętności.

Malarka postanowiła zrobić tylko jeden wernisaż, a potem - już po nasyceniu się rozkosznym uczuciem spełnienia - nigdy więcej nie wystawiać. W uszach znowu brzmiał głos Mefistofelesa, kuszący, zachęcający, a jednocześnie groźny, gdyby odrzuciła ofertę. Wystawa w Londynie - jak można z tego zrezygnować? Czarci głos wiedział o tym, nawet nie musiał perswadować. Tylko jedna wystawa, przecież to wcale nie tak duże wykroczenie przeciw umowie. Już zadecydowała - sortowała w myślach pejzaże, które mu pokaże, a on się nimi zachwyci, zobaczy w nich to, czego inni nie dostrzegli.

Ten jeden raz. Przyrzekła sobie, że będzie to jedyna i zarazem ostatnia wystawa, jakby pożegnanie z malarstwem. Więcej nie chciała ryzykować. Wtedy po raz pierwszy ręka Krystyny powędrowała w stronę barku, gdzie stała napoczęta już butelka wódki. Ruch dłoni nie był przemyślany, raczej instynktowny, bo właśnie tego w tej chwili potrzebowała. Zresztą miał to być niegodny uwagi wyjątek, fakt niewart odnotowania, o którym się szybko zapomina. Znowu potężny haust, przynoszący po kilku minutach ulgę, potem drugi, rozjaśniający umysł, i trzeci, po którym świat jak w rozbitym lustrze składał się ponownie w logiczną całość.

Większość mieszkańców wsi to postacie zasnute dymem, zakurzone, bez twarzy, bez wyraźnych rysów. Co trzeba zrobić, żeby przetrwać w cudzej pamięci? Co zostaje? Dobro czy zło? Mózg nastawia się jedynie na ekstremalność, na niezwykłość, odrzuca to, co przeciętne, tak jakby nie było godne zapamiętania. Krystyna przypomniała sobie jedynie uczucia, jakie towarzyszyły jej, kiedy przechodziła koło domu schowanego w głębi sadu. Nie pamiętała właściciela tego budynku, ale pamiętała nienawiść, jaką otaczali go mieszkańcy wsi. Nigdy jej nie interesowało, dlaczego tak się działo - tak musiało być, jakby nienawiść można było przekazać dziedzicznie. Skoro jedno pokolenie postępuje w określony sposób, to następne robi tak samo. Dzieci rodzą się z nienawiścią nabytą przez rodziców w ich życiu. Czyżby ta zapadła polska wieś dostarczała dowodu na istnienie epigenetyki? Ów człowiek popełnił kiedyś jakiś czyn, nikt już nie pa-

miętałjaki, ktoś inny zinterpretował to po swojemu i tak już zostało. Wszystko można przeinaczyć, każde niewinne zdanie da się przerobić tylko za pomocą intonacji i mimiki tak, że pierwotna intencja uleci. Mężczyzna drażnił innych swoją tajemniczością, a to, co tajemnicze, budzi ciekawość i strach. Co on tam robi całymi dniami w piwnicy? Pewnie nic dobrego, inaczej by się z tym nie krył. Wojna się skończyła, a on nadal tylko w piwnicy. Te niewiadome zajęcia samotnego człowieka intrygowały całą wieś. Domyślano się różnych niecných czynów, snuto krwawe scenariusze, ale nikt nie odważył się po prostu tam pójść i zajrzeć do środka. Czasem zwyczajne, proste rozwiązania przerastają ludzi, którzy wołają dalej tkwić w domysłach, zamiast działać. A może robią to celowo, żeby mieć temat do rozmowy, bo o czym by rozprawiali po mszy? Mężczyzna chodził zgięty w pół - bolał go kręgosłup, dlatego nie mógł bywać w kościele. Ludzie wiedzieli, że to wymówka - pewnie sam się tak urządził, żeby nie wypełniać niedzielного obowiązku. Zawsze stronił od innych. Postanowił sobie więcej się nie wyprostować, tak jak Oskar postanowił więcej nie rosnać. To proste.

Krystyna uświadomiła sobie, że szczęście unosi szczęśliwca, odrywa go od ziemi, jakby pokonało siłę grawitacji, ale jednocześnie wywołuje w człowieku poczucie zagrożenia. Nie ma nic gorszego niż stracić coś, co wydaje się szczytem marzeń. Szczęście bez ciągłego lęku o jego utratę, to nie szczęście. Nie można być tak po prostu bezmyślnie szczęśliwym i Krystyna nie była. W jej życiu wszystko układało się podejrzanie znakomicie, bez

przeszkód, które trzeba by pokonać, bez wysiłku, jaki należałoby włożyć w osiągnięcie sukcesu. Sukces przyszedł sam, nieproszony. Kobieta chciała tego szczęścia, dążyła do niego, nie zdając sobie sprawy, że na tym właśnie polega całe nieszczęście, na szczęściu. Krystyna filozofowała, żeby nabrać dystansu do problemu. Jeżeli kwestię ujmie się naukowo, automatycznie maleje napięcie. Jednak nic nie pomagało. Od tej pory malarki nie opuszczała łęk, pełzał za nią jak wierny cień od momentu, kiedy rano otwierała zaspane oczy. Kobieta odbierała codzienne sytuacje jako proroctwa nieszczęścia i niecierpliwie czekała, aż się spełnią, z wypiekami na twarzy i łomotaniem serca, tak jak się czeka na szczęście. Jeżeli chodzi o intensywność emocji, nie ma wielkiej różnicy. W końcu Krystyna nie wiedziała, czy to szczęście, czy też nie, oba uczucia były męczące. Nic się jednak nie działo, nic nie wskazywało na to, że Bóg ma zamiar ją ukarać. Dlaczego miałby ją karać za niedotrzymanie jakiejś tam umowy? Przecież nawet nie wiadomo, czy ją zaakceptował. Inni też się zarzekają, że nie będą czegoś robić, nawet ślubując w kościele i co? Nic. Jednak Krystyna straciła radość życia, tak jakby niewypełnienie przez nią zobowiązania zemściło się samoczynnie, bez udziału sił wyższych.

Wstała wcześniej, zanim świt zdążył rozjaśnić kontury mebli w mieszkaniu. Weszła do pokoju córki, cicho usiadła obok śpiącej dziewczyny i przyglądała się jej twarzy. Robiła to często, nie mogąc się nadziwić zmianom, jakie zaszły w wyglądzie Kamilki, od czasu kiedy przestała być dzieckiem. Rysy jej twarzy złagodniały, stały się miękkie, jedwabiste włosy skręcały się w jasne sprężynki wokół wąskiej buzi. Przemiana była zastana-

wiająca, chociaż nikt inny z rodziny jej nie zauważył i nie skomentował. Krystynie dziewczynka wydawała się piękna: córka, o jakiej zawsze marzyła, coraz bardziej podobna do matki. Rzeczywista czy wymaginowana? Może to tylko matczyne urojenie? Może Kamilka nadal jest niezgrabna, nieładna i bez polotu? Nie, córka wypiękniała, schudła. No tak, ale czy nie są to zwykłe przekształcenia związane z okresem dojrzewania dziewczynki? Wiadomo, że dziecko rośnie, więc szczupleje, twarz nie jest już tak owalna, zmienia się kształt nosa. A włosy? Zazwyczaj kierunek zmian jest odwrotny - z jasnych na ciemne. Krystyna pogładziła włosy córki, jasne, bez wątplenia blond. Czy można tak bezkarnie wycofać się z przyrzeczenia? Dlaczego Bóg jej nie ukarze? Czekala na to, na znak od Niego, na nieuchronną karę, która spadnie na nią, tylko nie wiadomo kiedy. Minęło już kilka tygodni przeżytych w strachu i napięciu, ale życie wciąż ofiarowało Krystynie tylko powodzenie, żadnych potknięć, nawet najmniejszych. Kobieta niecierpliwiła się, wolałaby mieć już za sobą to coś, bo nie było wiadomo, jakie ją spotka nieszczęście.

Wystawa w Londynie stała się faktem, organizowała się niejako niezależnie od udziału artystki. Wszystkim zajął się mężczyzna o tubalnym głosie, wprawiając w ruch machinę wpływów i powiązań ze światem sztuki. Może ją odwołać? Nie kusić losu, nie przeciągać struny, choć struna już dawno została przeciągnięta i jak dotąd nie pękła? Nie wiadomo, co się może wydarzyć, kiedy Krystyna na kilka dni opuści rodzinę. Może kiedy będzie

święcić triumfy przy lampce szampana, nagle zadzwoni telefon, odezwie się złowieszczy dźwięk. Tylko kiedy to nastąpi i co to będzie? Do nieszczęścia może dojść w dowolnej chwili, ale najbardziej pasowałby moment otwierania wystawy, kiedy wszyscy świętują, cieszą się, napięcie narasta i nagle następuje dramatyczne zakończenie. Ale przecież boskie plany nie mają nic wspólnego z operą mydlaną, z ludzkimi przewidywaniami, więc choćby Krystyna myślała tydzień, to i tak nie wpadnie na to, jaka kara i kiedy ją spotka. Kobieta wysłała swoje obrazy do Londynu trochę wcześniej, żeby organizator miał dużo czasu na przygotowanie wystawy. Gdyby nie nauka Kamilki, malarka z pewnością sama by się tym zajęła, zaplanowała wszystkie szczegóły, bo od tego jednego wieczoru zależeć będzie jej dalsza kariera. Do tej pory wszystko działo się jakby samoczynnie, bez większych starań z jej strony. Prywatny wernisaż, niewielki kawałek ściany użyczony przez znanego malarza, wąskie grono zwiedzających, bez reporterów, fleszów i rozgłosu. Wystawa w Londynie miała inny wymiar - w razie sukcesu umożliwiała to, co do tej pory było dla Krystyny niedostępne, w razie sukcesu...

Niestety żaden sukces nie zdoła wypędzić z umysłu malarki strachu, który ją dręczy od czasu, kiedy zerwała tę dziwną umowę. Kiedy będę szczęśliwa, kiedy zdobędę sławę, kiedy pogodzę się z mężem i kiedy Kamilka..., wtedy spadnie cios. Myśl ta wytrącała ją z równowagi - kobieta musiała wówczas szybko sięgnąć po butelkę whisky i pociągnąć z niej kilka głębszych łyków. To przynosiło jej ulgę: świat zmieniał barwy, łagodniał, słońce świeciło jaśniej, a dźwięki dobiegające z podwórka prze-

stawały być takie denerwujące. Życie stawało się łatwe do zniesienia, cienie za oknem blade i mgła zawisła na drzewach, jakby ktoś pokrył ich czubki wata cukrową. Słodko, pięknie, zachęcająco.

Może nie popełniać innych grzechów? Rozwiązanie było tak proste, że Krystyna zaskoczona własną pomysłowością wychyliła jeszcze jedną szklanekę. Co można ulepszyć? Pokochać teściową? Chwalić tego robota? Po tak wielkiej pozytywnej zmianie kobieta, poczułaby się lepiej i na kilka dni ustąpiłyby histeryczne napady strachu. Może tym czynem udobrucha Boga i nie dojdzie do wykonania wyroku? Ukołysała strach, zanim przerodził się w obłąd. Niestety nie wiedziała, na jak długo zdoła uspić wszystkie neurony i centra odpowiedzialne za taki stan umysłu. Najbardziej obawiała się obłądki, bo jeśli popadnie w ten stan, to prawdopodobnie nawet go sobie nie uświadomi. Zresztą nie była pewna, czyjej mózg już nie pogrążył się w chaosie wyładowań elektrycznych.

Krystyna wyszła na ulicę tonącą w głębokiej zieleni letniego poranka. Cisza wypełniona zapachem kwiatów odbijała odgłos jej kroków, niepewnych kierunku, tylko naprzód. Za rogiem mrgały światła otwartej drogerii zapraszającej pierwszych klientów. Sytuacja była niewygodna, za mało kupujących - oceniła kobieta - chociaż kilka osób buszowało już między regałami. Przed nią stały rzędem perfumy, te średniej klasy, niezamknięte za szkłem, niechronione przed pożądaniem drobnych złodziejasków. Krystyna jednym sprawnym ruchem chwyciła małą buteleczkę, pierwszą z brzegu, bez sprawdzania ukrytego w nim zapachu, i szybko, choć trochę niezgrabnie wrzuciła ją do torebki. Nikt nie zauważył. Kolejne

perfumy do kolekcji, nie wiadomo po co, bo Krystyna ich nie używała. Miały ją cieszyć. Kobieta potrzebowała adrenaliny, żeby po wszystkim ochłonać, odpocząć po stresie, na krótko zapomnieć o prawdziwym problemie. Musiała jakoś zwiększyć napięcie, żeby później przejść do normalnego stanu, który właściwie też cechował się nadmiernym podenerwowaniem. Cholera, znowu jeden z grzechów śmiertelnych! Znowu przeholowała!

Robert schował się w ciasnej przestrzeni swojej sypialni, w której nieprzypadkowo dominował kolor zielony. Zieleń miała uspokajać, wyciszać, łagodzić fale nieugaszonego gniewu na wszystkie wydawnictwa literackie w kraju. Gdyby mógł, zgładziłby wszystkich członków Związku Literatów, całe kolegium redakcyjne znienawidzonych wydawnictw i tych wszystkich, którzy kupują głupawe książki napisane dla gospodyń domowych. Tylko pewnie na miejsce tych zlikwidowanych przyszliby inni, również zaprawieni w sztuce zdobywania czytelnika. Z drugiej strony, czy gospodyni domowa to nie człowiek? Też jej się coś należy! Nadal jednak, będąc w kraju, Robert nie mógł oderwać wzroku od ludzi kupujących książki. Weszło mu to w krew, stało się jego obsesją. Kiedy ktoś wybierał w księgarni niezbyt ambitną pozycję, mężczyzna wbijał w niego wzrok bazyliuszka, przeszywał nim jego głowę, dokonywał błyskawicznej mentalnej trepanacji czaszki, jakby szukając przyczyn chybionej decyzji czytelniczej. Następnie ruszał między regały z poezją. Tu przeżywał kolejne dramaty, przerzucając stopy bezwartościowej, według niego, poezji, to-

miki pełne absurdu, literackie śmieci. Z czasem Robert zarzucił wyjazdy do Polski, bo zbyt go frustrowały. Wpadał po nich w czarną dziurę rozpacz, skąd, jak wiadomo, nie ma wyjścia ze względu na duże przyciąganie. W kanciapie brakowało już miejsca, śmierdziało z powodu braku świeżego powietrza. Ubrania przeszły zapachem farby drukarskiej, który przyprawiał Roberta o mdłości. Robiło mu się niedobrze, kiedy patrzył na swoją twórczość, którą nadal uważał za wspaniałą i godną nagród.

Usiadł przy małym stoliku, na którym leżały jego rozrzucone w nieładzie wiersze, zagubione w chaosie kartek słowa, które chciał przekazać potomnym, bo współczesnym nie zdołał. Sięgnął po jeden z utworów i zatopił się we własnych myślach rozsianych po kratkowanym papierze. „Dlaczego nikt nie chce kupować mojej poezji?” - mężczyzną dręczyło wciąż to samo pytanie, uporczywie tkwiące w jego świadomości, podświadomości, w całym jego jestestwie. Pytanie to przeorało już jego duszę, pocięło na kawałki wszystkie warstwy jego mózgu, ale jak dotąd nie znalazł na nie odpowiedzi. Te wiersze są genialne. Może właśnie dlatego trudno je sprzedać! Zawsze lepiej uznać własną twórczość za wspaniałą, niż za gniot. Myśl o własnym geniuszu otrzeźwiła Roberta, była jak piorun, który wypalił wszystkie poprzednie. Teraz wszystko było jasne. Nareszcie nadał imię temu, co od dawna krążyło po jego głowie. Powtarzał ten refren, upajając się słowami i choć na krótko odzyskując w ten sposób wiarę w swój talent. Kołysał się w jego rytm, a w lustrze zawieszonym na ścianie pojawiała się i zniknęła jego twarz. Rana po cięciu już się wygoiła, ale Robert nie powiedział w tej sprawie ostatniego zdania.

Kiedy był sam, brał do ręki nóż i ostrożnie trzymał jego rękojeść, jakby była z drogiego kruszcu. Tylko jak to wytłumaczy, znowu wypadek? Nikt nie uwierzy.

O co ma prosić Boga? Chyba już o nic. Krystyna dostała wszystko, nawet to, co się jej nie należało, czego nie było w umowie. Może Go przeprosić? A niech się wreszcie coś stanie! Lepsze to niż ciągłe napięcie i strach. Dlaczego nic się nie dzieje? Obawę przed karą znosiła gorzej niż samą karę. Jak pomniejszyć winę? A może przestać histeryzować, bo przecież nic się nie wydarzyło i pewnie nie wydarzy. Było podejrzenie dobrze, niewiarygodnie spokojnie. Kobieta sięgnęła po butelkę i pociągnęła kilka głębszych łyków. Od dawna przestała nalewać wino do kieliszków. Teraz będzie jeszcze lepiej.

Światła katedry oślepiły Krystynę, ale nie mogła odwrócić od nich oczu, przyciągały ją jak magnes. Chciała być gdzieś daleko, nie wiadomo gdzie, ale nie tu. Rano przyjrzała się córce - wyglądała na chorą: miała bladą twarz, ściągnięte brwi i spuchnięte powieki. Krystyna zamarła ze strachu. Gapiła się tępo na Kamilkę. „To tylko lekkie przeziębienie” - powiedziała dziewczynka, ze spokojem spakowała śniadanie i zarzuciła sobie plecak na jedno ramię. „Uważaj na siebie - mamrotała matka jak zakłęcie. - Nie siedź za długo w bibliotece, unikaj przewiewów”. W głowie kobiety natychmiast powstała tasiełkowa lista zagrożeń i odpowiednich ostrzeżeń umożliwiających uniknięcie katastrofy. Krystyna spędzała wszystkie wolne chwile na rozważaniu możliwych scenariuszy tragedii. Podzieliła bliskie sobie osoby we-

dług intensywności uczuć, jakimi je darzyła. Wysokie pozycje na liście zajmowali Kamilka, mąż i Emilia, potem reszta rodziny. Nawet pies miał swoje miejsce w sercu Krystyny. Jeżeli Bóg miałby ją ukarać, to z pewnością uderzy w najdroższe jej osoby. Siebie w roli bezpośredniej ofiary nie przewidywała. Wiadomo, że cierpienie bliskich boli bardziej niż własne. Malarka była o tym przekonana, ale też zdawała sobie sprawę z tego, że jej sposób rozumowania jest typowo ludzki. Znowu chciała się napić, ale mąż wszedł do pokoju. Nie pierwszy raz zauważył, że od żony czuć alkohol, ale nie śmiał poruszać tego tematu. Jeszcze poczeka. Krystyna zorientowała się, że Marek wie, dlatego też sama zaczęła rozmowę o problemie. Kieliszek wina miał poprawić jej apetyt, bo rzeczywiście ostatnio schudła. Nie wiedziała, czy mąż uznał to wytłumaczenie za wystarczające, ale pokiwał ze zrozumieniem głową, jak to robił zawsze, kiedy Krystyna go o czymś przekonywała.

Nie ma mowy o zwyczajności, która kiedyś była dla Krystyny niedościgłym marzeniem. Jak to się dzieje, że ludzie jedzą, przetwarzają materię na energię, wydalają resztki w postaci kupy i są szczęśliwi? Po drodze jeszcze spełniają różne ważne obowiązki, rozmnażają się, żeby ich potomstwo mogło robić to samo. Że też nikt nie wpadnie na to, że to nie ma sensu! Albo inaczej - ma sens tylko w przypadku wierzących. Krystyna obserwowała ludzi na przystankach autobusowych, na peronach metra, na balkonach i na skrawku plaży nad Dunajem. Na twarzach wszystkich malował się ten sam wyraz akceptacji

albo niewiedzy, nikt nie wydawał się przerażony koniecznością życia. Krystyna weszła do eleganckiego salonu fryzjerskiego, gdzie samo obcięcie włosów nabiera innego wymiaru, nobilituje. Kobieta czuje się wybranką, bo fryzjer zachowuje się tak, jakby pracował tylko dla niej. Pieniądz zmienia zewnętrzną powłokę człowieka, ugładza go, uczy mówić miłe wspaniałe zdania, których bez forsy nigdy by nie wypowiedział. Powstaje świat iluzji. Kobieta na fotelu przed dużym owalnym lustrem patrzyła na swoje odbicie z pewnością osoby, która wie, co robi. Nalana twarz o krótkim nosie, zbyt łukowatych ustach i tłustym podbródku za godzinę wyładnieje dzięki nowej fryzurze - tego była pewna. Nawet brzydkiej buzi właściwe uczesanie może nadać miękkości, podnieść przynajmniej optycznie obwisłą skórę. Wszystko dla urody, żeby wyglądać lepiej, młodziej, seksowniej, przyprowadzić o zawrót głowy! Nikt nie zaakceptował skutków grzechu pierworodnego - konieczności starzenia się. Powrotu do rajy nie ma, ale można chociaż podreperować zewnętrzną powłokę, utrzymać w estetycznym przedziale, jak długo się da. Wycinać, odsysać, sztukować, naddawać, wybrzuszać i podnosić - wszystko po to, żeby chwilę dłużej pobyc w świecie młodych. Nawet ci wierzący, którzy powinni być zadowoleni z powierzchowności danej im od Boga, próbują ulepszyć Jego dzieło, poprawić niedociągnięcia, jakby byli stworzeni nie przez Boga, lecz przez naturę. Takim zachowaniem zaprzeczają sami sobie. Niektórych grzechów Bóg w dekalogu nie przewidział, więc nie zabronił. Co powiedziałyby o labioplastyce? Wyzwolenie oznacza, że można zrobić z ciałem wszystko, trudniej zmienić głębię, ale kto teraz ma

głębie? Krystyna usiadła w fotelu trochę spięta, bo jeszcze nigdy nie była w takim salonie fryzjerskim, lecz sława, bywanie wśród ludzi wymaga dobrego wyglądu. Spojrzała w lustro. Musi jutro kupić maść przeciw hemoroidom. Nie dlatego, że dręczyła ją ta dolegliwość, broń Boże. Musi zlikwidować worki pod oczami, bo wygląda na zmęczoną i niewyspaną.

Zwyczajność nie satysfakcjonowała Krystyny. Znowu wszystkiego było za mało. To, co spełnione, nie wystarczało, kobieta szukała czegoś na wyrost. Powinna się cieszyć ze wszystkich zmian, na tym poprzestać, ale nie, ciągle parła do przodu. Nawet lepsze stosunki z mężem nie przyniosły malarce pełnego zadowolenia, wciąż czegoś jej brakowało.

Tuż przed wyjazdem do Londynu Krystyna spotkała jednonogiego sąsiada. Jego twarz była pusta, jakby zamiast oczu miał tylko oczodoły, a ze ściągniętych ust nie wydobywało się żadne słowo, nawet pozdrowienia. Gdy stracił nogę, opuściła go żona i nie był to zwykły zbieg okoliczności. Wiedział o tym doskonale, i dlatego często wyładowywał złość na protezie, waląc nią ze złością o podłogę. Proteza odpowiadała głuchym dźwiękiem, raniła delikatny parkiet z wiśniowego drewna i powoli od tych uderzeń traciła pierwotny kształt. Na zewnątrz wszystko wyglądało poprawnie, żeby nikt nie domyślił się tragedii. Przed całkowitym obnażeniem chronił mężczyznę wstyd człowieka opuszczonego, nikomu niepotrzebego, nieprzydatnego. Postukiwanie protezą było jak wołanie o pomoc, jak wyładowanie napięcia, pozby-

cie się żalu i lęku. „Dlaczego żona odeszła?” - zastanawiał się sąsiad, Krystyna także. Czyżby znowu estetyka wpłynęła na zmianę uczuć, bo kocha się to, co ładne, i chociaż „ładne” to pojęcie względne, proteza zamiast nogi nikomu nie może wydać się imponująca, piękna i seksowna. Drewno, tworzywo syntetyczne najlepszej jakości, czy najwspanialsze technologie nie zastąpią prawdziwej nogi, nawet krzywej i z żyłakami, jak to było w przypadku sąsiada, którego malarka nieraz widywała w krótkich spodenkach. Noga to jednak noga, jakakolwiek by nie była. Ale sprawa odjęcia kończyny jest bardziej złożona i nie sprowadza się jedynie do utraty części ciała, jest to również uszczerbek na osobowości. Krystyna wyobrażała sobie okrojoną duszę mężczyzny, która opłakiwała brakującą część ciała, bo wbrew pozorom dusza chętnie łączy się z ciałem.

Może to sąsiad spowodował odejście żony, miłej grubawej kobietki, zawsze schludnie ubranej jak angielska królowa matka w niezgrabne kostiumiki, kapelusiki i torebeczki pod kolor. Czyżby zrobił się zbyt natrętny ze swoją miłością, jakby chciał sprawdzić, czy jeszcze oddziałuje na żonę w sferze seksualnej? A może zupełnie się wycofał z życia i nie pozwolił się nawet objąć, bo wszystkie uczucia okazywane przez żonę brał za litość? Z pewnością jedna z tych skrajności przyczyniła się do rozstania żytej dotąd pary, beznamiętnej przeciętnej i poprawnej. Może mężczyzna stał się agresywny i w zacietrzewieniu kopnął kobietę protezą, czego nie mogła mu darować? Sąsiad wysiadł z windy i burknął coś pod nosem. Krystyna miała wrażenie, że chciałby przestać istnieć, ale na śmierć go nie stać.

Tłum ludzi przesuwiał się przez galerię, wyciągając szyje i zadzierając wysoko głowy. Krystynie zdawało się, że słyszy pochwalne szepty i widzi pełne aprobaty nieznaczne skrzywienie głów. Stała z boku i uważnie badała reakcje znawców sztuki, których uznanie chłonęła, a których znawstwo było przereklamowane. Kpiła z nich, ale pragnęła ich aprobaty, bo inaczej nie miała szansy na artystyczny wzlot. Krytycy przyglądali się obrazom, choć właściwie z góry wiedzieli, że napiszą o nich pozytywnie, bo malarka została polecona przez człowieka o tubalnym głosie. Każdy twórca potrzebował kogoś, kto pozwoli mu się odbić, kto stanie się dlań artystyczną trampoliną. Wystarczy, że wpływowa osoba powie jedno słowo, a mniej wpływowa zaraz je pochwyti, potem kolejni, jeszcze mniej wpływowi wszystkiemu przytakną i już rodzi się nowa gwiazda. Znaney potwierdzą sukces artysty, bo jeżeli autorytet wypowiedział się pozytywnie, nie można tego negować. Jesteśmy społeczeństwem autorytetów. Wystarczy znaleźć poparcie wpływowej osoby i można wypromować każdy szajs. Wszystko da się wyjaśnić: każdą nieudolność można uznać za nowatorstwo, kicz wziąć za celowe działanie, prowokację artystyczną, płaski rysunek tłumaczyć jako nowe spojrzenie na światłocień i linię, a wszystko traktować jako protest przeciwko dotychczasowym kanonom. Krystyna wiedziała, że nawet rzeźba w ludzkim kale przy odpowiedniej promocji zdobyłaby uznanie jako rzecz bardzo nowatorska. Poperfumowaną twórczość można by wystawić w najlepszej galerii i z pewnością

miałyby swoich zwolenników, bo człowiek jest po prostu głupi - stwierdziła malarka, popijając szampana. Sława zdawała się spacerować wśród pejzaży, była na wyciągnięcie ręki, bo wystawa bez wątpienia się podobała i Krystyna zbierała zewsząd pochwalne spojrzenia, ciepłe i pełne aprobaty. Jednak stała w rogu sali zmrożona, sztywna, trochę nieobecna. Przytłaczał ją natłok myśli, tyle ich było, a wszystkie złośliwe. Oficjalne otwarcie wernisażu i krótkie przemówienie kosztowały kobietę niemało wysiłku. Wyglądała na zażenowaną i większość zwiedzających za taką ją uznała, ale Krystyną targały zupełnie inne uczucia. Po fazie złośliwych myśli o głupocie krytyków i odbiorców przyszedł strach przed tym, co może nastąpić po wystawie. Sięgnęła po następny kieliszek szampana. Próbowwała alkoholem złagodzić lęk, który nie opuszczał jej, od kiedy powzięła myśl o pokazaniu komuś obrazów. Dlaczego człowiek o tubalnym głosie tak się nimi zainteresował? Nakręcał spiralę sławy, wywindował płótna Krystyny do poziomu ambitnych dzieł, bo jak się chce, to zawsze można znaleźć w każdym obrazie coś ponadprzeciętnego. Artystka myślała nawet, że ten wpływowy mężczyzna jest twórcą jej obrazów, bo zrobił z nich to, co sobie wyobraził, i wszyscy przytaknęli. Nie pragnął nic w zamian i to dziwiło Krystynę. Mógłby przynajmniej chcieć pójść z nią do łóżka, byłoby to bardziej ludzkie. Lecz on był zimny, rzeczowy i konkretny. Może kiedyś zażąda czegoś w rewanżu? Krystyna nic o nim nie wiedziała oprócz tego, co wyczytała w gazetach. Nawet nie pamiętała, na którym wernisażu wcisnęła mu do ręki swoją wizytówkę, ale mężczyzna nie okazał zainteresowania.

Kobieta czuła, że musi wyjść na zewnątrz, rozprawić się ze strachem, który tarł jej wnętrzności i dusił za gardło, ale nie wypadało opuszczać sali. Poddała się normom, uległa jak zawsze i została na swoim miejscu, uśmiechając się uprzejmie i kiwając głową. Machinalnie, nie czując smaku, łykała szampana, coraz więcej i coraz szybciej, jak spragniony na pustyni. Drapieżna Erynia szczyrzyła zęby, jej cielsko zawieszona na ogromnych skrzydłach zdawało się ulatywać z płótna. Może właśnie w tej chwili Kamilka leży ranna na ulicy, a z jej czaszki pękniętej jak owoc kokosu wysącza się galaretowata masa. „Muszę zadzwonić. Tak mi przykro - szepnęła Krystyna - tak mi przykro, muszę wyjść!” Mówiła coraz głośniej. Narastała złość, że nie robią jej miejsca, zawadzają. Kobieta przepychała się przez tłum zwiedzających, zdziwionych jej agresywnością, zniecierpliwionymi ruchami rąk. Na korytarzu szybko wyłowiła z torebki telefon. Podrygiwała, nie mogąc ustać spokojnie w jednym miejscu. Kiedy wreszcie usłyszała głos Kamilki, cały strach natychmiast ją opuścił. Odszedł nagle, pozostawiając Krystynę samą, drżącą w ciasnym korytarzu galerii. Wszystko w porządku! Ale tylko w tej chwili. Kiedy głos Kamilki zamilkł, matką znowu zawładnął strach. Teraz wszystko jest w porządku, ale w tej samej chwili, kiedy Krystyna spokojnie sobie stoi, a policzki płonącej z zadowolenia, mogło się coś wydarzyć. Człowiek jest pewny tylko tego momentu, który obecnie przeżywa. Kobieta chciała jeszcze raz zadzwonić do córki, by upewnić się, że nic jej nie jest, ale zdała sobie sprawę, że po skończeniu kolejnej rozmowy strach powróci. Strach stał się częścią życia malarki, towarzyszył każdej jej myśli, za-

kradał się do podświadomości, był nawet wtedy, gdy zdawało jej się, że odszedł.

Krystyna usiadła na balkonie i po przeciwnej stronie dojrzała samotną sylwetkę staruszki. Wydało jej się to dziwne, bo zawsze widywała małżeństwo razem. Odczekała jeszcze pół godziny, ale staruszek nie pojawił się. Stara kobieta usiadła na stołku. Kocem przykryła sobie nogi tak samo dokładnie, jak okrywała nogi męża. Siedziała z nieruchomą twarzą zastygłą w nieokreślonym wyrazie i Krystyna od razu wiedziała, że dziadek już nie przyjdzie. Właściwie nie powinno jej wzruszać cudze nieszczęście, a jednak tak się stało. Tragedia obcych ludzi na ogół nie robiła na malarce większego wrażenia - najwyżej zastanowiła się przez chwilę i dziękowała Bogu, że to jej nie dotyczy. Niepowodzenia innych nie dołują nas, lecz podbudowują, uskrzydłają; czasem tylko ktoś się zamysli, na krótko, bo już inna tragedia przelicytuje tę poprzednią. Jak to dobrze, że to nie ja! Mnie się powiodło, innym nie! Pochylone plecy staruszki wyrażały pokorę, której malarka tak nie znosiła, zgodę na wszystko, co przyniesie życie, a życie zawsze przynosi śmierć. Trzeba nieść swój krzyż z pokorą, zdawały się mówić bezzębne usta przywykłe do odmawiania modlitw, bo tak chce Bóg. Bóg dał, potem zabrał i wszystko jest w porządku, trzeba się z tym pogodzić. Dlaczego, do cholery, ze wszystkim należy się godzić? Krystyna spojrzała na prawie opróżnioną butelkę schowaną za doniczką z cyprysem. Walczyła ze sobą, żeby nie przynieść sobie kolejnej. W końcu zrezygnowała - na dzisiaj musi wystarczyć.

Wstała i poszła po szkicownik, bo zapragnęła utrwalić chwilę wzruszenia pomieszanego z alkoholowym żalem. Żuła gumę w nadziei, że Marek nie wyczuje, że piła, ale wiedziała, że to niemożliwe. Każdy, kto nadużywa alkoholu, wmawia sobie, że inni tego nie zauważą. To nie dotyczyło Krystyny - ona miała na tyle świadomości, żeby znaleźć wytłumaczenie dla odoru buchającego z jej ust o każdej porze dnia. Kamilka też go wyczuła i to zabołało kobietę najbardziej, bo w spojrzeniu córki widziała niemy wyrzut. Przecież dziecko nie może wiedzieć, że to strach o nie skłania matkę do picia. Jednak jest wyjście. Wystarczy zrezygnować z dalszej promocji obrazów i odnaleźć spokój w cichych popołudniach, w niedzielnym nicnierobieniu w ogródku. Ale już człowiek o tubalnym głosie zapowiedział kolejną wystawę. Jak się temu oprzeć? Łyk dzinu; chyba nie wystarczy tej błyszczącej cieczy, za mało. Przecież to już obojętne, ile wypije - po jednym kieliszku śmierdzi się tak samo jak po kilku, a chodziło jedynie o zewnętrzne przejawy nadużywania alkoholu, o to, żeby jak najdłużej ukryć picie przed światem i przed sobą.

On, poeta w pełni ukształtowany, twórca magicznych tekstów, miałby wziąć udział w jakimś spotkaniu w domu kultury na przedmieściach Wrocławia! Nie, naprawdę trzeba się cenić! Pomysł Beaty wydał mu się tak absurdalny, że jeszcze długo potem nie mógł uspokoić myśli szybujących w histerycznym nieładzie po jego głowie. To tak, jakby odwrócić naturalny porządek rzeczy: atakować nie z góry, lecz od dołu to, na co można napaść

tylko z góry, przedzierać się małymi kroczkami do przodu, kiedy ma się na nogach siedmiomilowe buty. Ta dziwna oferta mogła wyjść jedynie z koralowych ust Beaty, pięknych, lecz często mówiących nonsensy. Biedaczka natrudziła się, żeby załatwić dla niego to spotkanie, które było tyle obraźliwe, co niedorzeczne. Zaaranżowanie tego niefortunnego, nie do końca przemyślanego przedsięwzięcia mogło świadczyć jedynie ojej chęci pomocy i nieudolnej próbie służenia mu radą. Chybiona próba menadżerska okazała się zderzeniem twórczego umysłu z umysłem rzemieślniczym. Robert jako człowiek wielkoduszny wybaczył Beacie, bo nie wiedziała, co czyni. Dużo łatwiej przeszedł do porządku dziennego nad tą pozał się Boże przysługą, niż wtedy nad zachowaniem Krystyny, która z pełną świadomością czytała jego wiersze, siedząc na muszli klozetowej. Rozgrzeszył Beatę, bo chroniła ją niewiedza, natomiast malarzkę potępił za premedytację. Można było od niej wymagać dużo więcej, przecież jako artystka doskonale wiedziała, czym jest dla autora jego tekst. Robert podszedł do lustra. Ze złością pocierał brzuch, ugniatał jak ciasto, bo niestety znowu utworzyła się na nim spora warstwa tłuszczu. Im intensywniej myślał o propozycji Beaty, tym mocniej pocierał skórę. Jej słowa bolały go bardziej niż naciskane tkanki, do tego dołączył strach, że kochanka go nie ceni. Beata musi go wielbić, pokornie mu służyć, bo na tej zasadzie funkcjonuje w ich związku, od początku ma przypisaną rolę, więc niech jej nie zmienia!

Pewnego ciepłego poranka Krystynę obudziła groźna w swoich skutkach myśl, że Bóg stworzył jedynie pan-

tofelka albo, co gorsza, cyjanobakterie, a nie człowieka. Tchnął życie w najprostsze z organizmów i dalej nie miał już na nie wpływu, stąd niedoskonałość ciała i duszy ludzkiej. Paskudny pomysł! Najlepiej od razu wypluć i wypłukać zęby. Że też się do człowieka przyplącze taka głupia myśl, jak piosenka zasłyszana z sąsiedniego balkonu, która już do końca dnia nie chce się odzepić. Powtarza się ją, choćby była najgłupszą z możliwych, choćby się śpiewającemu wcale nie podobała. Krystyna nie chciała myśleć w taki sposób, ale można jedynie zabronić ustom mówić, na myśli nie ma się takiego wpływu. W oparach dżinu z tonikiem Mitochondrialna Ewa walczyła z Rajską Ewą o imię pramatki ludzkości. Która zwycięży? Ewa czy może wcześniejsza Lilith - uosobienie samowoli, pierwsza rajska emancypantka? A może jednak czarny małpiszon na afrykańskim lądzie zapoczątkował ród pięknych kobiet? Zwątpienie rodziło się powoli, kiełkowało jak maleńkie ziarenka, które początkowo niewidoczne, rozrastają się w potężne pnącze, spowijające wszystko dookoła, zaciemniające i ograniczające dostęp światła. Pnącze zagłusza inne myśli, te uduchowione, urodzone jeszcze w czasie niewzruszonej wiary. Krystyna przyglądała się Kamilce, która z nieodgadnionym wyrazem twarzy siedziała na brzegu studni, nadal niezasypanej, ale już niegroźnej. Dlaczego Krystyna pozostawiła tę studnię? Jako znak, symbol, pamiątkę po tamtym wydarzeniu sprzed kilku lat. Z czasem, jak Kamilka dorastała, studnia nabierała innej wymowy, straciła swój bezsens, który wcześniej skłaniał Marka do jej unicestwienia. Zasypać, żeby powtórnie nie wydarzyła się tragedia. Ale takie tragedie nie zdarzają się ponownie.

„Nikt nie wpada dwa razy do tej samej studni” - tłumaczyła Krystyna Markowi. Przyjął to zdanie jako próbę filozofowania i oburzył się, bo jak można filozofować na temat takiego nieszczęścia. Ale studni nie zasypał. Teraz Kamilka siedziała na jej brzegu. Należała do tej studni, a studnia do niej. Malarka za nic w świecie nie unices-twiłaby tego dołu o silnym symbolicznym znaczeniu. Mąż skubał chwasty, pochylony, wytrwały w pracy, a kobieta ukradkiem popijała dzin, stojąc w oknie domku. Czuła się taka bezsilna, tak słaba i podatna na zranienia duszy. To miłość sprawia, że straciła moc i odporność, nagle stała się rozmemłaną słabą kobietą, zastraszoną i zalęknioną o swoje dziecko. Chciała pokochać córkę, ale żeby aż taką cenę płacić za miłość? To tak, jakby wystawić się na wszystkie żywioły i czekać. Jeśli nie spłoniesz, to się utopisz, udusisz albo cię zakopią. To ostatnie było najpewniejsze.

Wystawa w Londynie była całkowitym sukcesem, zebrała wspaniałe recenzje, napędzane przez człowieka o tubalnym głosie. Jednak Krystyna nie czuła się szczęśliwa. Razem z popularnością rósł jej strach. Każda pochwała odbierała jej swobodny oddech, a każde zamówienie na obraz wprawiało ją w histerię. Znowu dzin z tonikiem - nawet zaczął malarce smakować, tylko nie radziła sobie z pędzlem, który wymykał się ze spoczonej ręki albo, co gorsza, ukrywał przed jej zmętniałym wzrokiem. Zresztą wszystkie przedmioty stawały się dziwnie złośliwe i Krystyna nie miała już nad nimi władzy. Żyły własnym życiem, niezależnym od ich właścicielki. Obierały tylko sobie znane schowki, aby ukryć

się przed kobietą, kiedy ich szukała. Ta złośliwość przedmiotów martwych denerwowała ją najbardziej, bo nie potrafiła sobie wytłumaczyć dynamiki materii nieożywionej, z założenia nieruchomej. Nowe obrazy powstawały jak w transie, tak jakby Krystyna nie chciała się przyznać do ich autorstwa, tak jakby proces twórczy odbywał się poza jej zmysłami. Kiedy odkładała pędzel, szła szybko do kuchni i korzystając z nieobecności teściowej, rzucała się na zawartość lodówki.

Krystyna jadła na zapas w obawie, że kiedy wydarzy się tragedia, wtedy już w ogóle nie będzie mogła niczego przełknąć. Pochłaniała więc ogromne porcje jedzenia i czekała na to, co ma nastąpić. Jak dotąd jednak nic się nie wydarzyło i kobieta zaczęła tracić cierpliwość, bo odwlekanie tego, co nieuniknione, było dla niej źródłem dodatkowych przykrości. Porcje, jakie w siebie wciskała, zwiększały się wprost proporcjonalnie do wciąż rosnącego cierpienia. Wyobrażała sobie chwilę, kiedy nastąpi tragedia. Wtedy zacznie się dla Krystyny trudny okres, więc lepiej się najeść, dopóki to jeszcze możliwe, zrobić sobie zapas z tkanki tłuszczowej, bo jak się wydarzy nieszczęście, to oczywiście koniec zjedzeniem. Malarka cierpiała potem długo, zanim jej udręczony żołądek nie rozprawił się ze zbyt obfitym posiłkiem. Strach przed niejedzeniem był jeszcze większy niż strach przed jedzeniem, więc kiedy tylko pozwalały jej na to warunki, wpychała w siebie dodatkowe porcje, na wszelki wypadek. Tylko na jaki? Już zapominała, dlaczego tak cierpi, ważne było samo cierpienie.

Majowy dzień, kwitnące kasztany i ciepło nadchodzącego lata wywołały u Krystyny nieprzyjemne skurcze żołądka. Znowu przypomniała jej się przyczyna tego strachu. Chyba nie będzie żadnej kary. Już tyle czasu upłynęło i nic się nie wydarzyło. To śmieszne tak się zadreć! Kobieta chwilowo zapanowała nad lękiem, lecz już nie potrafiła być szczęśliwa. Trzeba z kimś porozmawiać, najlepiej z Emilką, ale to przecież rozmowa nie na telefon. Czekała, aż się spotkają. Czemu to tak długo trwa? Czemu Emilka nie przyjedzie natychmiast? Może malarka powinna pomówić z Robertem? Musiałaby mu wyznać całą prawdę, ale zawsze czuła rezerwę, chłód z jego strony, kiedy rozmawiali o jej córce. Może nie lubił dzieci, może sam miał niezbyt udane dzieciństwo i nikt nie nauczył go kochać. Nigdy o tym nie wspominał. Krystyna chciała sobie udowodnić, że Robert stał się jej obojętny, więc nie unikała z nim kontaktów. Przeciwnie, traktowała go jak dobrego kumpla i starała się zachowywać w jego obecności zupełnie naturalnie.

Na stole leżały gazety z recenzjami jej kolejnych wystaw. Kusiły pochlebstwami, którymi mogła się do woli upajać, bo coraz więcej znawców sztuki interesowało się jej pracami. Dlaczego właśnie teraz? Przecież chciała zrezygnować, a nadal brnęła naprzód, tak jakby weszła do tunelu, z którego nie było sensu się wycofywać, bo już widać drugi koniec. Krystyna odczuwała tę dziwną sytuację jak rodzaj kuszenia, jakby jakaś tajemnicza siła popychała ją do podjęcia decyzji o kolejnych wernisażach. Musi wybrać, bo nie może tak dłużej żyć pomiędzy „tak” i „nie”, udawać, że nic nie robi, a jednocześnie dalej to czynić. Musi zrezygnować i odzyskać spokój, po-

czucie spełnionego obowiązku, przestać myśleć o sławie. Ale sława i powodzenie działają jak narkotyk, ciepłe uczucie bycia podziwianym uwalnia duże ilości dopaminy, której człowiek pragnie coraz więcej. Może ośrodek nagradzania w mózgu Krystyny został uszkodzony, bo malarka od rana ciągle myślała o nagrodzie, ale wiedziała, że oprócz nagrody może ją spotkać kara. Trzeba przechylić szalę na jedną ze stron, nie można dłużej balansować, bo zachowanie równowagi było niemożliwe.

Krystyna nie pamiętała już, kiedy sobie uświadomiła istnienie własnych odchodów. Miała wtedy może półtora roku i z zaciekawieniem oglądała swoją pieluchę, która zsunęła się jej z bioder. W jej mokrym wnętrzu ujrzała wówczas brązową maź, która ją zainteresowała. Czuła, że to coś obrzydliwego, choć nikt tak tego nie nazwał. Odtąd zawsze produkty przemiany materii napawały ją wstrętem i wstydem. Był to wstyd za siebie i innych posiadaczy przewodu pokarmowego. Bóg stworzył świat, więc i przewód pokarmowy, dlaczego miałoby ją to krępować? To nie jej dzieło! Ajednak! Tego wstydu i obrzydzenia nie umiała przezwyciężyć. Nie wiadomo, dlaczego przypomniała sobie o tym właśnie teraz, siedząc wygodnie w fotelu. Zauważyła, że w tym miejscu często lęgły się dziwne myśli.

Kobieta wstała i podeszła do kranu, żeby się napić wody. Po zlewie wspinał się mały pająk na nitkowatych nogach. Puściła cienki strumyk wody i obserwowała, jak pajączek przyspieszył, nerwowo przebierając odnóżami. Przez krótki moment zastanawiała się, czy nie uratować

togo nędznego życia, o które tak zaciekle walczył. Nie zrobiła jednak najmniejszego ruchu i obojętnie patrzyła na strumień wody, który podmył pająka, tak że ześlizgnął się po emaliowanej powierzchni, ale jeszcze nie zrezygnował, jeszcze walczył o pajęczę życie. Wtedy zrodziło się w niej sadyistyczne pragnienie męczenia stworzenia, przedłużania jego rozpaczliwej walki, dawania i odbierania nadziei. Sadyzm tkwił w Krystynie, a może w każdym człowieku, ale tylko w człowieku. Skąd się wzięło okrucieństwo? Wynik ewolucji mózgu? Dlaczego nie słyszy się o sadyzmie zwierząt? Pająk ślizgał się, cienkie nóżki pracowały z zacięciem, walcząc z gładką wilgotną powierzchnią. Kobieta zwiększyła strumień wody i nachyliła się nad zlewem. Jej zaciekawienie rosło, bo pająk przewrócił się na grzbiet i bezsensownie wymachiwał w powietrzu kończynami. Krystyna nie mogła pojąć, dlaczego to nędzne stworzenie tak walczy o to, żeby dalej żyć i polować na muchy, więzić je w precyzyjnie utkanej sieci i potem po kawałku pożerać. Zastanawiała się, dlaczego każdy chce żyć i dlaczego jest to wartość najwyższa.

Wszyscy się z tym zgadzają. Dlaczego Bóg tak zaprogramował istoty, jakby się bał, że inaczej wszystkie będą chciały umrzeć? Tłumy stworzeń z twarzami, pyskami, mordami i dziobami zmuszone są do życia, do narodzin i obdarzone instynktem, żeby zapobiec samowolnemu wycofaniu się z istnienia. Swoją drogą, to żałosne, bo kto obdarowuje i jednocześnie robi wszystko, żeby jego darowizna nie została odrzucona? Czyżby Bóg wiedział, że podarowane ludziom życie nie jest dużo warte i wielu przypartych do muru przedwcześnie z niego zre-

zygnuje? Krystyna już od dawna zdawała sobie sprawę z tego, że jej religijność odbiega od ogólnie przyjętego myślenia. Była jej własną interpretacją nauki o Bogu, ale i tak kobieta uważała się za wierzącą, po swojemu. Została pająka własnemu losowi, niech walczy! Wróciła do złowrogię fotela - wylęgarni kiepskich myśli.

Jeszcze tylko jeden łyk, jedyny, ostami, a potem przyjdzie niemyślenie, niebyt, wtedy ucichną emocje, jak uspione wściekłe psy, uspokoją się i zamilkną. Krystyna na chwilę oparła głowę o poręcz fotela i wydawało jej się, że uciszyła sumienie. Tylko nie zasnąć, bo przecież musiała dotrzeć do sypialni i tam spać jak porządna żona, matka, wzorowa kobieta, a nie wisząc na poręczy fotela. Z trudem poczłapała w stronę pokoju, który stracił erotyczną aurę i stał się miejscem snu i rozważań o troskach przebytego dnia, chociaż Marek nieustannie próbował przywrócić namiętność. Spojrzała na niego ciepło.

Mąż udawał, że śpi, żeby nie wprawić Krystyny w zakłopotanie. Wiedział, że znowu coś wypija. Malarka ciężko oddychając, wsunęła się pod kołdrę tak delikatnie, jakby ta była z pajęczyny. Od dawna już widział zamglone szklane oczy żony, patrzące z niepokojem, jakby się czegoś obawiała, tylko czego? Zastanawiał się, co ją dręczy, co skłania do samotnego upijania się w pracowni, kiedy wszyscy już śpią? Zauważał zmiany w jej osobowości, niepokojąco flegmatyczne ruchy, niepasujące do jej ognistego temperamentu. Rozmowa z żoną też nie pomogła, bo Krystyna bagatelizowała problem, wszystkiemu zaprzeczała, próbowała wmówić Markowi istnienie innej rzeczywistości niż faktyczna. Ta chorobliwa po-

wolność, której nie umiał sobie wytłumaczyć, nosiła znamiona smutku, nawet tragedii, lecz jakiej? Kamilka rozwijała się świetnie, robiła postępy, które przewyższały jego najśmielsze oczekiwania. A obrazy Krystyny? Zyskały uznanie. Więc to nie to, ale w takim razie co? Marek zagłębił się w poduszkę i próbował zasnąć, w myślach poszukując rozwiązania problemu. Z przerażeniem stwierdził, że to on musi być przyczyną dziwnego zachowania żony, rozpaczy, aż nadto widocznej, pomimo przyklejonego do twarzy uśmiechu. Krystyna cierpiała przez niego - nie dawał jej czegoś, czego pragnęła. Najwidoczniej miał jakieś mankamenty, wadę nie do skorygowania, skoro żona przegrała walkę o szczęście i teraz próbuje zachować jedynie fasadę. Dałby wszystko, żeby ją uszczęśliwić, ale nie potrafił się do niej zbliżyć. Była zamknięta w sobie, w pracowni, w swoim świecie. Marek nie miał artystycznych zdolności, dlatego Krystyna porzuciła nadzieje na szczęście z mężem. Gdyby był inny - coś namalował, napisał, może jakiś wiersz, zagrał na instrumencie - może wtedy serce żony otworzyłoby się dla niego. Nie mógł zasnąć.

Robert wpuścił do pokoju trochę słońca - podniósł zwykle opuszczone żaluzje i otworzył okno. Zacerpnął powietrza i rozłożył ramiona, jakby miał zamiar zabrać się do porannych ćwiczeń.

Podszedł do biurka i zdecydowanym ruchem wyjął dużą szarą kopertę, wcześniej już zaadresowaną. Włożył do niej plik kartek z wierszami, pogładził, przykleił znaczek. Jeszcze przez chwilę trzymał kopertę w rękach,

jakby się z nią żegnał. Wewnątrz był jego skarb - pięć najlepszych wierszy, które zamierzał wysłać na konkurs. Czuł się jak rodzic, po raz pierwszy wysyłający swoją pociechę na kolonie letnie. Konkurs to co innego, zupełnie inna możliwość, bo nareszcie jego wiersze trafiają bezpośrednio do znawców. Może kiedy będzie znanym poetą, wtedy wszyscy zrozumieją, że ma delikatną konstrukcję psychiczną, że nie wytrzymał napięcia. „Jestem artystą, jestem artystą” - powiedział do siebie z naciśkiem. Wysłanie wierszy było dla niego początkiem nowej ery, załączkiem poczytności, bo wierzył, że odniesie sukces. Jego utwory przeczytają fachowcy, a nie jacyś marni redaktorzy, jakich pełno w wydawnictwach. Teraz wystarczyło tylko czekać na rezultat, zabić nudę długich godzin, szeregu dni i tygodni bliźniaczo do siebie podobnych, wytrwać. Koniec z nacinaniem ciała nożem, bzdura! Wiedział, że niedługo ogłoszą wyniki i wtedy w jego życiu zacznie się nowa epoka, która skasuje w banku pamięci wszystko, co niemiłe i bolesne, unicestwi stopy książek w kanciapie. Już wyobrażał sobie siebie w roli uznanego poety wygnańca, polonijnego wieszczka, wiodącego za sobą cały naród za pomocą magii słów. Spocił się. Podniósł koszulę, żeby otrzeć twarz, i wtedy jego wzrok spoczął na lewej stronie brzucha. To miejsce przyciągało jego spojrzenie jak magnes. Patrzył na nie tak długo, aż pionowa zmarszczka przecięła jego czoło między brwiami. Posmutniał, nie cieszył się już ze swoich wierszy, jakby chwilowo przestały mieć dla niego znaczenie. Dziwna korelacja pomiędzy poezją i historią z siostrą wydała się mu teraz oczywista. Szkoda, że wcześniej nie widział tego związku, bo jego twórczość

najwyraźniej nosi zamię tamtej tragedii. Po raz pierwszy zastanowił się, dlaczego w ogóle pisał.

Krystyna sprawdziła pocztę mailową. Kolejne zaproszenia, propozycje, recenzje z wystawy, pochwały, surowe, lecz w sumie pozytywne oceny, gdzieniegdzie wazeliniarstwo. Teraz już było wiadomo, że pragnienia uznania nie można zaspokoić, że kobieta zawsze będzie chciała więcej, lepiej, że wpadła w spiralę zachłanności i już nigdy nie zadowoli się pośledniością. Wkrótce po następnej, równie udanej wystawie, może w innym kraju, obsiadają reporterzy, rozgłoszą, co trzeba i gdzie trzeba, rozświetlą jej twarz tysiącami fleszów. Sięgnęła po butelkę ukrytą za obrazem i pociągnęła spory łyk płynu, który rozlał się po jej wnętrzu gorącym i złagodził niedosyt zaszczytów. Bo nie był to tylko strach przed karą boską. Doszedł jeszcze lęk przed utratą tego, co zdobyła, strąceniem z piedestału. Znowu pycha rozsadzała ją jak napompowany balon, ale już nie zawstydziała malarki jak wcześniej. Teraz pycha stała się częścią jej życia. Krystyna chciała więcej, coraz więcej zaszczytów, które były jak uzależnienie, przecież dla nikogo niegroźne. Uzależniony człowiek też kocha rodzinę i chciałby z nałogiem skończyć. Ale nie może - nałóg jest silniejszy. Duma coraz bardziej kolidowała z wszechdobrocią i pobłażliwością Boga. Jeszcze jedna wystawa. To nie zerwanie umowy, to tylko ludzka słabość, do wybaczenia, zwłaszcza przez Boga. Krystyna czuła potrzebę spędzenia kilku dni w samotności. Szukała pretekstów, żeby się wyrwać, wyjechać do kraju, bo tam nikt nie będzie jej prze-

szkadzał w kontemplacji zaprawionej dżinem. W domu widziała potępiające spojrzenia teściowej, pytające Kamilki i smutne Marka. Chyba wiedzą!

Dom pod Cieplicami już od dawna był pusty i straszyl wiszącymi w drzwiach pajęczynami. Na środku dużego pokoju, gdzie kiedyś znajdował się fortepian, było w miarę czysto i tam Krystyna rozłożyła materac. Obok stały stare, na wpół spróchniałe sztalugi. Malarka kupiła farby i pędzle i stworzyła prowizoryczną pracownię w dawnym salonie. To wystarczyło, bo pijanemu człowiekowi nie trzeba wiele, minimalizuje swoje potrzeby. Krystynie wydawało się, że tworzy, bo maże pędzlem po płótnie, ale nic jej nie wychodziło, zresztą nie mogła znaleźć motywu. Wróciła do szkicownika, przeglądała wcześniejsze rysunki, lecz na nic nie mogła się zdecydować. Na płótnie widniało tylko niebieskie tło, mniej lub bardziej sprawnie położone, bo kobieta już od rana sporo wypijała. Strach buzował w jej żołądku. Zalewała go smirnoffem i w końcu utopiła - zamilkł lub odszedł, błogość ogarnęła odpowiednie obszary jej mózgu i trzewi. Na razie kpiła sobie z tego błogostanu, nie zagrażał jej, jeszcze nie uzależniał. To tylko faza picia ryzykownego, z którego Krystyna może się wycofać, które może zakończyć, zanim się na dobre zacznie. Czuła, że wciąż nad sobą panuje i nie można jej popijania nazwać uzależnieniem. Ale gdzieś blisko już się czaił wstrętny śmierdzący moczem i wymiocinami nałóg, stacja końcowa. Czego się właściwie bała? Chyba już nie kary boskiej, raczej utraty weny, tego, że jej obrazy nie zdobędą uznania. Był to typowy artystyczny strach, niedosyt sławy, obawa przed niezrozumieniem.

Było zimno, na które nie poradził nawet smirnoff, więc Krystyna wstała, żeby włożyć spodnie. Prawa noga wskoczyła posłusznie w nogawkę, natomiast druga nogawka stawiała opór i lewa kończyła ciągle trafiała obok. Znowu opór materii nieożywionej. Kobieta coraz zacieklej szarpała spodnie, aż pękły w kroku, bo były z dość delikatnego materiału. Zakłęła po niemiecku. Kiedy człowiek zaczyna kląć w obcym języku, bezwiednie, nie na pokaz, to znaczy, że stracił więź z rodzinnym krajem, jakby pozbył się polskości. Szkoda, bo rodzima „kurwa” lepiej brzmi, swojsko i ciepło.

Krystyna zaczęła przygotowywać nowy szkic do obrazu. Ręka była niesprawna, sylwetki trochę nieudolne, chwiejne - dwie męskie postacie na tle nocy. Dlaczego męskie? Jeszcze jej zarzucą popieranie homoseksualizmu albo co! Jeden z mężczyzn miał wyraźne wybrzuszenie w okolicy rozporka, więc szybko wymazała je gumką, bo ludzie zaczną się czegoś dopatrywać i przyklepią malarce jakąś łatkę. Wszystko da się przeinaczyć, trzeba jedynie trochę chorej wyobraźni. Kobieta zaśmiała się pijackim śmiechem. Przecież nawet bajkę o smerfach jeden z politologów uznał za film o państwie totalitarnym, bo w postaci Papy Smerfa doszukał się cech Stalina. Wszystko można posunąć do granic absurdu. Cichy głupawy śmiech jak chichot wiedźmy rozległ się w pustym pokoju i rozporek znowu zrobił się płaski.

Od pewnego czasu Krystyna patrzyła na każdego człowieka, jakby przez mikroskop albo jakby z jej oczu spadała zasłona i ukazał się nagi i brzydki świat. Widziała

na skórze ludzi miliardy bakterii pracujących z zacięciem i wytrwale w podgrupach i szczepach, aby pomnożyć swój nikczemny byt. Ciało człowieka roi się od mikro-bów, które wspólnym wysiłkiem dokonują dzieła zniszczenia. Starzenie i śmierć ukryte są w mitochondriach, które kiedyś tam się przyplątały i tak już zostały, rządząc naszym organizmem. Ohydne organelle przekształcone z bakterii decydują o procesie starzenia i śmierci. Człowiek jako część świata organicznego i ludzka fizjologia wydały się Krystynie szczególnie odrażające. Bakterie o fantastycznych kształtach toczą ciało człowieka, który w tym czasie - nieświadomy swego rozkładu - tworzy najwspanialsze dzieła sztuki: maluje, rzeźbi mistrzowską ręką, po której hasają rozpasane mikroby.

Teściowa wyciągnęła dłoń z rogalikiem i podała go Kamilce, która już po chwili połykała ze smakiem sklerotyczne bakterie babci, jakby nie dość miała swoich, młodych i żwawych. To dziwne, ale wydaje się, że Bóg robi wszystko, żeby człowiek w niego zwątpił, a ten, kto wierzy, musi na swą niezłomną wiarę pracować albo w ogóle się nad niczym nie zastanawiać. Jak wytłumaczyć tę niedoskonałość człowieka, który jest oddechem bożym? A może wielki demiurg nie ingeruje, nie interesuje się swoim dziełem, jak twierdzą niektórzy? Chyba wysunął się jeden maleńki kamyczek i Krystyna bała się, że grozi to runięciem całej precyzyjnej konstrukcji. W jej myślach był załazek buntu - to wystarczy, żeby zniweczyć wszystko, w co dotychczas wierzyła. Ale czy rzeczywiście wierzyła? Może było to jedynie złudzenie

wiary, wynikłe z wychowania, tradycji, wygodnego sposobu na życie? Można sobie wybrać, Bóg dał nam wolną wolę, ale jednocześnie obdarzył nas instynktami, które trzymają ją w ryzach. „Bardzo sprytnie - pomyślała Krystyna i wróciła do filozofowania. - Tak, a do tego jeszcze dochodzą osądy społeczne, kulturowe, automatyzmy. I jak tu wybrać własną niezależną drogę?”

Krystyna znowu sięgnęła po dzin. Dolała do trunku toniku, jakby chciała rozcieńczyć stężenie niezadowolenia z życia, a nawet cierpienia, bo rzeczywiście cierpiała. Z niewiadomego powodu. Codziennie przybywało wyrzutów sumienia, rosła naiwna wiara, że może uda się coś ukryć. Kobieta niecierpliwie czekała na moment, kiedy zostanie sama w domu, kiedy nikt nie będzie kontrolował jej zachowania, nikt nie będzie stawiał pytań. Denerwowały ją nawet spojrzenia w jej kierunku, wydawało jej się, że wszyscy ją śledzą. Wzrok Marka był podejrzliwy, a teściowej surowy, karzący. Szklanka z dzinem stała prowokacyjnie na biurku, wyzywająco wyeksponowana, nie do przeoczenia. Krystyna zastanawiała się, czy jej tam nie zostawić, bo dość miała ukrywania się i sprzątanania po sobie dowodów winy. Bała się i jednocześnie pragnęła wpadki, która wszystko zmieni, i o to chodziło, o jakąś zmianę. I doczekała się. Marek zapowiedział na następny dzień rozmowę. Kobieta doskonale wiedziała, co będzie jej tematem. Usiadła w fotelu i powoli sięgnęła po szklankę. A może nie pić? Znowu wolna wola? Czy walka z własnymi pragnieniami to też wolna wola? Ale dlaczego ograniczać sobie to, co w tej chwili wydaje naj-

potrzebniejsze? Przez moment patrzyła na klarowny, odbijający światło napój, zanim umoczyła w nim usta. Dzisiaj była wolna, bo mąż i córka wrócą z kina dopiero późno wieczorem, a sterana teściowa wcześniej położyła się do łóżka i wypoczywała. Krystyna rozkoszowała się tym podarowanym przez nich czasem, bo mogła spokojnie pić i rozważać po raz tysięczny każde wydarzenie z ostatnich lat. Analizowała je w nadziei na znalezienie jakiegoś wytłumaczenia dla wszystkich przemian w życiu Kamilki: jej rozwoju, postępów w nauce, a nawet zmiany wyglądu. Zmiany te zaszły niezauważalnie, stopniowo i obcy lub niewtajemniczeni ludzie odbierali je jako efekt normalnego rozwoju dziecka, nie widząc w tym nic nadzwyczajnego. Ale Krystyna wiedziała, że postępy Kamilki nie są dziełem przypadku, nikt bowiem nie nauczyłby się języka w ciągu zaledwie roku. Już fakt, że zaczęła mówić, graniczył z cudem, a nagłe zlikwidowanie seplenienia bocznego każdy logopeda musiałby uznać za niezwykle, bo proces ustawiania głoski może trwać wiele miesięcy, a nawet lat. Krystyna nie wierzyła w przypadek.

Pociągnęła spory łyk i znowu pogrążyła się w myślach. Jak wytłumaczyć, skąd się wzięły piękne jasne loki Kamilki? Albo szybkie zniknięcie warstw tłuszczu, pod którym kryła się zgrabna sylwetka córki. Znowu głębszy łyk i kobieta opróżniła szklanekę. Może to jednak tylko wynik normalnego rozwoju od dziecka do młodej dziewczyny? Krystyna nalała sobie drugą szklanekę, potem trzecią. Za oknem dostrzegła świecące ogniki, jakby ktoś zapalił tysiące świeczek. Chciała wstać z fotela, ale pozbawiona sił opadła z powrotem na miękkie siedzisko. Nie czuła ani bólu, ani strachu, wszystko wokół ucichło,

światełka za oknem przygasły, zmatowiały i w końcu rozmyły się w szarym powietrzu. Nagle mokre ciepło rozlało się po udach kobiety i spłynęło ciurkiem po bawełnianych nogawkach, które wchłonęły je chciwie. Po raz pierwszy nie miała kontroli nad swoimi odruchami - przeraziło ją to i zaskoczyło. Wstała i wyszła do łazienki. Zatoczyła się kilka razy, uderzając głową o framugę drzwi i syknęła z bólu.

Nagle, prawdopodobnie pod wpływem wypitego alkoholu, przyszła jej do głowy myśl tak absurdalna, że Krystyna zastanawiała się, czy rzeczywiście pochodzi ona z jej umysłu. Zaskakujące w swojej prostocie pytanie przypełzło tak samo podstępnie jak kiedyś myśl o zniknięciu Kamilki czy podejrzenie o podmianę niemowlęcia w czeskim szpitalu. Był to tego samego rodzaju makiaweliczny pomysł, który podsuwała jej podświadomość. Przecież Boga nie ma, On nie istnieje! Krystyna upadła na sofę i przykryła się poduszkami. Chciała się osłonić się przed natarczywością tej paskudnej myśli. Ale idea nie pochodziła z zewnątrz, lecz od samej malarki i to przerażało ją najbardziej. Jak mogła wymyślić coś podobnego? Co powiedziałyby na to matka? Trochę powątpiewać to co innego, nawet świętym się zdarzało, ale zakwestionować istnienie Boga? To ten cholerny dżin! Nietrzymanie myśli tak jak nietrzymanie moczu? Zapomniała, że powinna się przebrać, zdjąć lepiące się do nóg spodnie, zmyć żenujące dowody chwilowej inkontynencji.

Wieczorem przyszła Beata i bez słowa stanęła przed Krystyną, mażącą niespokojnie pędzlem po niebieskim

tle. „Jaką grę prowadziła Krystyna?” - zastanawiała się po raz setny Beata. Dlaczego nie rozmawiają o Robertcie? Widziała cierpienie koleżanki, widoczne w ruchach ręki i w oczach, które uciekały pod powieki, najczęściej zaczerwienione i opuchnięte. Fałdy tłuszczu ukryła pod obszernym fartuchem, ale Beata od razu zauważyła, że przyjaciółka przytyła. Nawet trochę żałowała, że przydarzyło się to akurat Krystynie, będącej dotąd ideałem kobiecej urody, niedościgłym wzorem wspaniałości i talentu. Teraz malarka wydaje się zupełnie złamana życiem i pokonana przez zwyczajną kobietę, jaką jest Beata. Beata od razu poczuła się lepsza, wspanialsza, nabrała do siebie jeszcze większego szacunku jak do bardzo znamienitej osoby. Wcześniej ceniła się za swoją dojrzałość psychiczną, gotowość niesienia pomocy innym, otwartość, teraz doszedł następny element - atrakcyjność. Nigdy się nie dowiedziała, dlaczego Robert wybrał ją, i na fałszywych przesłankach zbudowała swój nowy wizerunek. Myślała, że jest piękna, uwodzicielska, pociągająca, lepsza niż Krystyna, jego dawny ideał. Wystarczy jedna błędna myśl i już można tworzyć na jej podstawie całą teorię, zupełnie nie wiedząc, że nieprawdziwa jest sama baza. Trocheja przerażało własne zwycięstwo, tak niespodziewane, lecz w pełni zasłużone, bo tylko Beata potrafiła docenić zalety Roberta. Miłość wszystko uszlachetnia - przypomniała sobie babcine mądrości na swoje usprawiedliwienie. Robert będzie z nią szczęśliwy, bo tylko ona wie, jak to sprawić. Pod pojęciem szczęścia rozumiała to, co sama sobie wymarzyła. Mężczyzna miał odtąd żyć w oparach jej zadowolenia, cieszyć się jej poukładanym i wzorowym światem.

Kobieta wymości mu gniazdko, żeby czuł się bezpieczny tu, na obczyźnie. Krystyna zbyt często wypowiadała się o jego poezji bez szacunku, z odrobiną ironii, a nawet złośliwości. Nie wierzyła w jego talent, a Robert najbardziej potrzebował uznania. No tak, należało się jej! Beata nigdy nie sądziła, że Krystyna może mieć inne zmartwienia niż to jej znane. Trudno jej było wyobrazić sobie, że malarka może cierpieć z innego powodu, a właściwie bez powodu. Beata nie znała takiego stanu - smutku bez wyraźnej przyczyny. Takie cierpienie zarezerwowane jest jedynie dla wybranych dusz, niezwiązanych ze światem, w którym przyszło im żyć, dusz wiecznie nienasyconych, których nic nie może zadowolić. Beacie wystarczyło odzyskanie Roberta.

Uśmiechnęła się, a do jej uśmiechu wkradło się coś niesprecyzowanego, ale Krystyna od razu to zauważyła. Poza, fałsz na twarzy, szyderczy cień na policzku Beaty, widoczny jedynie dla bardzo wrażliwych ludzi. Krystyna do nich należała, dlatego od razu wyczuła, że coś się zmieniło - koleżankę szpeciła sztuczność. Kobieta stała oparta o framugę drzwi, z pochyloną głową, lekkim uśmiechem, gorącym spojrzeniem. Wyładniała. Przyjęła pozę jakby do fotografii, wystudiowaną, ale to nie była ta sama osoba. Zdobycie Roberta wywindowało Beatę na sam szczyt jej wymagowanej góry marzeń i osiągnięć. Znalazła się tam i teraz patrzyła z góry na wszystko, nawet na Krystynę, której nie pozostawało nic innego, jak tylko się dziwić. I zaskoczyła ją zmiana w zachowaniu koleżanki, która jeszcze niedawno denerwowała malarkę swym ciętym charakterem i potulnością. Beata potrafiła wytłumaczyć sobie nawet to, że wykorzystują

ją znajomi i rodzina. Te ciągłe telefony do kraju, do ciotek, koleżanek, przypadkiem poznanych ludzi, telefony tylko w jedną stronę. Nikt nie oddzwaniał, bo za drogo, niech dzwoni Beata, przecież mieszka na Zachodzie, ma forszę. Posiadanie pieniędzy obliguje do pomagania biedniejszym. Wszyscy zarabiający zachodnią walutę automatycznie traktowani są w kraju jak sponsorzy, więc ciotce trzeba kupić nową szczękę, siostrzeńcowi rower, a siostrzenicy komórkę, bo nie wypada, żeby miała ciotkę za granicą i nie nosiła komórki, wstyd, źle świadczy o ciotce. Beata kupowała więc, co potrzebne i co niepotrzebne, dokładała się, pożyczala na wieczne nieoddanie. Rodacy doili ją z forsy, a potem dziękowali własnoręcznie upieczonym ciastem, zapraszali na kawkę, bo Polak potrafi się odwdziżyć, nic za darmo, bo to niehonorowo. Co się stało z Beatą? Zhardziała?

Kamilka siedziała nad zeszytem z matematyki i bez wysiłku rozwiązywała zadania tekstowe. Krystyna przyglądała się jej z boku, trzymając w ręce gazetę, za którą chciała ukryć swoje zainteresowanie córką, jak to bywało w kiepskich kryminałach. Powinna jeszcze w środku strony wyciąć małą dziurkę. Nie mogła ścierpieć myśli, że ta piękna dziewczyna, jej córka, mogłaby odejść z jej życia. Wiedziała tylko, że nie może do tego dopuścić, że gotowa jest zrobić wszystko, byle tylko mieć swoją Kamilkę zawsze przy sobie, cieszyć się jej wyglądem i podziwiać ją dlatego, że jest, a nie dlatego, że pięknie gra czy maluje. Jakie to ma znaczenie? Koniec z ocenianiem człowieka wedle tego, co tworzy i jak tworzy. Co zrobić

z kimś, kto nigdy nie zrobił nic wartościowego? Nie nadaje się do oceny? Rozmowa z Markiem nie była przyjemna, no cóż, Krystyna mogła się tego spodziewać. Mąż wiedział o wszystkim od dawna i było naiwnością z jej strony myśleć, że niczego nie zauważył. Cholera, skoro się zorientował, że żona pije, to może też wiedział, że miała kochanka, ale o tym nie wspomniał. Malarka wyszła do pracowni i znowu łyknęła z butelki ukrytej za szafą. Przed drzwiami wyjściowymi usłyszała dziwne zamieszanie. Wyjrzała na klatkę schodową, zazwyczaj ciemną i ponurą, którą teraz rozświetlała słaba żarówka energooszczędna. W głębi korytarza usłyszała ożywione głosy lokatorów, pochrząkiwania, stłumione rozmowy przechodzące w niesłyszalny szept, dławiony jakimiś emocjami, jakby płaczliwy. Kobieta nie mogła zrozumieć przyczyny tego niecodziennego rozgardiaszu i już chciała cofnąć rozczochną głowę, żeby nikt jej nie zobaczył, ale jakaś tajemnicza atmosfera tej części korytarza przyciągnęła ją, bo kiedy tylko coś wydaje się tajemnicze, zaraz wzbudza zainteresowanie człowieka. Czujnie przyjrzała się Kolombinie, tym razem mniej wymalowanej, z oczami lśniącymi jak u porcelanowej lalki. Nagle drzwi jednego z mieszkań otworzyły się gwałtownie i sąsiedzi rozstąpili się z pobożnym skupieniem. Na noszach leżało ciało pozbawione jednej nogi, przykryte szarą płachtą. Z powodu wypitego alkoholu Krystyna nie umiała szybko wyciągnąć wniosków i zinterpretować aż nadto jasnej sytuacji. Przysunęła się do Kolombiny, nie bacząc na opary alkoholu buchające z własnych ust. Sąsiadka odsunęła się zażenowana stanem malarki, która pojęła, że śmierdzi. Ciało mężczyzny przepłynęło

miętko obok Krystyny i dopiero teraz dotarł do niej sens sceny z noszami. Wpatrywała się w szary koc, opadający tam, gdzie powinna spoczywać lewa noga. Nie wiadomo, dlaczego kobieta chciała po raz ostatni zobaczyć zmarłego. Zataczając się, ruszyła w kierunku noszy i jednym ruchem zdarła koc z twarzy sąsiada. Obecni przy tym lokatorzy zastygli w napięciu i oburzeniu. „Wariatka” - mruknął lekarz, który wcześniej stwierdził zgon i sprawiał wrażenie zmęczonego. Kolombina uśmiechnęła się kwaśno, z lekkim skrzywieniem umalowanych warg, z wyniosłym spojrzeniem. Dlaczego nie pozwolono jej pożegnać zmarłego? Bo nie była jego żoną? Dlaczego wszyscy patrzyli na nią z oburzeniem? Gdyby była jego małżonką, spoglądaliby na tę samą scenkę ze współczuciem i litością. Dlaczego śmierć automatycznie wymaga dostojności ruchów, powolności, ciszy i skupienia? Zwłoki na noszach kołysały się w rytm kroków sanitariuszy, zbyt lekkich, niepasujących do sytuacji. Nawet kroki muszą się zmienić w obliczu śmierci - trzeba iść powoli, z dostojnością, a nie jak do dyskoteki; nikt nie biegnie i nie podskakuje, niosąc zmarłego. Młodzi ratownicy chyba nie zdawali sobie sprawy z tego, że brakuje im dostojności, może śpieszyli się na kolację. Krystyna dostrzegła głowę Kamilki w drzwiach. Córka przywoływała ją skinieniem ręki. Chciała szybko zabrać matkę z korytarza. Czyżby się jej wstydyła?

Krystyna cierpiała na zespół dnia poprzedniego, tak bardzo jej znany, zniechęcony jak niepokonany stwór, męczący, bezlitosny i konsekwentny. Jego okrucieństwo

było przewidywalne i wprost proporcjonalne do wypitego dzień wcześniej alkoholu. Bestia budziła się już w nocy i zaczynała męczyć malarkę aż do popołudnia następnego dnia, kiedy powoli opuszczała jej udręczone ciało. Kobieta wypowiedziała bestii wojnę, ale zawsze po pierwszej rozgrywce ulegała i znowu wlewała w siebie diabelski płyn, który doraźnie pomagał. Kolejny dzień miał być tym przełomowym, w którym Bóg da jej tyle siły, że będzie mogła uwolnić się od pokusy. Przecież to w obawie przed Bogiem, niejako z Jego powodu, sięgnęła po alkohol, więc też od niego oczekiwała pomocy. Poddana niezachwianej logice oczekiwała wyzwolenia poprzez siłę wyższą, bez własnego udziału i trudu, ale wyzwolenie nie nadchodziło. Strach dławił niewidocznym uściskiem, jak dawniej. Krystyna marzyła o dniu bez lęku. Ale czego właściwie się obawiała? Chyba był to strach przed trzeźwością. Czy to możliwe nie bać się niczego? Człowiek zawsze znajdzie sobie swojego prywatnego straszaka, żeby się trochę podenerwować. Kiedy przychodzi odwaga? Tylko wtedy, kiedy nie ma się nic do stracenia. Gdy Krystyna doszła do tego wniosku, miała jeszcze sporo tego, co mogłoby przepaść na zawsze, jeszcze nie była gotowa. Wtedy zaryzykować można wszystko, kiedy się nic nie ma. Logiczne. Nieposiadanie niczego jest zatem błogosławieństwem, bo w takim stanie może być tylko lepiej, nigdy gorzej. Malarka czekała na ten moment, żeby sobie polepszyć życie.

Myśl o nieistnieniu Boga stopniowo zajmowała coraz większe obszary jej duszy, przenikała cały światopogląd

Krystyny i kształtowała go na nowo. Kobieta miewała różne myśli - czasem prowadziły one na manowce, czasem tylko spychały ją z głównej ścieżki. W jej życiu zmieniło się wszystko, ale jedno do tej pory pozostawało zawsze takie samo - wiara w Boga, niezmienna wartość, stała życiowa, odporna na wszelkie wstrząsy i turbulencje. Oczywiście wiara Krystyny różniła się od wiary praktykujących katolików, trzymających się ściśle Pisma Świętego, niezbaczących nawet na milimetr z obranej drogi. Malarka pozwalała sobie na dłuższe wycieczki w niedozwolone obszary, ale zawsze wracała. Co to za wybryk umysłu, żeby teraz wszystko podważać, we wszystko wątpić? Może właśnie coś takiego ojciec miał na myśli, kiedy zabraniał córce zbyt częstego zastanawiania się nad życiem. Miał swoją filozofię. Twierdził, że w sprawach istotnych, egzystencjalnych nie należy pytać „dlaczego”. To słowo niejednemu złamało życie, a i tak nie poznał odpowiedzi. Krystyna przez całe dzieciństwo starała się nie dociekać, ale potem tym bardziej niebezpieczne stały się jej pytania. A teraz przecież nawet nie zadawała pytania, tylko stwierdzała, a to jeszcze gorzej.

Kobieta uciekała w świat kolorów i kształtów. Tworzyła coraz wymyślniejsze sztuczne krajobrazy, namalowane ostrą linią, bez cienia wahania czy choćby niepewności. W życiu Krystyny wszystko nabrało innego znaczenia, wszystko było ściśle określone, pewne, zależne od jej woli. Transcendentna siła nie istniała, nikt jej nie zagrażał. Nic oprócz samej malarki nie miało wpływu na jej życie, choć zdarzały się okoliczności nie do przewidzenia, zależności, które nie wynikały z jej winy. Niestety jest to zasada nieokreśloności rzeczy opisana przez

fizykę kwantową i trzeba się z tym pogodzić. Jednak Krystyna nie powinna się ich bać, bo skutki działań fizycznych dotyczą wszystkich tak samo: świętych i grzeszników. W niedzielę nadal chodziła do kościoła i siedziała milcząca pomiędzy mężem a teściową, ale nie myślała o Bogu, tylko o stworzeniu świata, a to nie to samo. Już jej nie denerwowało rytmiczne kołysanie się starej kobiety, pokłony, szepty, zamglony pod wpływem ekstazy wzrok. Teściowa coraz częściej ją rozśmieszała, a nie złościła. Krystyna nabrała dystansu.

Robert potrzebował kilku lat, żeby dojść do wniosku, że to nie jego poezja jest zła, a jedynie rynek wydawniczy nieodpowiedni. Wszystko można zwalić na trudności w branży, kiepską koniunkturę, recesję i kryzys ekonomiczny. Rynek książkowy wydał się poecie jakimś dziwnym niezrozumiałym mechanizmem, który nie rozpada się wyłącznie dzięki zagmatwanym układom typu „rączka rączkę” i wzajemnej pomocy w zdobyciu jak największej ilości pieniędzy. Branża czytelnicza to potwór zjadający ludzkie myśli przelane na papier. Z terapeutycznym zamysłem Robert codziennie na nowo dystansował się od tej bestii, ale mu nie wychodziło. Nie mógł patrzeć na książki, zwłaszcza te nowe, bo dostawał torsji. Beata mówiła, że to zatrucie, ale Robert wiedział, że po prostu rzyga na wszystkie publikacje. Żołądek przewracał mu się do góry nogami, kiedy obliczał, ile jeszcze dorobku literackiego życia zdoła pomieścić jego kanciapa. Czuł wzbierającą nienawiść, patrząc na rosące stosy książek, których nikt inny oprócz niego nie kupo-

wał. Codziennie oglądał zgromadzony zbiór własnej poezji. Każdy kolejny tomik szarpał mu nerwy; mężczyzna płakał nad nimi, ale nie miał odwagi ani siły ich zniszczyć. Wtedy może by zapomniał. Gdyby nie istniały, wówczas może odnalazłby spokój, ale zniszczenie to świętokradztwo. Kiedy Robert był sam, otwierał drzwi kanciapy i patrzył na swoje książki. Początkowo próbował je liczyć, prowadzić jakąś uproszczoną ewidencję, ale potem z tego zrezygnował. Nie interesowało go, czy sam wykupił cały nakład, czy może pomogli mu w tym czytelnicy i ilu ich było. Z drugiej strony chciałby poznać tych nabywców, bo byli wybrańcami, jedynymi, którzy zrozumieli prawdziwą poezję. Jak ich znaleźć? Nikt nie proponował Robertowi spotkań autorskich. A może spróbować sprzedać książki z kanciapy? Dać ogłoszenie do gazet? Wymyślić dobry chwyt reklamowy, na przykład: kto kupi tomik, dostanie paczkę prezerwatyw albo podpasek - w przypadku kobiet. Zawsze byłby to jakiś zysk, bo gratisowe drobiazgi nie kosztują zbyt wiele i może jeszcze udałoby się coś zarobić - odezwała się w poecie dusza buchaltera.

„Bóg czasem pobłaza winowajcom, zwłaszcza kiedy karzą się sami” - powiedziała teściowa i spojrzała poważnie na synową, głaszcząc Kamilkę po głowie, jak wtedy gdy była małą dziewczynką. A tej co do głowy przyszło? Krystyna pomijała wywody matki Marka milczeniem, bo co miała powiedzieć? Że z tą wiara to u niej nic pewnego? Może teściowa ma rację i Bóg jej przebaczył, dlatego nie spadły na nią gromy? Alternatywą dla

tej tezy było przekonanie o nieistnieniu Boga, wciąż narastające w malarce, ostatnio nie do odparcia. Teściowa zawsze potrafiła wszystko sobie wytłumaczyć ingerencją Boga, wzywała go wielokrotnie w ciągu dnia, nawet kiedy patrzyła na stos pościeli do prasowania, którego synowa unikała jak ognia. Stosik rósł, aż wreszcie poukładana natura teściowej zwyciężyła i kobieta robiła z nim porządek, jak się należało. Krystyna zastanawiała się nad obserwowanym zjawiskiem, że stare kobiety wydają się bardziej religijne niż młode dziewczyny. A może to jedynie złudzenie? Jednak można podejść do problemu matematycznie i siedząc w kościele, policzyć osoby młode i starsze. Rachunek jest prosty. Problem w tym, że nie wszystkie osoby przychodzące do kościoła są wierzące i nie każdy, kto nie chodzi do kościoła, jest niewierzący. Czy starość nierozzerwalnie związana jest z wiarą? Czy dopiero w podeszłym wieku doznaje się olśnienia? Krystyna nie wierzyła w te cudowne przemiany, dla niej szczerą wiarą przemawiała już za młodu, a nie dopiero na starość, jak u teściowej, u której religijność rosła z wiekiem. Podobno jako młoda dziewczyna częściej dała się namówić do grzechu, a teraz skromniutka, z buzią w ciup, oburzała się na zbyt obcisłe sukienki synowej, na zbyt sterczący biust, tak jakby nie był darem niebios, wzrokiem nakazywała wstrzemięźliwość. „Łatwo być wstrzemięźliwym, kiedy nie ma na ciebie popytu” - myślała złośliwie Krystyna. Życie w celibacie przychodzi niektórym kobietom bez trudu, bo żaden mężczyzna o nie nie zabiega, nie mąci w głowie komplementami, nie zachęca do grzechu, nie kusi. Takie kobiety trzymają cały czas ten sam kurs, ale to żadna

sztuka! Mężczyźni przechodzą obok tych bezpłciowych istot obojętnie, pozdrawiają je, ale z szacunkiem, z uprzejmości. Niejedna by chciała, żeby w oczach mężczyzn dostrzec coś jeszcze oprócz szacunku, który w tym wypadku jest uwłaczający. Spojrzenie pełne namiętności byłoby z pewnością mniej obraźliwe.

Krystyna nie mogła zrozumieć, dlaczego Emilia nie dzwoni i nie odpowiada na maile. Przecież wkrótce miały się spotkać. Gdzie się podziała gotowość Emilii, by podreptać za Krystyną, gotowość spełniania jej prośb, jak dawniej. Teraz była jej kolej, by zadzwonić, bo tak ustaliła Krystyna przyzwyczajona do uległości przyjaciółki. Jednak telefon milczał, nie reagował na zaklęcia i gniewne pomruki. Czy malarka już nigdy nie zobaczy przyjaciółki, nie dowie się całej prawdy? Może w tym milczeniu jest jakiś zamysł? Emilka chce jej pokazać, że Krystyna nie jest dla niej ważna! Nie, tylko unika rozmowy, bo temat jest dla niej nieprzyjemny. Właściwie artystka chciała ją jedynie zapytać, czy pamięta ten dzień w samym środku lata, gorący i przesycony zapachem żniw. Łąka za domem, skrawek szczególnie pieczołowicie pielęgnowany przez ojca, jego duma, świątynia marzeń, chociaż nie wiadomo, o czym marzył. Za krzakiem porzeczek ojciec, przy nim Emilia, lekki śmiech ojca, rozmowa. Krystyna nie mogła odgadnąć jej treści, a przyjaciółka nigdy nie chciała o tym mówić, tak jakby nic się nie wydarzyło. Może rzeczywiście nic nie było, nie ma się czego doszukiwać. Może to sama Krystyna tworzyła tajemnicę z tego, co nie było zwyczajne i oczywiste,

a może szukała odpowiedzi na pytanie, dlaczego ojciec nigdy nie okazywał jej takich względów jak Emilce. Długie opalone nogi dziewczynki częściowo ukryte w wysokiej trawie i groźna mina ojca, kiedy Krystyna podeszła do krzaku porzeczek - tę scenę przeniosła do banku pamięci i tam pozostanie. Emilia siedziała w niezmienionej pozie, więc nie miała świadomości, że coś jest nie tak, ale ojciec gwałtownie się od niej odsunął i tym samym skierował na siebie podejrzenie. Krystyna jeszcze nie rozumiała, ale wiedziała, że nie jest to zwykła rozmowa na łące za domem.

Robert stanął przed domem siostry i postanowił czekać na nią, aż wyjdzie po zakupy. Głównym celem jego podróży do kraju była teraz chęć zobaczenia siostry, a wykupywanie kolejnych egzemplarzy własnej poezji powoli schodziło na dalszy plan. Tęsknota w przypadku Roberta, wbrew temu, co się sądzi, miała naturę falową - malała, gdy wzrastała odległość od przedmiotu tęsknoty. Ale kiedy poeta przyjeżdżał do kraju, wystawianie pod domem siostry sprawiało mu niemal fizyczny ból, a pragnienie, by chociaż przez chwilę z nią pobyc było nie do opisania. Doskonale znał rozkład jej dnia, którego trzymała się kurczowo, bo dawało jej to względne poczucie bezpieczeństwa. Po śmierci jedyne go syna widziała tylko nakrapiane białe tapety w sypialni, po których ślizgały się muchy, i dozownik z lekarstwami, słyszała uspokajający głos lekarza - tyle zapamiętała z tych pierwszych tygodni. Potem już nigdy nie śmiała się tak jak dawniej, radosnym śmiechem, pochodzącym z głębin, aż

dudniło. Teraz jej śmiech był powierzchowny, wypływał nieśmiało na usta, chował się w kącikach i szybko znikał spłoszony złą myślą. Drzwi zaskrzypiały nieprzyjemnie, ostrzegawczo i Robert przyjął wyczekującą postawę. Zauważyła go. Przez jej twarz przebiegł cień nienawiści.

- Porozmawiajmy - odezwał się Robert błagalnie.

Odwróciła głowę i ukryła twarz za postawionym kołnierzem wiosennego płaszcza. Szedł za nią w niewielkiej odległości, niezbyt blisko, na tyle jednak, że mogła go usłyszeć.

- Nie mogłem inaczej. Bałem się. To był strach, a nie zła wola, wierz mi. - Odpowie? Żeby chociaż coś powiedziała. Wreszcie syknęła w jego stronę, nie patrząc mu w oczy, jakby się bała, że wtedy jej złość złagodnieje. Był to syk nienawiści i rozpacz, mówiący o ludzkim egoizmie. „Każdy jest egoistą jeżeli idzie o własne życie” - przekonywał ją Robert. Pod wpływem strachu budzi się instynkt.

- Ale przecież nic nie zagrażało twojemu życiu - powiedziała siostra łagodnie, trochę niepewnie.

- Zawsze jest jakieś ryzyko, w tym wypadku nawet duże - zawahał się przez chwilę - teraz bez namysłu zgodziłbym się być dawcą. Teraz, kiedy jest za późno.

Patrzył na siostrę błagalnie, z nadzieją w oczach. Płakała z żalu, z bezsilności, bo nie umiała już nienawidzić brata tak jak wtedy, gdy uciekł ze szpitala i odebrał jej ostatnią nadzieję na to, że syn przeżyje. Jeszcze przez chwilę siliła się na złość, ale złość i nienawiść nie przychodzą na zawołanie. Stała więc niepewnie, trochę zdezorientowana brakiem negatywnych uczuć, którymi karmiła się od kilku lat. Ta nienawiść napędzała ją do

życia, trzymała w ryzach, pozwalała funkcjonować, bo z żółci czerpała siłę. Trudno zrezygnować z nienawiści, przecież pielęgnowała ją jak własną matkę, kiedy była chora, z oddaniem. Robert stał niezdecydowany, czekał, ale jego ręce wyciągały się bezwiednie w stronę siostry. Czy pozwoli się pocieszyć, przytulić jak dawniej, kiedy była małą dziewczynką?

Krystyna codziennie od rana czekała, aż wydarzy się coś pozytywnego, bo w nagrzanym powietrzu sypialni wisiała mgiełka szczęścia. Nie musiało to być szczęście rozumiane jako fala dzikiej radości - kobiecie wystarczyła niezmacona świadomość wolności oraz brak nakazów i strachu przed Bogiem. Leżała wygodnie w łóżku, leniuchując i o niczym nie myśląc, odporna na czarne wizje, które schowały się w zakamarkach umysłu. Była wolna, to wolność smakowała świeżą kawą, którą wypijała w łóżku bez pośpiechu. Wyzwolenie od strachu przyszło tak nagle, że jeszcze się nie przyzwyczaiła do nowej sytuacji, jeszcze czasami odczuwała nagłe skurcze żołądka, do którego jej mózg uporczywie wysyłał sygnały ostrzegawcze, chociaż nie było żadnego zagrożenia. Kawa smakowała inaczej niż przedtem, Krystyna inaczej widziała lipy kwitnące na placu przed blokiem, a myśli o córce układały się w fowistyczne obrazy, tak że Kamilka prawie tonęła w kipieli dzikich kolorów. Przed oczami malarki jawiła się piękna młoda dziewczyna ze zbłąkanym uśmiechem na ustach, trochę nieobecna, zamysłona. Czy stworzyła ją nieograniczoną potęgą swoich myśli czy siłą nadziei, a może w inny jeszcze sposób?

Krystyna uważała, że Kamilka jest jej dziełem, nieskazitelnie pięknym, ulepionym z niedoskonałości. Skoro osiągnęła to, co wydawało się niemożliwe, to nie ma dla niej już żadnych przeszkód, mogła zrobić wszystko. Nigdy więcej nie zadowoli się przeciętnością. Zwyczajni ludzie chwalą przeciętność i poruszają się tylko w ograniczonej skali, której nie przekraczają. Rozleniwiona kobieta weszła do pracowni i wyjęła namalowany dawno temu obraz. Odwinęła narzutę, oparła ramę o stół i przyrzrzała się płótnu, jak kiedyś, ale już nie z napięciem, z pragnieniem cudu, ale z ciekawością. Co właściwie zmieniło się od czasu powstania tego obrazu? W czym Kamilka przypomina piękną dziewczynkę z portretu?

Przez okno do pracowni wpadł niewielki kamień owinięty papierem i sklejonny taśmą. Sfrunął jak ptak i potoczył się pod sztalugę. Krystyna nie musiała się schylać, żeby go podnieść, bo wiedziała, od kogo pochodzi wiadomość. Jak tego dokonał? Drugie piętro! Użył procy? Czyżby ostatnie podrygi oczarowania i namiętności? Nie zrobił na niej wrażenia tym chłopięcym czynem. Zastanawiała się, czy w założeniu miało to wypaść romantycznie, czy było jedynie najprostszym sposobem, żeby jej coś przekazać. Mógł przecież stłuc szybę i wtedy prysnąłby cały czar. Zresztą nie wiadomo, czy rzeczywiście chodziło o romantyzm, bo na papierze Robert skreślił koślawo jedynie dwa słowa: „Przyjdź jutro”. Bez patetycznych wyznań, bez zaklęć i prośb, po prostu kawałek kartki wydartej z zeszytu, i do tego krzywo. Nie wiadomo, co oburzyło Krystynę bardziej: koślawe pismo czy niestarannie wyrwana kartka. Nie chodziło nawet o treść, bo kobieta zawsze przywiązywała większą wagę

do formy. Po co miałyby przychodzić? Może chciał jej wyjaśnić to, co już sama sobie wytłumaczyła, próbował zachować się jak džentelmen, jak przystało na wielkiego poetę i wyznać, dlaczego jest teraz z Beata.

Krystyna postanowiła zatrudnić sprzątaczkę, bo teściowa chorowała, a ona sama nie miała ochoty na porządkowanie domu, zwłaszcza teraz, kiedy się zupełnie rozleniwiła i w końcu zaczęła zarabiać swoimi obrazami. Przeprowadziła już wstępne rozmowy z Polką mieszkającą niedaleko jej osiedla, ale nie podjęła jeszcze decyzji. Teściowa nie kryła oburzenia, bo z natury przeciwna była trwonieniu pieniędzy, szczególnie tych ciężko zarobionych przez syna. Teraz jednak Krystyna dysponowała ciężko zarobioną przez siebie gotówką, więc zrządzenie teściowej ustało. Kandydatka nie podobała się Krystynie, wydała się jej jakaś dziwna, postkomunistyczna, z entuzjazmem harcerki, czego nie znosiła. „Z brudem trzeba się zmierzyć, damy sobie radę - brzęczała do słuchawki - tylko trzeba mieć szacunek dla cudzej pracy, dla pracy rąk”. „Co ona mi tu? Nie jesteśmy na jakimś cholernym zebraniu Komsomołu!” - myślała Krystyna. Ale w Wiedniu trudno o sprzątaczkę Polkę, bo jest na nie duży popyt, większy niż na Rumunki czy Bułgarki, zresztą dużo tańsze. Wiadomo jednak, że to, co tanie, nie ma „kwalitetu” - jak mawiali Austriacy. Niech przyjdzie, czort z nią, zobaczymy.

Wieczorem malarka jechała metrem. Pociąg od czasu do czasu zanurzał się w tunelach, potem niespodziewanie pojawiał się na wysokich wiaduktach, dosłownie spod

ziemi jak gąsienica. Naprzeciwko Krystyny siedziała ciężka, gnuśna kobieta, ubrana dość pretensjonalnie jak na pociągowy pejzaż. Wystarczy ułamek sekundy, aby ocenić, czy drugi człowiek to wróg. Tylko tyle dała nam natura, aby szybko zdecydować się na ucieczkę lub walkę. Gdyby Krystyna żyła w czasach jaskiniowców, szykowałaby się do walki. Patrzyła na kobietę krytycznie, z niechęcią i zastanawiała się, co sprawia, że nie chciałyby mieć nic wspólnego z tą osobą, o której nic nie wie. Zdziwiająca. Może to wyraz twarzy, może odsłonięte grube kolana, które siłą rzeczy wywołały u malarki estetyczny szok. Tak właśnie wyobrażała sobie swoją niedoszłą sprzątaczkę i nagle poczuła przypływ złości. Przyglądała się współpasażerke tak natrętnie, jakby rzeczywiście miała przed sobą tę samą kobietę, z którą prowadziła długie rozmowy o szacunku do pracy i konieczności utrzymywania porządku. „Skąd jej przyszło do głowy, że nie dbam o porządek, skąd wiedziała, że nie będę szanować jej pracy? Jak można szanować jeżdżenie na szmacie?” Krystyna powiedziała chyba coś niestosownego, bo kobieta dodała na koniec, nieco urażona, że na obczyźnie to Polak Polakowi wilkiem.

Człowiek rozwinął mowę, która ma wyrażać wszystko, nawet to, co niewyraźne, ale czasem nie potrafi przekazać prostej informacji. Ta sama informacja przekazana przez tę samą osobę będzie inaczej przyjęta w zależności od odbiorcy, jego nastawienia do rozmówcy oraz stanu ducha i ciała. Żadna językowa struktura nie może stworzyć informacji, która byłaby odebrana jednakowo przez wszystkich. Jadąc metrem, Krystyna zastanawiała się nad niedoskonałością mowy jako narzędzia komuni-

kacji i wreszcie przestała zwracać uwagę na kobietę siedzącą naprzeciwko. Postanowiła też nie przyjmować sprzątaczkę, która od początku powołuje się na solidarność obywateli tej samej nacji. Nagle zaśmiała się głupawym krótkim śmiechem. Inni pasażerowie spojrzeli na nią z niesmakiem. Krystyna odstawała od normy, bo w metrze nikt się głośno nie śmieje, zwłaszcza do siebie. Nawet jeśli komuś jest wesoło, musi tłumić radość, nie wiadomo dlaczego. Kobietę zdumiewało, jak szybko potrafi się przemieszczać po swoich biegunowo oddalonych emocjach: od nieuzasadnionej złości poprzez różne odcienie obojętności do nieczęsto spotykanej radości. Wszystko rozgrywało się w jej głowie i nie potrzebowała do rozwinięcia jednego z tych uczuć żadnego wydarzenia, jedynie impuls. Nie potrzebowała świata zewnętrznego, żeby w ciągu kilku minut przeżyć wszystkie możliwe stany emocjonalne, co świadczyło o jej niestabilności uczuciowej, ale z tego nie zdawała sobie sprawy.

Krystyna postanowiła rozmówić się z Beatą, zakończyć milczenie - wypełniające przerwy między nic nie znaczącymi zdaniami, by mogły wreszcie spojrzeć sobie w oczy. Zapukała, bo dzwonek najwyraźniej nie działał. Niecierpliwiła się, więc nacisnęła klamkę - drzwi do mieszkania Beaty były otwarte. Pchnęła je lekko i weszła do przedpokoju. Od razu zauważyła płaszcz koleżanki, zbyt obszerny nawet jak na jej krągłą sylwetkę. Obok stała torebka. Każdy mógłby ją okraść, co za bezmyślność! Krystyna czuła, że nie powinna wchodzić do pokoju, że należy raczej poczekać, bo inaczej może zoba-

czyć coś, czego nie chciałyby widzieć. Jednak szła dalej, stawiając maleńkie kroki jak Japonka. Przystanęła, ale w pokoju nikogo nie było. Wyobraźnia podsuwała jej różne sceny erotyczne między Beatą i Robertem, których absolutnie nie chciała oglądać, chociaż powinny jej być obojętne. Zamiast jednak zawrócić, Krystyna podeszła cicho do drzwi łazienki i ciekawskim okiem dojrzała Beatę siedzącą z pochyloną głową na brzegu wanny. Długie ciemnoblonde włosy spływały jej na kolana, zakrywając twarz, i falowały pod wpływem energicznych ruchów dłoni. Przypominała *Czeszącą się*, ale tylko przez moment, bo scenka zaraz straciła nieuchwytną aurę sztuki. Malarka zamarła. Utkwiła wzrok w przedmiocie, zatrzymała swoje spojrzenie na jednym obiekcie, który błyskawicznie poruszał się we włosach Beaty. Pod jego wpływem z głowy koleżanki sypały się maleńkie białe płatki, jakie często widziała w bożonarodzeniowych kulach śniegowych. Energiczne ruchy ręki uzbrojonej w szczoteczkę do zębów miały na celu podważenie przyklejonych do skóry głowy łusek łupieżu. Ohyda. W tym momencie Krystyna przestała rozważać możliwość rozmówienia się z przyjaciółką i wybiegła z jej mieszkania. Wyczesywanie łupieżu szczoteczką do zębów zupełnie zdyskwalifikowało Beatę w oczach malarki - już nie potrafiłaby swobodnie z nią rozmawiać. Zwiększyła się również jej pogarda dla Roberta, że związał się z kobietą z łupieżem i zdradzał z nią Krystynę.

Rozgrzeszenie przez siostrę i odpuszczenie winy zmieniło życie Roberta. Mogłoby się wydawać, że do-

piero teraz - oczyszczony z grzechu i otoczony rodziną - zacznie się rozwijać jako autor najpiękniejszych wierszy. Jednak wraz z odejściem poczucia winy zniknęła umiejętność tworzenia i odtąd Robert nie napisał nawet jednej linijki. Im więcej miłości, tym mniej słów splecionych w wiersz, tym mniej pomysłów. Ta dziwna zależność przerażała i złościła poetę. Próbował pisać na siłę, chwytając się literackich trików, ale rozumu nie można oszukać. Przypominał sobie swoje wcześniejsze życie, lecz wracały tylko obrazy, a nie emocje z nimi związane. Przestał być nieszczęśliwy i to stało się jego tragedią, bo nie potrafił już tworzyć. Służalca miłość Beaty, miłość siostrzana i braterska, a do tego jeszcze przyjaźnie, które zawarł, od kiedy zaczął wychodzić z domu, rozleniwiły jego duszę do tego stopnia, że tylko powierzchowne, pozbawione głębi myśli układały się w nic niewarte wiersze. Stracił wenę. Było to o wiele bardziej niebezpieczne i beznadziejne niż utrata części wątroby, która jak wiadomo odrasta.

Robert zobaczył Krystynę po drugiej stronie ulicy i bezwiednie przystanął, gapiąc się na pochyloną sylwetkę jak zawsze zamyślonej kobiety. Nie miał odwagi do niej podejść, bo czuł się winny. Winny, że wybrał poczciwość, pospolitość, cielesność, żeniąc się z Beatą. Jednak zwyczajność Beaty, którą tak gardziła Krystyna i która wcześniej stanowiła przedmiot kpin ze strony Roberta, była teraz dla niego ukojeniem, balsamem na zranienia, jakich doznał po rozstaniu z pierwszą kochanką. Malarka nawet nie zareagowała na jego szczeniący gest z kartką papieru wrzuconą przez okno pracowni. Chciał z nią mówić o tym, co postanowił, powiadomić o ślubie

z Beatą, choć było to niezręczne. Krystyna odeszła na zawsze z powodu swej obojętności, bo przecież nieraz rozmawiali ze sobą o wszystkim i o niczym, jak znajomi. Beata nigdy się nie dowiedziała, że jest dla Roberta tylko wtórnym wyborem, drugą jakością, ostatnią przystanią. Nie zdobył choćby wyróżnienia w konkursie, nikt nie zainteresował się jego wierszami, nikt nie wierzył w jego talent, on sam też w niego wątpił. Potrzebował uwielbienia, kogoś, kto go podziwia, patrzy na niego czule i z oddaniem, a Beata świetnie się do tej roli nadawała. Czy ożeniłby się z nią, gdyby osiągnął sukces, gdyby doceniono jego dzieła? Wtedy prosta, szczerą miłość Beaty nie dawałaby mu wystarczającej satysfakcji, nie mogłaby nadać za rosnącą dumą Roberta, jego niewyczerpanym pragnieniem bycia w centrum uwagi. Teraz jednak miłość ta obiecywała przytulne, wygodne, ciepłe gniazdko, wyłożone komplementami jak ptasim puchem. Spoczął w nim z ulgą.

Krystyna wiedziała, że musi powiedzieć Markowi prawdę, nie potrafiła jednak znaleźć odpowiednich słów na określenie zdrady. Chciała, żeby jej wyznanie zabrzmiało łagodnie, dając szansę na przebaczenie. Myślała, jak sformułować zabójczą prawdę, jakich słów użyć, by nadać jej eufemistyczne brzmienie, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Krążyła od dłuższego czasu wokół pracującego w ogrodzie męża, czaiła się, chcąc wybrać odpowiedni moment, ale taki nie istniał. Nie ma dobrego czasu na to, by powiadomić kogoś o zdradzie. Zrezygnowana Krystyna odkładała rozmowę na potem, widząc

pochylone plecy i skupioną twarz Marka. Za nic w świecie nie chciała go zranić. Obrócił się, nim zdążyła czmychnąć w popłochu do domku. Popatrzył na nią dziwnie i zdecydowanym głosem, przez który przebijała nutka wzruszenia, powiedział jej, żeby o tym nie mówiła. Krystyna nie była pewna, co miał na myśli, czy rzeczywiście to samo co ona. Mogła to sprawdzić, zadając mu odpowiednie pytanie, ale tak jak żona obawiała się wypowiedzenia słów, które niosły spustoszenie. Lepiej milczeć, tak jak chciał Marek, nawet gdyby chodziło o coś zupełnie innego. Nadarzyła się okazja, żeby przemilczeć aferę z Robertem, i to bez konsekwencji dla Krystyny: przecież chciała wyznać prawdę, a Marek jej zabronił. Skoro oboje mieli na myśli to samo, to po co głośno o tym mówić? Niewypowiedziane słowa nie ranią, pozostają jedynie w głowie, tracą swą niszczącą moc. Poza tym kobieta miała dla siebie usprawiedliwienie, bo każdy potrzebuje sam przed sobą się usprawiedliwić i na ogół to mu wystarcza. Przecież chciała się przyznać, a że Marek zrozumiał co innego, to już nie jej wina. Po co budzić śpiące potwory? Zresztą teraz będzie odpowiadać tylko przed sobą, rozliczać się tylko z własnym sumieniem. Jeżeli wiedział, to i tak już ją rozgrzeszył, a jeżeli nie, to sam zrezygnował z prawdy. Krystyna weszła do domku, usiadła w bujanym fotelu i świat znowu był dla niej poukładany, a wszystko, co złe, przeminęło. Obok stała butelka dżinu, już Krystynie obojętna, bez diabelskiej siły kuszenia, bo skoro nie ma Boga, to nie ma też diabła i nie ma pokusy zrobienia czegoś niewłaściwego. Kobieta czuła się silna. Bujała się w fotelu, było jej przyjemnie, ciepło, pod sobą czuła

miękki koc. Brak zagrożenia rozleniwiał ją, myśli płynęły powoli, obrazy powstawały w wolnym tempie, świat się nie śpieszył, ona też nie, miała przed sobą szczęśliwą przyszłość.

W torebce natrętnie wibrował telefon z wyciszonym dzwonkiem. Komórka nieprzerwanie powtarzała swój sygnał, podskakując jak ryba. Krystyna nie chciała odbierać, jakby to było jej powinnością. Teraz już nie miała żadnych powinności. Jednak wibracje denerwowały ją i w końcu uległa, bo ktoś po drugiej stronie, jakiś nieznaną numer, koniecznie chciał jej coś powiedzieć. Niezadowolona nacisnęła przycisk odbioru połączenia i usłyszała cichy męski głos, który coś wyjaśniał, ale w pierwszej chwili nie można było zrozumieć, o co chodzi. Mężczyzna mówił po polsku z wyraźnym niemieckim akcentem. Pojedyncze wyrazy nie składały się na sensowną całość, jak w idiomach. Chodzi o Emilię? Tak. Czuła ważkość słów, zanim dotknęły jej świadomości. Jeszcze się broniła przed zatrważającą treścią zawartą w urywanych, drżących zdaniach. Mąż Emilii? Dlaczego mówi o Emilii? „Numer telefonu zapisany na kartce w pokoju żony” - wyjaśniał. Teraz dopiero wszystko stało się dla Krystyny jasne, przerażająco jasne. Nie śmiała potwierdzić, że zrozumiała, bo tego nie można było zrozumieć. Informacje o pogrzebie w Polsce wdzierały się do jej ucha coraz natarczywiej. Kobieta rozłączyła się, nie chciała wiedzieć nic więcej. Wystarczyła jej ta namiastka informacji, całość byłaby nie do zniesienia.

Krystyna szła przez opustoszałe ulice, wpadając na latarnie i drzewka wyrosłe na skromnych skrawkach miejskiej ziemi. Jakie to absurdalne! Emilia miała w lecie przyjechać do Polski, żeby się z nią spotkać, w parku pamiętającym czasy ich przyjaźni. Przez tyle lat czekała na ten moment, aby teraz zdać sobie sprawę, że nigdy nie nastąpi, chociaż Emilia rzeczywiście przyjedzie do rodzinnej wsi, po raz ostatni. Złośliwość losu czy może jednak Boga? Krystyna wiedziała, że każda żałoba przemieni się w nadzieję i powinna złagodnieć po sześciu miesiącach. Tyle czasu dają psychologowie człowiekowi, żeby się otrząsnął z żalu. Jeżeli tego nie dokona, kwalifikują taką żałobę jako patologiczną. Tak, psycholog wyznacza granice cierpienia. Czy malarka będzie potrafiła przeboleć stratę Emilii bez Boga? Kto wierzy w Syna, ma życie wieczne. Niestety, Krystyna już przestała w to wierzyć.

Pewnego poranka Roberta obudził szczebiot Beaty pachnącej świeżą kawą. Wtedy nagle przyszło mu do głowy, że namacalnie blisko istnieje inny świat, świat bez książek, bez wydawnictw i księgarzy, bez pracy twórczej, świat zwyczajnych zdarzeń. Można w nim odkryć się na nowo i oddać codzienności. Nie wzlatywać jak Ikar, nie doszukiwać się sensu istnienia, bo nikt go jeszcze nie znalazł. Takie życie bez tworzenia, bez poszukiwań było możliwe tylko z Beatą. Świat bez książek! Robert wyciągnął się na łóżku i leniwie zagłębił się w wygodną i miękką poduszkę z kaczego puchu. Zwyczajność śniadania: bułek z dżemem i gorącej kawy zachwycała go,

upoiła zapachem, który kojarzył mu się z codzienną pracą. Księgi rachunkowe ustawione rzędem na biurku nie odstraszały jak dawniej, przyjaźnie świeciły neonowymi paskami, które poeta nalepił na grzbiety, żeby ułatwić sobie pracę. Dotąd nie widział w śniadaniu źródła zadowolenia, nie cenił spokoju w oczach Beaty. Radość codzienności była jeszcze do odkrycia, musiał się do niej przyzwyczaić jak do życia na nowym kontynencie. Skąd się brał jego wcześniejszy niepokój, wręcz bolesny trud życia? Przecież nie było żadnego trudu. Czyżby przestał go zauważać? Teraz podczas porannej kawy zupełnie uleciało napięcie, jakie towarzyszyło mu przez ostatnie lata, wyczekiwanie na nowe maile, za które wcześniej oddałby pół życia. Czy kochał Beatę? Zasługiwała na miłość idealną, bezwarunkową, taką, która nie stawia wymagań, nie ma oczekiwań. Niestety Robert ciągle jeszcze miał oczekiwania wobec Beaty, ciągle chciał ją zmienić, bo nie była Krystyną. Nie patrzył w stronę komputera, który pokrywał się kurzem, zapadał w niepamięć i tylko Beata z obowiązku przejeżdżała po nim wilgotną szmatką. „Niech go szlag trafi od tej szmatki” - myślał Robert, ale bez złości, raczej z niechęcią pomieszaną z obojętnością. To nic, że jego nazwiska nie było wśród laureatów konkursu, nie szkodzi. Dzisiaj nadszedł dzień rozprawy z całym pisarstwem.

Beata wyszła do pracy, posłusznie, mieszczańsko, wzorowo. W jej przypadku praca była koniecznością; układanie sałaty i pomidorów, miłe uśmiechy klientów - człowiek wie, że jest potrzebny. Beata odczuwała radość z tego powodu, że mogła osobiście sprzedawać, zachęcać, polecać, czasem dorzucić jakiś komplement czy

zapytać o zdrowie. To właśnie dawało jej radość. Czuła się w tym warzywnym stoisku jak w raju, tylko zamiast owoców były same warzywa, ale to nie umniejszało poczucia spełnienia i błogości. Robert zapakował część swoich książek do worka i zszedł do śmietnika. Obejrzał się, by sprawdzić, czy nikt go nie widzi, ale pojemniki na śmieci znajdowały się na uboczu. Z kontenerów cuchnęło, bo był piątek rano i jeszcze ich nie opróżniono. Mężczyzna zastanawiał się, do którego kubła wrzucić książki. Chyba jednak szkoda byłoby wyrzucić je do pojemnika z napisem Restmull, więc świadomy konieczności dbania o środowisko poeta wsypał zawartość torby do pojemnika na makulaturę, wiedząc, że jego myśli przerobiją na papier toaletowy albo zeszyty szkolne dla bazgrzących maluchów. Zadowolony, jakby spełnił dobry uczynek wrócił do mieszkania i zastał Beatę stojącą w drzwiach do kanciapy, których zapomniał zamknąć. Na ogół zapomnienie czegoś sprzyja w dokonaniu odkrycia. Tak samo jak zapomniał Pasteur, tak samo Beata zapomniała klucza do stoiska i wróciła po niego. Wymowne spojrzenie, wymowne milczenie. Kobieta zbierała myśli, ale nie potrafiła wyartykułować stosownego do sytuacji zdania. „O, ile książek!”- zauważyła niezbyt błyskotliwie. Była to naprawdę jedna z głupszych wypowiedzi i Robert nie wiedział, co rzec, jakie kłamstwo sklecić na poczekaniu. A może wreszcie powiedzieć prawdę i poczuć ulgę? Bohatersko zdecydował się na szczerość.

Beata przychodziła do Krystyny coraz rzadziej, szukając wymówek, których nikt od niej nie oczekiwał. Ko-

biety nigdy nie rozmawiały o tym, co się wydarzyło, jakby chciały zachować łączącą ich przyjaźń, ale chyba żadnej na tym nie zależało, więc ich spojrzenia były ukradkowe, za to oddechy - z powodu zdenerwowania - zbyt głębokie. Krystyna nie poszła na ślub, bo odbył się w Polsce. Ale nawet gdyby był w jej bloku, też by nie przyszła. Beata zauważyła, że Krystyna ostatnio nie pije, że czoło jej się rozpogodziło. Robiła karierę, ale Beata jej nie zazdrościła. Wiedziała, że do kariery, do wzlotów trzeba być stworzonym. Rozmowy kobiet krążyły wokół banalnych tematów, dotyczyły codziennych kłopotów. Krystyna chciała dać Beacie ostatnią szansę. Po śmierci Emilii była bardziej skłonna do przebaczenia, wystarczyło tylko powiedzieć prawdę, ale koleżanka milczała. Przekonana o własnym szczęściu, Beata uważała, że to Krystyna powinna wyznać prawdę. Malarka nie mogła jej wybaczyć tego zwykłego szczęścia przy boku Roberta, gorących kolacji, wspólnych wycieczek za miasto, niewymuszonej swobody w obcowaniu z innym człowiekiem. Sama nigdy się tego nie nauczyła, zawsze czuła dziwne skrępowanie, nawet przy Marku. O czym Robert z nią rozmawia? Nie rozumiała, jak mógł poślubić Beatę, która wyczesywała łupież z włosów szczoteczką do zębów. Dziwna złośliwa myśl towarzyszyła Krystynie zawsze, kiedy widziała długie wypielęgnowane włosy koleżanki, bo wiedziała, że między blond pasmami kryją się drobiny łupieżu i wystarczy przeczesać włosy grzebieniem, aby wzbiły się w powietrze. Ta dolegliwość skórna dodatkowo obniżała i tak już niską ocenę Beaty. Teraz Krystyna zaczęła czuć wobec koleżanki całkiem świadomą pogardę. Pogardę dla jej włosów, marchewek

i karczochów, które sprzedawała w swoim warzywniaku. Malarka nie mogła patrzeć na bakłażany, na ich lśniąca fioletową skórę, opiętą i siną jak na poobijanym tyłku. Nienawiść z czasem przeniosła się także na błyszczące spinki i ogromne kolczyki, które Beata chętnie kupowała i w których paradowała w niedzielę do polskiego kościoła. Potrząsała głową, a kolczyki coraz śmiej zakreślały koła. Kołysały się jak wahadło Foucaulta, tylko niczego nie miały udowodnić, zatem ich ruch nie miał sensu, co niezwykle denerwowało Krystynę. Lubiła asymetrię, ale tylko w przypadku Beaty. Miała wrażenie, że koleżanka nadal uważa się za zwyciężczynię, bo cały jej świat kręcił się wokół Roberta i poślubienie idola było dla niej apogeum szczęścia. Krystyna patrzyła na Beatę z politowaniem, bo z czego się tu cieszyć? Słuchała paplaniny i myślała o sobie, o tym, że straciła najbliższą przyjaciółkę i - co więcej - straciła jedyną możliwość rozwiązania zagadki z dzieciństwa. Już nigdy nie dowie się prawdy o ojcu, więc zawsze będzie składać kwiaty na jego grobie, choćby z obowiązku. Nie będzie wiedziała, czy na nie zasługuje, bo śmierć nie rozgrzesza, choć kiedyś tak myślała. To nie Bóg będzie sądził ojca Krystyny - chociaż ludzie tak uważają, dlatego odpuszczają zmarłemu. To do córki należy obowiązek osądzenia ojca.

Krystyna trzymała się wyznaczonej przez siebie linii, bez Boga. Choć śmierć Emilii miała w sobie obok tragedii również trochę absurdu, to jednak malarka tłumaczyła sobie ten swoisty przypadek tylko na podstawie znajomości ogólnych praw fizyki. Pojazd z naprzeciwną, droga hamowania, wektory pracy. Siła fizyki, nie siła Boga, wyróciła samochód, którym jechała jej przyja-

ciołka. Postanowiła nie wracać do wiary, od której odeszła, i nawet śmierć Emilii nie była dla niej symbolem ani wskazówką. Nagle pomimo świadomości tragedii poczuła się wolna wolnością człowieka, który przez całe życie był zakuty w kajdany boskich zakazów. Teraz Krystyna mogła zrobić wszystko, nawet to, na co wcześniej by się nie odważyła. Mogła się po prostu zabić, uderzyć samochodem o barierki i nie spotkałaby ją za to żadna kara, oprócz oczywiście kary śmierci. Nie ma już groźby wiecznych cierpień, potępienia, smażenia się w piekle i pokutowania, jest tylko rozkład ciała i odrzucenie. Gdyby Krystyna postanowiła odebrać sobie życie, nie poniosłaby żadnych konsekwencji swego czynu, ale po co teraz miałyby się zabijać? Nie czuła potrzeby samouniعةstwienia, bo strach przed życiem opuścił ją w momencie, gdy zniknął lęk przed potępieniem. Bo niczego nie można już zrobić źle, bo nikt nie ma prawa cię ocenić, nie istnieje żadna zwierzchność. Kobieta zachłysnęła się nowo darowaną wolnością, sama sobie zrobiła z niej prezent.

Robert przechodził powoli wzdłuż krzykliwych wystaw i oglądał świąteczne świecidełka. Znienawidzone mikołaje uśmiechały się w każdej witrynie, w różnych pozach, zawieszane, siedzące i przygniatające sobie brody, zawsze z workiem na plecach, rzekomo wypełnionym, w rzeczywistości pustym. Mężczyzna zastanawiał się, czemu mają służyć te dekoracje, w rzeczy samej smutne, przypominające o przemijaniu, o kolejnych świętach, które dopiero jeszcze nadejdą, i o tych, których

już nie przeżyjemy. Workowate ubranka mikołajów były trochę przybrudzone, a w czerwonych nogawkach brakowało nóg. Robert patrzył przez chwilę na te zniekształcone kukiełki i na lampki wypluwające z głębi różnokolorowe światło z fałszywą nutą kiczu. W oknie mijanej księgarni zobaczył pieczołowicie obwiązane kordkami książki - prezenty gwiazdkowe, już opakowane, byle tylko zadowolić czytelnika, pozyskać jego uwagę i posiadać te kilkadziesiąt złotych, które przydadzą się na podarki dla rodziny księgarza. Wszystko gotowe, żeby klient się nie namęczył i nie musiał samemu pakować prezentów. Na półce wysoko w rogu, wciśnięty między romanse a sensację leżał tomik wierszy Roberta. To o to skromne dzieło poeta toczył boje z nieznanym przeciwnikiem, tracił energię, aż do całkowitego wycieńczenia, aż do rezygnacji. Teraz widział swoją książkę wśród propozycji prezentów. Przystanął i przyjrzał się jej, dotykając nosem szyby wystawowej. Patrzył na nią świeżym wzrokiem, jakby widział ją po raz pierwszy. Nie podobała mu się okładka, tak jak nie podobała mu się już Krystyna. Krystyna i jej okładka. Odszedł obojętnie. Niech książka sobie leży. Pomyślał o niej jak o publikacji nieznanego mu autora. Mógł jej ofiarować jedynie obojętność. Ta obojętność dała mu siłę - niczego nie pragnął i nie oczekiwał, nabrał dystansu.

Życie bez pisania powoli wciągało Roberta. Opiekuńczość Beaty była tak subtelna i cicha, że mężczyzna nie słyszał w łóżku oddechu żony, jakby jej nie było. Przezroczystość kobiety czasami najbardziej odpowiadała Robertowi. Jego psychika po wszystkich literackich niepowodzeniach była krucha jak niewypalona ceramika.

Beata była mu jednocześnie towarzyszką życia, opiekunką, pocieszycielką i kochanką, chociaż na tej ostatniej roli zależało Robertowi najmniej. W jego pamięci pozostała Krystyna - jak relikwii nie do usunięcia, zakotwiczona w każdym calu jego ciała. Życie bez poezji kusiło nowością, ale mężczyzna wszystkiego musiał się uczyć na nowo. Musiał zapomnieć, że właściwie jest artystą, który nie tworzy. Czyżby pisanie było jedynie próbą zastąpienia tego, co nieosiągalne? Szybko zapomniał o radości pisania, o męce tworzenia, bo chyba nigdy nie był prawdziwym artystą. Jednak dla Beaty zawsze pozostanie poetą, wieszczem bez narodu, autorem bez weny, księciem słowa, nawet jeżeli nic więcej nie napisze. W pewnym momencie wystraszył się, że utraci uwielbienie kobiety, dostrzegł kruchość wszystkiego, co go otacza. Obawiał się, że może stracić potrzebną mu miłość żony i dopiero teraz, pod wpływem tego lęku, zaczął się bardziej o nią starać, dostrzegać jej dobroć. Dotarło do niego, że nie wszystko dane jest nam raz na zawsze, że wiele rzeczy można stracić. Na pozór wszystko układało się między nimi wspaniale; Robert spijał nektar, ale w cukrze też potrafi się ukryć trucizna. Najbardziej bał się przesytu Beatą, bo nadmiar jest tak samo niebezpieczny jak niedobór. Bał się, że umrze z przedawkowania, chociaż początkowo dawka uderzeniowa dobrze na niego działała i uleczyła go z uczucia do Krystyny. Ratował się wyjazdami do Polski, do siostry, gdzie mógł doświadczyć swobody i odpocząć od Beaty. Pomagał rodzinie przy budowie nowego domu, żeby siostra swoim ubóstwem nie odstawała od reszty, bo każdy coś budował, dobudowywał i zmieniał. Najważniejszy jest dom, reszta

się nie liczy, na dom muszą się znaleźć środki, nawet gdyby trzeba się było zapożyczyć. Chociaż piwnica i parter i już można mieszkać, a ludzie widzą, że się buduje, i od razu status rośnie.

Krystyna wysiadła na małej stacyjce i bez pośpiechu zmierzała w stronę starego ryneczku, rozglądając się za symbolami przeszłości. Gdzieś w dali słyszała takie same odgłosy z parku, jak wtedy, gdy goniły wiewiórkę. Podeszła do stawu, w którym kiedyś znalazły potopione kocięta. Zanurzyła ręce, jakby szukała śladu dłoni Emilii. Przecież zanurzała dłonie w tym samym stawie, więc musiał zostać ich ślad, bo woda była ta sama. Gdyby można było poczuć dotyk jej rąk przeniesiony przez wodę - w świecie kwantowym odcisk dłoni Emilii istnieje w tej mętnej wodzie, ale to Krystyny nie pocieszało. Szła w stronę miasteczka, dotykając kolejno domów, płotów, drzew, mostu - wszystkiego, czego kiedyś dotykała Emilia. Z boku dochodził odgłos żałobnej muzyki; mózg robił Krystynie bardzo niesmaczne żarty. Odwróciła głowę. Kondukt żałobny włókł się sennymi uliczkami miasteczka. Zmarłemu się nie śpieszy, bo i do czego? W skrzynce leży sobie bezwładne ciało, czysto ubrane i umyte, bo nieboszczyka myją i pięknie ubierają, nawet jeśli za życia był brudasem. Absurdalne. Czasami dostaje nawet najlepszy garnitur do trumny, a kobieta najlepszą sukienkę, choć wiadomo, że przed Bogiem stanie nago. Często zostawia się na palcu złote pierścionki. Cmentarz to kopalnia złota. „Po co to wszystko?” - pomyślała Krystyna. Przecież nie żyjemy w starożytnym Egipcie i nikt

nie wierzy, że zmarłemu coś się może przydać. Wszystko, co robimy, robimy dla innych ludzi. Pogrzeb powinien być wystawny, trumna dobra, droga, bo co powiedzą ludzie? Zawsze ważne jest tylko to, co powiedzą inni. Zdanie to było straszakiem używanym przez matkę. Księdzu zapłacić, żeby dobrze mówił, ale i tak będzie dobrze mówił, bo o zmarłym nie wypada wypowiadać się źle. Od razu wszyscy zapominają jego ziemskie grzechy, bo zmarł i teraz Bóg będzie go sądził. Krystyna chciała przejść na drugą stronę ulicy, ale dziwny strach zatrzymał ją na chodniku, chociaż zdążyłaby przebiec przed konduktem. To przez to stare wierzenie, jeszcze z dzieciństwa, że dusza zmarłego mogłaby nie przedostać się na tamten świat. Kobieta postanowiła poczekać, aż procesja przejdzie, ciągnąc za sobą ostatnie tony żałobnej muzyki. Nie była na pogrzebie Emilii, ale potem przeszła jeszcze raz całą trasę, którą niesiono trumnę, aż do grobu leżącego na uboczu w otoczeniu starych wiązków. Usiadła na metalowej ławeczce. Tędy musieli przechodzić. Tylko dziesięć minut drogi, którą można było pokonać pieszo, żeby znaleźć się w miasteczku, a potem kilkaset metrów wybrukowanej ścieżki i już za zakrętem pojawiał się kościół z niewielkim cmentarzem na tyłach rozkraczonego budynku.

Krystyna weszła pomiędzy groby, odświętne, jakby wciąż świeże, jakby ludzie nie mogli zapomnieć swoich zmarłych, jakby musieli trzymać się korzeni, żeby istnieć. Grób Emilii był jeszcze bez pomnika. Dlaczego mąż przywiózł zwłoki żony do kraju? Przecież nie mogło to być życzenie Emilii - nie była tu szczęśliwa.

Robert otworzył drzwi do kanciapy, wpuścił do niej trochę słońca i od razu maki zakwitły przeraźliwą czerwienią. Teraz miały więcej przestrzeni, więc kolor wydawał się intensywniejszy. Jak mógł się zgodzić na tak agresywną w wyrazie okładkę? Negował wszystko, co w jakikolwiek sposób wiązało się z Krystyną. Spakował ostatnią partię książek i wyruszył w stronę śmietnika. Przemykał chyłkiem, by nikt go nie zauważył, ale właśnie w takich sytuacjach działa prawo odwrotności pragnień do rzeczywistości. Aż dwie sąsiadki zapragnęły w tym samym czasie opróżnić swoje kubły na śmieci i zmierzały do tego samego celu, co Robert. Mężczyzna zdenerwował się, że też inni muszą akurat wtedy, kiedy on. On musi, to ważne, ale oni ze swoimi głupimi gazetami? Czy nie mogli kiedy indziej? Poprzednia partia książek zniknęła i Robert wyobrażał sobie, jak przetwarzają ją na papier dla pożytku innych. Przynajmniej komuś się przysłużył. Pierwsze egzemplarze dudniły w pustym kontenerze, objijając się o blaszane ściany, przy kolejnych dudnienie zmieniło się w plaskanie, jakby uderzenia, jak wymierzane policzki. Jeszcze raz i jeszcze raz w gębę za to, że nie napisałeś dobrej literatury, poczytnej, prostej, którą wystarczy tylko łyknąć, bez myślenia. Pac za to, że chciałeś sięgnąć szczytów, że sobie za dużo wyobrażałeś, że przeceniłeś czytelnika.

Robert wrócił do mieszkania i stanął przed komputerem - nadal go kusił. Musiał się powstrzymać, żeby nie sprawdzać poczty. Kiedy się jednak zdecydował zajrzeć do skrzynki mailowej silił się na obojętność, patrzył bez emocji, bo niczego nie oczekiwał, sprawdzał dla po-

rządu. Tak, przyszedł mail od wydawnictwa. Mężczyzna szybko przebiegł oczami krótki tekst, który go zaskoczył: tysiąc sprzedanych egzemplarzy, sukces wydawniczy. Znowu fałszywa przesłanka spowodowała fałszywy skutek. Zaproponowano mu wydanie kolejnego zbiorku, skoro pierwszy tak dobrze się sprzedał. Robert nie wiedział, czy czytając treść maila, powinien się cynicznie skrzywić, czy radośnie uśmiechnąć. A więc sukces! Pół nakładu sprzedane w tak niewielkim czasie, pół nakładu, które ładuje systematycznie w pojemniku na makulaturę. Dla świata był pisarzem, pozór wziął górę nad rzeczywistym obrazem. Mógł to wykorzystać i nadal żyć w świecie ułudy, ciesząc się uznaniem czytelników, których sam uosabiał, ale czyż nie jest prawdą, że człowiek samego siebie zrozumie najlepiej? Ktoś tam pewnie kupił jego tomik, poza tym wysłał swoją poezję do wszystkich większych bibliotek w Polsce, więc ci, co go nie znają, będą myśleli, że nie są na bieżąco, bo właśnie objawił się kolejny wielki poeta. Robert przez chwilę się wahał: czy żyć w świecie pozorów i być poetą fantomem? Zrezygnował, chociaż zdecydowana większość informacji, jaka do nas dociera, to jedynie ułuda, nieistniejące sukcesy, naciągana sława, rozdmuchane do olbrzymich rozmiarów minitalenty. Mógł znaleźć się w tym towarzystwie, tylko po co?

Wyjazd na wczasy z całą rodziną po raz pierwszy sprawiał Krystynie radość. Rzuciła się w wir planowania i zakupów jak każda inna kobieta. Wreszcie oderwała się od myśli o własnym dzieciństwie, obraz matki zatarł się

w pamięci, w pozółkłych fotografiach - Krystyna skazała ją na zapomnienie. Nawet wspomnienie ostatnich dni spędzonych z rodzicielką, tym razem potulną, milczącą i słabą, nie zmieniło tego wyroku. Wymazała ją ze swego życia i od razu poczuła się lepiej.

Teraz Krystyna zaczynała od nowa, teraz miała siłę, żeby być kimś wyjątkowym. Marek wydał się jej bohaterem, po tym jak zrezygnował z wyjaśnienia tajemnicy, bo zakładała, że mają to samo na myśli. Zaczęła szukać pozytywnych stron jego prostej natury. Im człowiek jest mniej skomplikowany, tym mniej ma potrzeb, łatwiej go zadowolić. Mężowi wystarczył skrawek nieba nad działką, nie pragnął całego kosmosu jak Krystyna. Malarka postanowiła to zaakceptować, wtedy wszystko się ułoży. Tylko Emilia odeszła i Krystyna nadal nie umiała sobie wytłumaczyć tego zaskakującego zbiegu okoliczności. Nie chciała wyjaśniać tego, co niewyjaśnione udziałem sił nadprzyrodzonych - bała się ponownego uzależnienia od Boga. Teraz, kiedy było tak błogo, pragnęła zatrzymać czas i po wielu próbach rzeczywiście miała wrażenie, jakby zegar trochę zwolnił. Wcześniej Krystyna traktowała czas jak coś bardzo uciążliwego, jakby chciała się go pozbyć. Popędzała go i marnotrawiła, złościła się, że coś trwa za długo, kiedy jej się śpieszyło. Niełatwo było urobić czas i przystosować go do swoich potrzeb, ale zmieniła do niego nastawienie. Zegar nie denerwował jej jak wcześniej, przeciwnie, nawet dłużące się czekanie w kolejce umiała oswoić. Świadomie przeżywała każdą sekundę, dzięki czemu wszystkie wydarzenia nabrały intensywności. Uczestniczyła w każdej chwili swojego życia, wiedząc, że ma je tylko jedno,

i niczego nie oczekując po jego zakończeniu. Ta zmiana nastawienia sprawiła, że czas się wydłużył i dzień trwał w nieskończoność, bo Krystyna miała dziennie do dyspozycji kilkadziesiąt tysięcy sekund, a każdą z nich przeżywała osobno. Było to zupełnie nowe odkrycie czasu nie jako całości, lecz jako zlepku miliardów sekund, z których każda przynosi coś innego, jest niepowtarzalna. Kobieta przeżywała świadomie każde tchnienie, koncentrując się na wdechu i na wydechu, ale to zagłębianie się w życie organizmu napawało ją jedynie strachem, bo każdy oddech jak sekundnik odmierzał tę część życia, która jeszcze pozostała. Była pewna, że los się o nią nie upomni, bo los jest ślepy, wybiera zatem na oślepa. Skoro już raz padło na Krystynę, to biorąc pod uwagę rachunek prawdopodobieństwa, szansa na ponowny cios jest znikoma.

Morze, lśniąca woda, plaża ta sama co przed laty, ale odczucia zupełnie inne. Krystyna usiadła na skale, na której wcześniej chciała czekać na koniec świata, i zrozumiała, że w pewnym sensie jest to dla niej koniec świata, choć miała o nim inne wyobrażenie. Miał to być koniec świata, w którym króluje Bóg. Teraz wiedziała, że jest zdana tylko na siebie, i że nie zagraża jej z Jego strony żadne niebezpieczeństwo. Brak opieki oznaczał również brak zwierzchnictwa i kary. Strach ulotnił się tego dnia, kiedy rano wstała w przekonaniu, że Boga nie ma. Nie była z powodu tego odkrycia szczęśliwsza, ale zyskała spokój. Nie żałowała tych niezliczonych godzin, jakie od dzieciństwa spędzała w kościele lub na modlitwach. Nie

uważała ich za czas stracony, lecz za czas konieczny dla rozwoju duchowego. Był to okres dojrzewania pod patronatem Boga, który odszedł, niekoniecznie bezpowrotnie, bo wszystko wraca, ale już w innym świetle. Kiedyś może Krystyna wróci do Niego i zawsze może liczyć na przebaczenie. A może było to oszustwo, z tą jej wiarą? Jednak nie chciała przyznać, że dotychczasowe życie zbudowała tylko na pozorach, że to, w co wierzyła, to tylko wyuczona postawa, że żyła niejako zaprogramowana na katolicyzm, że nie był to jej wybór. Może gdyby miała możliwość wyboru? Wszystkie pytania skierowane do Boga są naiwne - człowiek je zadaje i nie dostaje odpowiedzi. Zachowuje się jednak tak, jakby ją otrzymał, i podejmuje decyzję - według samego siebie - jedynie słuszną. Krystyna długo próbowała pogodzić to, co wie, z tym, co czuje, istnienie Boga z wiedzą o kwantach. To jakby opracować teorię wszystkiego, która opíše cały wszechświat. Nikomu się to jeszcze nie udało.

W dole fale pieniały się przy brzegu. Malarka dojrzała pływającą Kamilkę i pomachała jej ręką, ale dziewczyna zdawała się jej nie widzieć. Właściwie to dziwne, bo przecież skała wystawała ponad okalające ją krzaki, a Krystyna w czerwonej sukience była zapewne widoczna z plaży. Nagle kobieta poczuła niepokój. Fale były zbyt ciemne, nie był to paryski błękit, raczej pruski, a tego nie lubiła. Usiłowała jeszcze szybko zbiec ze skały, zaczepiła sukienką o skalny wypust i popędziła w dół w stronę plaży. Wiatr porwał jej krzyk, zdławił i uniósł ze sobą. Krzyk nie przebił się przez wilgotne i gorące powietrze.